

W obronie POKOJU

NR 8

STYCZEŃ 1952

SOPOT

Cena zł 1.80

DZIEŁA TWÓRCZEJ PRACY CZŁOWIEKA

PIERRE COT — ILJA ERENBURG — CLAUDE MORGAN

PAUL LANGEVIN — JÓZEF SIGALIN — HAN SING-HU

PANDIT NEHRU — AZZAM PASZA

CZTERY WIELKIE ROCZNICE:

VICTOR HUGO — LEONARDO DA VINCI

AVICENNA — MIKOŁAJ GOGOL

» W OBRONIE POKOJU «

Większość artykułów pochodzi z miesięcznika:

DEFENSE DE LA PAIX

33, rue Vivienne — Paris II — Tel. CEN 49-27, 49-28, 55-20

pod redakcją **PIERRE COTA**
deputowanego do francuskiego parlamentu
oraz
CLAUDE MORGANA, literata i publicysty

KOMITET DORADCZY:

Dr **ATAL** (Indie)
Prof. Uniwersytetu

JOSE BERGAMIN (Hiszpania)
Pisarz katolicki

IZABELA BLUME (Belgia)
Deputowana socjalistyczna

GEORG BRANTING (Szwecja)
Deputowany socjalistyczny

O. CHENU (Francja)
Prof. teologii

ILJA ERENBURG (ZSRR)
Pisarz

Gen. ERIBERTO JARA (Meksyk)
b. minister

MAHDI JAWAHIRI (Irak)
Poeta

LEON KRUCZKOWSKI (Polska)
Przewodn. Zw. Literatów Polskich

MAO DUN (Chiny)
Przewod. Zw. Literatów Chińskich

PIETRO NENNI (Włochy)
b. minister

MARIA ROSA OLIVER (Argent.)
Literatka

LUIGI RUSSO (Włochy)
Krytyk

GORDON SCHAFFER (W. Bryt.)
Publicysta

ARNOLD ZWEIG (Niemcy)
Pisarz

CESA NABARAOU (Egipt)
Dziennikarka

Wydawca: POLSKI KOMITET OBRONCOW POKOJU

Redakcja: W-wa, Foksal 16, tel. 721-10

Administracja: W-wa, ul. Wilejska 12, tel. 7-52-50

Warunki prenumeraty: kwartalnie — 5.40 zł.
półrocznie — 10.80 zł.
rocznie — 21.60 zł.

Oplatę za prenumeratę należy kierować na konto
PKO I-16820 „W obronie pokoju“ PPK „Ruch“,
Ekspedycja Centralna, Srebrna 12.

Wszelkie reprodukcje naszych tekstów i ilustracji są dopuszczalne tylko za podaniem źródła: „W obronie pokoju“.



SZANSE POKOJU

PIERRE COT

ZYJEMY w pasjonującej i niebezpiecznej epoce. W ciągu 1951 roku obserwowaliśmy w istocie jednoczesny wzrost sił pokoju i sił wojny. Los ludzkości zależy od tego, która z tych sił szybciej urośnie.

Nasz bieżący numer poświęcamy obszernemu omówieniu wielkich odkryć naukowych i technicznych, które pozwalają polepszyć los ludzkości. Ograniczyliśmy się więc do podniesienia jednego rogu zasłony. Wiadomo każdemu, że gdyby na świecie zapanował trwały pokój, wszędzie nędza zostałaby pokonana, powierzchnia ziemi — przekształcona, a szczęście uśmiechnęłoby się do mężczyzn, kobiet i dzieci.

Ale wiemy, że pokój nie jest jeszcze utrwalony. Wyścig zbrojeń trwa na pełnych obrotach, pochłaniając bogactwa i zasoby, które można by przeznaczyć na szlachetniejsze cele. Krew tysięcy ludzi płynie nieustannie w Korei, Wietnamie i gdzie indziej; przeprowadza się próby z zastosowaniem broni masowej zagłady.

Mimo to rok 1951 kończy się opromieniony nadzieją. Wiemy teraz, że pokój można zachować — zależy to od nas, od naszego wysiłku. Jeżeli będziemy gorąco pragnąć pokoju, jeśli co dnia każdy z nas będzie sobie powtarzał: co uczyniłem dzisiaj dla pokoju? Co lepszego mogę zdziałać jutro? — wówczas siły wojny osłabną i nadejdzie chwila, gdy przewaga sił pokoju i współpraca międzynarodowa staną się rzeczywistością.

Ubiegły rok 1951 był rokiem oporu przeciw wojnie, oporu przeciw rozbiciu świata na dwa bloki, które byłyby nieodwołalnie skazane na zderzenie się, jak dwa pociągi, biegnące ku sobie po tej samej trasie.

W Azji wojna toczy się jeszcze — ale przynajmniej przestała się rozszerzać. Chiny nie zostały jeszcze dopuszczone do Organizacji Narodów Zjednoczonych, co jest więcej niż niesprawiedliwością, bo głupotą. Ale ostatecznie, jeżeli zapadnie postanowienie zwołania konferencji rozbrojeniowej, trzeba będzie wyjść z realnych faktów, a wśród nich do najważniejszych na świecie należy istnienie Chińskiej Republiki Ludowej i jej armii.

Na Środkowym Wschodzie, a w szczególności w Iranie i w Egipcie, opór przeciw wojnie przybrał znane formy. Cały świat arabski od Sudanu po Maroko ruszył w pochód ku niepodległości narodowej. Ocknięcie się, lub raczej przebudzenie tego rejonu świata w obecnych warunkach stanowi oczywiście czynnik pokoju, może najbardziej decydujący w ubiegłym roku. W połączeniu ze stanowiskiem Indii, które dały przykład, postawa krajów arabskich zmusza tych, którzy by chcieli, lub mogli wywołać wojnę, do poddania rewizji ich planów strategicznych. Postawa ta oddala i utrudnia wybuch wojny — a wygrać na czasie może oznaczać w tym wypadku tyle, co wygrać pokój.

W Ameryce Łacińskiej, mimo dość rozczarowujących pozorów, widzimy zarysowujące się podobne dążenia. Stare cywilizacje amerykańskie nie mają ochoty dać się pochłonać, lub poddać. Chcą zatrzymać swą różnorodność. Tam również, nawet kiedy opór przeciw obcemu imperializmowi przybiera czasem niewłaściwe naszym zdaniem formy jest on czynnikiem pokoju.

Również w zachodniej Europie obserwujemy zarysowywanie się dążenia, lub raczej przeciwdążenia, stojącego na przeszkodzie tym, którzy chcieliby wywołać wojnę. Zachodnia Europa coraz bardziej zastanawia się nad losem nieszczęśliwej Korei. Z drugiej strony nawet dla najbardziej reakcyjnych rządów przygotowania wojenne okazują się trudniejsze do zrealizowania, niż przewidywano. Gospodarka francuska i brytyjska poczyną się ugiąć pod wywieranym na nią naciskiem. W chwili, gdy piszę te słowa, osiągnięto już dwie rzeczy: Churchill oznajmił, że kraj jego zmuszony będzie zrewidować przewidziany początkowo plan zbrojeń. Pewne jest też, że żaden rząd francuski nie mógłby uzyskać od Zgromadzenia Narodowego przegłosowania środków, niezbędnych do wykonania francuskiego programu zbrojeń. W konsekwencji — przygotowania wojenne zostały skrepowane. I tutaj znowu wygrywa się na czasie. Nie jest to jeszcze głos rozsądku, ale jest to już koniecznością. Nie jest to jeszcze przygotowanie do trwałego pokoju, ale jest to już „nie“ — rzucone wojnie, „nie“ mas i ludów, których gniewny protest daje się słyszeć.

Wreszcie, nawet w Stanach Zjednoczonych, gdzie przecież psychologia wojny nieustannie wzrasta, można rozróżnić kilka pomyślniejszych dźwięków — prawdę mówiąc niezbyt licznych i dość słabych, ale których istnienie tym mocniej trzeba podkreślać. DuBois, nasz dzielny DuBois został uniewinniony! Legenda Mac Arthura prysła szybko i dokładnie, jak balon przekłuty szpilką. I naród amerykański — od chwili nastąpienia pewnych wybuchów — zdaje już sobie sprawę, że na wypadek wojny będzie narażony na te same niebezpieczeństwa, co wszystkie inne narody świata...

Czy należy stąd wnioskować, że zmienił się bieg wydarzeń, że odtąd wszystko dobrze idzie, że możemy zmniejszyć nasz wysiłek? W żadnym razie. Pokój — to walka, którą trzeba staczać codziennie. I wiemy, że w nadchodzących latach walka ta będzie coraz cięższa. Nie minęliśmy jeszcze szczytowego nasilenia burzy. Dopiero za parę lat, gdy wyścig zbrojeń osiągnie apogeum, znajdziemy się w samym środku niebezpieczeństwa.

Ale wiemy już teraz, że możemy wygrać i uratować pokój. Walczymy odtąd z przeświadczeniem, że nie jesteśmy tylną strażą, która ratuje honor i strzela ostatni nabój przed klęską, ale czołówką, która toruje drogę i umożliwia zwycięstwo.

Wielkie zadanie czołówki nie polega na staczaniu pierwszych bitew, ale na tworzeniu dostatecznie gęstej i dostatecznie mocnej sieci łączności z trzonym oddziału, a także na pomocy przy mobilizowaniu zaciągu do tego oddziału.

Dla tworzenia tych linii łączności i dokonywania zaciągu tych, którzy zwyciężą wojnę, trzeba mówić do nich językiem, który ich nie razi i który mogą zrozumieć. Trzeba również dobrze ich znać i kochać, rozumieć ich trudności i nie zniechęcać ich. Trzeba okazywać taką samą miłość dla Amerykanina, co dla Chińczyka, dla Brytyjczyka, co dla Rosjanina, dla mieszkańca zachodniej Europy, co dla obywateli krajów demokracji ludowej. Trzeba wreszcie, abyśmy w naszych stosunkach z innymi grupami, lub w naszych osądach na temat działalności innych ludzi, — stosowali w praktyce tego ducha porozumienia i kompromisu, który — jak to codziennie powtarzamy — jest pierwszym warunkiem współistnienia różnych ustrojów społecznych i politycznych.

Musi nas obowiązywać zdecydowanie i dyscyplina! Musimy zachować szerokie spojrzenie w stosunkach z innymi ludźmi! Jeżeli oba te nakazy zastosujemy w praktyce, wtedy spełnimy nasze zadanie bojowników czołówki, zapewniając konieczne kontakty z milionami ludzi dobrej woli we wszystkich krajach i wszystkich poglądów, którzy zwyciężą wojnę.

Bo wielkie są nadal szanse wojny. Ale wielkie są także szanse pokoju. Do nas należy, by naszym zapalem i naszym rozsądkiem przechylić szalę na dobrą stronę.



Rok 1951

CLAUDE MORGAN

KONIEC roku 1950 wywarł na nas wrażenie cyklonu, mimo że II-gi Światowy Kongres Pokoju w Warszawie dopiero zakończył swe obrady, bilansując olbrzymi sukces kampanii sztokholmskiej. Kongres uroczyście uchwalił Oświadczanie do ONZ, nawołując tę organizację do przywrócenia poszanowania dla swej własnej Karty i wskazując praktyczne rozwiązania dla pokojowego uregulowania konfliktu koreańskiego. Wtedy właśnie wybuchła nowa burza. Attlee, ówczesny premier Zjednoczonego Królestwa, zmuszony był udać się natychmiast do Waszyngtonu i zakłąć prezydenta Trumana, by nie użył bomby atomowej.

O co chodziło?

BURZA NAD AZJĄ

Pod naporem Koreańczyków i ochotników chińskich Mac Arthur cofał się znad Jalu na 38 równoleżnik. Prezydent Stanów Zjednoczonych oświadczył na konferencji prasowej, że rząd jego podejmie wszelkie środki celem sprostanienia nowej sytuacji wojskowej. Na zapytanie dziennikarza: „Czy włącznie z użyciem bomby atomowej?”, Truman

odpowiedział: „Mam na myśli wszelkie rodzaje broni, jakie posiadamy”. Innemu dziennikarzowi, który zapytał go również, czy oświadczenia jego oznaczają, iż nie użyje bomby atomowej bez zgody ONZ, prezydent odpowiedział: „Nie, to wcale tego nie oznacza”. Te niepokojące oświadczenia miały tym większy odźwięk wśród narodów, że w Kongresie amerykańskim podniosły się głosy, nakłaniające prezydenta Trumana do

rozpętania wojny atomowej w Chinach. „Teraz lub nigdy“ wykrzyknął Mendels Rivers. „Można by bombardować wszystkie miasta chińskie. Zalecę Trumanowi, aby tego dokonał“. Wtedy właśnie powodzenie kampanii sztokholmskiej przeciw bombie atomowej i sukces II-go Kongresu Pokoju w Warszawie wydały owoce, mobilizując światową opinię publiczną przeciw okropnościom broni masowego zniszczenia.

150-ciu posłów labourzystowskich w Londynie napisało list do Attlee, grożąc wycofaniem swego poparcia dla rządu, jeżeli premier nie wywrze natychmiast nacisku na prezydenta Trumana i nie uzyska od niego zobowiązania, że bez zgody ONZ bomba atomowa nie będzie użyta.

Cała prasa światowa ostro krytykowała generała Mac Arthura, który parł do bombardowania „chińskiego sanktuarium“ po drugiej stronie Jalu. Nawet w Stanach Zjednoczonych powiał wiatr paniki. „New York Times“ pisał 1 grudnia: „W szkołach nowojorskich mówiono tylko o wojnie. Na uniwersytetach kolumbijskim i nowojorskim, w City College, studenci wyrażali obawę, że będą musieli przywdziać mundury, przerwać studia, by iść się w wojnie światowej“.

WEZWANIE POD BRONŃ W EUROPIE ZACHODNIEJ

Szary człowiek nie dowiedział się nigdy, co dokładnie powiedziane zostało podczas spotkania między Attlee a Trumanem. Nie wydaje się, sądząc ze sprawozdań prasowych, lub z obrad w Izbie Gmin, aby pre-

mier brytyjski uzyskał gwarancje, których się domagał. Jednak świat odetchnął z ulgą. Przez pewien czas nie było mowy o rozciągnięciu wojny na terytorium Chin. Ale w zamian propaganda zachodnia kładła nacisk na następującą sprawę: „Nie należy się hipnotyzować samym tylko problemem koreańskim. Klucz sytuacji międzynarodowej znajduje się w Europie, trzeba przyspieszyć jej zbrojenia i wcielić Niemcy zachodnie do paktu atlantyckiego“. Taka była w istocie nauka z pięciomiesięcznej wojny w Korei: nie można prowadzić wojny bez armii.

Rok 1951 rozpoczął się pod znakiem tego nawoływania do tworzenia nowych dywizji na Zachodzie. Łagodny styczeń, tak podobny w zachodniej Europie do pięknej jesieni, stał pod znakiem inspekcyjnej podróży generała Eisenhowera od stolicy do stolicy: Londyn, Paryż, Bruksela, Haga, Rzym, Paryż. Silne wzruszenie, wywołane możliwością grożącej wojny, u wielu ludzi ustąpiło miejsca głuchemu niepokojowi. Nie była to już szalona gwałtowność cyklonu, lecz trwoga przed błakaniem się we mgle. Trwogę tę odczuł prawie cały świat, nawet ci, którzy myśleli, że zbrojenia są niezbędne wobec możliwości agresji radzieckiej. Wszyscy zrozumieli, mniej lub bardziej jasno, co pociąga za sobą podróż generała Eisenhowera po Europie: szaleńcze zbrojenia krajów zachodnich, ciężkie warunki życia, re-militaryzacja Niemiec. Oświadczenia generała Eisenhowera nie zmierzały do rozproszenia złego samopoczucia. 1 lutego, w przemówieniu radiowym, Eisenhower zażądał jednocześnie:

— od Francuzów, aby wzniesli się na poziom żołnierzy spod Verdun,

— od Włochów, aby wykrzesali w sobie zapał, który ich ożywił w Vittorio Veneto,

— od Brytyjczyków, aby odzyskali bohaterskiego ducha z 1940 roku.

Nie można zaprzeczyć, że ludzie miłujący pokój — a prawie wszyscy ludzie kochają pokój — z przykrością wysłuchali tej wypowiedzi. Poczuli zadawać sobie pytanie, czy któregoś ranka nie znajdą znowu rozlepienych na murach ponurych ogłoszeń o powszechnej mobilizacji. Sił, choćby byli tym bardziej zaniepokojeni, że generał wymienił, jako główny wkład Stanów Zjednoczonych do wspólnej „obrony“, dostawę amunicji i wyposażenia. Nikt nie lubi, gdy mu się mówi: „Oto mundur i broń, idź i daj się zabić“. 15 lutego odbyła się w Paryżu pierwsza konferencja w sprawie utworzenia „armii europejskiej“.

ONZ PRZECIW CHINOM

W tym samym czasie sytuacja w Azji znowu zaostrzała się. Większość Zgromadzenia Organizacji Narodów Zjednoczonych (większość o prawda pozbawiona dużej ilości krajów azjatyckich, a w szczególności Indii), przyjęła na początku lutego tekst wniosku, złożonego przez przedstawiciela Stanów Zjednoczonych Austina, potępiającego Chiny jako agresora. To potępienie wstrząsnęło sumieniami wielu uczciwych ludzi wszystkich krajów i wszystkich przekonań.

W istocie rząd Chińskiej Republiki Ludowej wielokrotnie uprzedzał

Stany Zjednoczone, że lud chiński nie może pozostać bierny w wypadku, gdy wojska Mac Arthura przekroczą 38 równoleżnik i zbliżą się do granic Chin. Z drugiej strony, wypowiedzi generałów i polityków amerykańskich wyrażały — najdelikatniej mówiąc — pogroźki pod adresem Chińskiej Republiki Ludowej. Co więcej, Waszyngton odmawiał oddania wyspy Formozy rządowi chińskiemu i chronił tam przy pomocy swej floty byłego dyktatora Chin, Czang Kai-szeka, wypędzonego z kontynentu przez lud chiński. Wielu obserwatorów — szczególnie na łamach prasy brytyjskiej — wyrażało pogląd, że Chiny słusznie mogą uważać się za zagrożone. Z drugiej strony podkreślali, że zaciąg ochotników do armii zaprzyjaźnionego kraju, walczącego z innym mocarstwem, nigdy przez nikogo nie był uważany za akt agresji. Czy może należałoby potępić także Lafayette'a?

Rząd chiński wielokrotnie proponował za pośrednictwem Indii podjęcie rokowań dla pokojowego uregulowania konfliktu koreańskiego, zgadzając się uzgodnić datę rozejmu z datą zwołania konferencji siedmiu mocarstw, z udziałem Stanów Zjednoczonych, Związku Radzieckiego, Wielkiej Brytanii, Francji, Indii i Egiptu. Potępienie Chin położyło oczywiście kres tej nasuwającej się możliwości pokojowego uregulowania sprawy. Bojąc się jednak osamotnienia, Stany Zjednoczone nie upierały się przy żądaniach otrzymania od ONZ sankcji wojskowych. Generalissimus Stalin, w wywiadzie przedrukowanym przez całą prasę międzynarodową, wystąpił przeciw

tej decyzji ONZ i wezwał ludy do czujności dla obrony zagrożonego pokoju.

GDYBY TO SIĘ ZDARZYŁO U NAS

Wojna stawiała się zarazem coraz groźniejsza i okrutniejsza zarówno w Korei, jak i w Indochinach, gdzie lotnictwo francuskie również zaczęło używać straszliwego napalmu. Obserwując postępy i cofanie się wojsk w Korei, cierpienia nieszczęsnej ludności, ginącej z głodu i zimna na drogach wygnania, ściganej przez lotnictwo, myśląc o zniszczonych miastach i spustoszonej ziemi, coraz więcej Europejczyków zadawało sobie pytanie:

„A gdyby to spustoszenie zdarzyło się u nas?”

Różnica między nimi wynikała z rozbieżności pojęć na temat zbrojeń. Jedni potępiali je, sądząc, że zbrojenia logicznie prowadzą do wojny. Inni odnosili się do nich z rezygnacją, uważając je za zło konieczne. Niektórzy przyłączali się do koncepcji neutralizmu.

Nadeszło wydarzenie, które pojednało wszystkich ludzi miłujących pokój: nowy apel Światowej Rady Pokoju zebranej w Berlinie (w dniach 21 — 26 lutego) o zawarcie Paktu Pokoju między pięcioma wielkimi mocarstwami. Kto mógł opowiedzieć się przeciw konieczności spotkania się pięciu wielkich mocarstw dla rozmowy przy wspólnym stole?

USPOKOJENIE

5 marca rozpoczęła się konferencja zastępców dla przygotowania

spotkania czterech ministrów spraw zagranicznych. Toczyły się rozmowy i jak długo one trwały, niebezpieczeństwo wojny było mniejsze. Marzec przebiegał nieco spokojniej. Rozmowy grzęzły w specjalnych trudnościach, spowodowanych problemem zbrojeń. Głęboki oddźwięk wywołał zwycięski strajk w Barcelonie. Wstrząsnął władzą frankistowską i zaufaniem tych, którzy uważali Hiszpanię za bardzo pewny lotniskowiec dla bombowców atomowych. Strajk ten wzmógł opór robotników innych krajów przeciw rujnującej polityce zbrojeń.

TRZECI KRYZYS AZJATYCKI

I nagle raz jeszcze nastąpił ostry kryzys na Dalekim Wschodzie. Ze swej kwatery głównej w Tokio generał Mac Arthur w dalszym ciągu prowadził politykę prowokacji. Otwarcie żądał prawa wykorzystania armii Czang Kai-szeka do napaści na kontynent chiński. Światowa opinia publiczna zareagowała na to tak silnie, że Waszyngton znowu przestraszył się osamotnienia w ONZ w wypadku pójsia na rękę Mac Arthurowi. 12 kwietnia prezydent Truman zwolnił generała ze stanowiska naczelnego dowódcy.

Narody myślały, że będą mogły swobodnie odetchnąć. Ale już w maju niezwykła rozprawa na forum Senatu USA między Mac Arthurem a rządem Stanów Zjednoczonych, przywróciła stan zaniepokojenia. Gazety ogłosiły wypowiedź prezydenta Trumana: „**Stawką obecnej walki, powiedział, mogłaby być wojna atomowa.**” I wypowiedź generała

Bradley'a: „Propozycje Mac Arthura wciągały nas w złą wojnę, w złym miejscu, w złym momencie i ze złym przeciwnikiem“. Ale prosty człowiek zadawał sobie pytanie: czy jest to tylko sprawa momentu lub miejsca?

Cała prasa zamieściła depeszę na temat nowej broni, wypróbowanej w Korei, która wypuszczała ścianę płomieni wysokości siedemdziesięciu metrów! 21 czerwca konferencja zastępców, obradująca od trzech miesięcy w Paryżu, zakończyła się bez rezultatu.

RAZ JESZCZE NIEBO SIĘ ROZJAŚNIA

25 czerwca, w rocznicę wybuchu wojny w Korei, Malik, kolejny przewodniczący Rady Bezpieczeństwa, wygłosił w ONZ przemówienie, w którym zaproponował podjęcie dyskusji między walczącymi stronami, celem dokonania zawieszenia broni w Korei.

Propozycja ta przyjęta została z ulgą przez narody wszystkich krajów, a także przez samych żołnierzy amerykańskich w Korei. Prasa międzynarodowa pisała wiele na ten temat.

26 czerwca Chiny wyraziły zgodę na propozycję Malika. 29 czerwca krystalizują się szanse rokowań w sprawie rozejmu. Generał Ridgway i naczelný dowódca wojsk koreańskich uzgadniają spotkanie pełnomocników w Kaesongu między 10 a 15 lipca.

IRAŃSKA PRÓBA SIŁ

Ale w innym kraju ujawnia się nowy punkt newralgiczny; w kraju, który dziwnym zbiegiem okoliczności również przecina ten sam 38 równoleżnik — Iranie. Cały lud irański wystąpił, by uzyskać uznanie prawa nacjonalizacji nafty, uchwalonego przez parlament w Teheranie. Rząd brytyjski sprzeciwia się tej nacjonalizacji i wypędzeniu potężnej Anglo - Iranian Company, która od pół wieku włada Iranem. 27 czerwca do zatoki Abadanu, wielkiego portu naftowego, wpływa krążownik angielski, podczas gdy w Iraku czuwa w pogotowiu dywizja spadochroniarzy. W innych czasach wielkie mocarstwo kolonialne, jakim jest Wielka Brytania, nie wahałoby się interweniować. Ale obecne warunki różnią się zasadniczo od dawnych. W razie interwencji brytyjskiej, mógłby wybuchnąć ogólny konflikt. Prezydent Truman wysłał do Teheranu doradcę Harrimana. Ale nic nie może stanąć na przekór woli narodu irańskiego, zjednoczonego dla obrony swych praw do dysponowania własnymi bogactwami.

ROZSZERZENIE PAKTU ATLANTYCKIEGO

Opór przeciw polityce zbrojeń, którego siła ujawniła się m. in. w wynikach wyborów do rad miejskich we Włoszech i w wynikach wyborów we Francji, spowodował decyzję Waszyngtonu szukania nowych uczestników wojskowego paktu atlantyckiego.

Podpisano układ z rządem jugosłowiańskim, by go również uszczęśliwić pomocą wojskową. Admirał Sherman udał się do Hiszpanii na rokowania z rządem frankistowskim. I podczas gdy toczyły się rokowania w sprawie rozejmu w Korei, przygotowania wojenne rozwijały się w dalszym ciągu.

Z jednej strony, rząd Stanów Zjednoczonych ogłosił publicznie swój projekt traktatu pokojowego z Japonią. Traktat ten zezwalał na odrodzenie armii japońskiej. Z drugiej strony, Waszyngton wysunął propozycję konferencji trzech dla przyspieszenia wcielenia niemieckich sił wojskowych do armii atlantyckiej. Wreszcie rząd brytyjski przyjął propozycję Waszyngtonu w sprawie rozszerzenia paktu atlantyckiego na Grecję i Turcję.

PAKT PIĘCIU NA ARENIE MIĘDZYNARODOWEJ

Nazajutrz po berlińskiej konferencji Światowej Rady Pokoju w lutym br., we wszystkich krajach świata rozpoczęła się kampania na rzecz zawarcia Paktu Pokoju między pięcioma wielkimi mocarstwami. W wielu krajach, a w szczególności, co jest bardzo zrozumiałe, w krajach azjatyckich, rezultaty tej kampanii przekroczyły jeszcze wyniki kampanii sztokholmskiej.

Propozycja ta została po raz pierwszy wysunięta na płaszczyźnie dyplomacji międzynarodowej. Istotnie, odpowiadając 6 sierpnia prezydentowi Trumanowi, który przekazał Radzie Najwyższej ZSRR oświadcze-

nie Kongresu, zapewniające, że rząd Stanów Zjednoczonych żywi wobec ludu radzieckiego jedynie pokojowe zamiary — Szverniki, przewodniczący Rady Najwyższej ZSRR, potwierdził ze swej strony wolę pokoju narodu radzieckiego. Ale, uważając, że życzenia i zapewnienia nie mogą wystarczyć do zachowania pokoju stwierdził, że jest jak najbardziej pilną koniecznością położyć kres wyścigowi zbrojeń i zakazać użycia broni atomowej, tworząc międzynarodowy system kontroli oraz doprowadzić do zawarcia Paktu pięciu wielkich mocarstw dla utrwalenia pokoju.

NAD BRZEGIEM PRZEPAŚCI

Wrzesień rozpoczął się w sposób jak najbardziej nieprzyjemny. 5-go podpisany został traktat w San Francisco, który określił los Japonii. Nieobecne były dwa największe narody Azji — Chiny i Indie. Nie dopuszczono do żadnych zastrzeżeń. Traktat ten sankcjonujący remilitaryzację Japonii, poprzedził traktat o sojuszu japońsko - amerykańskim.

W 48 godzin później ministrowie spraw zagranicznych USA, Anglii i Francji zebrali się w Waszyngtonie, by przyspieszyć wcielenie Niemiec zachodnich do atlantyckiego systemu wojskowego.

Wreszcie 21-go w Ottawie, przedstawiciele dwunastu krajów atlantyckich zebrali się dla rozpatrzenia środków finansowych, gospodarczych i wojskowych celem wzmocnienia ich koalicji.

Podczas gdy toczyły się te dysku-

sje, rokowania, podjęte przez premiera rządu Niemieckiej Republiki Demokratycznej, Grotewohla z rządem Republiki Związkowej w sprawie powszechnych wyborów i zjednoczenia kraju, weszły na ślepe tory.

W październiku nie doszło do rozejmu w Korei, i coraz częściej mowa była w Stanach Zjednoczonych o użyciu broni atomowej. Ale dla uniknięcia nowej paniki wśród opinii publicznej starano się mówić tym razem jedynie o taktycznym jej zastosowaniu, jakby usiłując zatuszować, że chodzi o broń masowego zniszczenia.

A 3 października prasa oznajmiła, że w Newadzie dokonano prób z nową taktyczną bronią atomową.

Nazajutrz, 4 października, amerykańscy rzeczoznawcy zawiadomili, że bomba atomowa wybuchła w Związku Radzieckim.

6 października ukazał się w „Prawdzie“ wywiad Generalissimusa Stalina. Wywiad ten oznajmiał, że ZSRR dokonywał i dokonywać będzie w ramach swej obrony prób bomby atomowej różnych kalibrów, raz jeszcze potwierdzał uroczyste zobowiązanie, że Związek Radziecki nie zamierza atakować ani Stanów Zjednoczonych, ani żadnego innego kraju i przypominał niewzruszone stanowisko ZSRR w sprawie absolutnego zakazu broni atomowej, zniszczenia istniejących zapasów i międzynarodowej kontroli tych postanowień, kontroli, która nie powinna jednak wyłączać wykorzystywania energii atomowej dla celów pokojowych.

Jeżeli nie przypominamy tutaj

dramatycznego wystąpienia ambadora Stanów Zjednoczonych w Moskwie, admirała Kirka z 5 października, u ministra spraw zagranicznych ZSRR, Wyszyńskiego, to dlatego, że opublikowano je dopiero po krzyysie, skutkiem czego nie wywarło ono wpływu na opinię publiczną.

Wywiad Stalina miał trzy skutki. W pierwszym rzędzie, informując świat, że ZSRR nie tylko posiada tajemnicę atomową, o czym wiadomo od 1947 roku — ale fabrykuje bomby i czyni z nimi próby, dał on do myślenia tym, którzy głosili wojnę atomową. Po drugie, zwrócił znowu uwagę świata na zasadniczy problem zakazu broni atomowej. Wreszcie — nie przerwano rokowań o zawarcie rozejmu w Korei.

EGIPT WALCZY O NIEPODLEGŁOŚĆ

Również w tym czasie, 9 października, Kair wypowiedział traktat z Wielką Brytanią. Tak jak w Iranie, ruch narodowy, obejmujący wszystkie warstwy społeczeństwa, zmobilizował naród egipski przeciw Anglii w walce o uzyskanie samodzielnego decydowania o sobie.

W Egipcie nie ma już ani jednego Anglika, poza Kanałem Sueskim na całej jego długości. Znajdujące się tam oddziały brytyjskie otrzymały rozkaz utrzymania się za wszelką cenę. Ale ludność odrzuca wszelką z nimi współpracę i na obszarze tym rozwija się akcja, która z wielu względów przypomina europejski ruch oporu przeciw okupantowi podczas ostatniej wojny światowej.

Dążąc do realizacji zachodnich projektów wojskowych, rząd Stanów Zjednoczonych zaproponował Egipcjowi uczestnictwo w blisko-wschodnim pakcie wojskowym, u boku Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Francji i Turcji. Ale rząd egipski odmówił przystąpienia do tego bloku, który nieuniknienie pociągnąłby za sobą obcą okupację. Decyzja ta posiada duże znaczenie, gdyż bez udziału Egiptu ów pakt nie może posiadać realnej wartości. Z drugiej strony, odciąga ona inne kraje arabskie od ewentualnego uczestnictwa w tym sojuszu wojskowym, który przyniósłby ze sobą intensywnie zbrojenia na całym Bliskim Wschodzie.

W listopadzie nastąpiły po sobie dwa ważne wydarzenia: wiedeńska sesja Światowej Rady Pokoju i paryska konferencja Zgromadzenia Organizacji Narodów Zjednoczonych. Niestety, znaczna ilość ludzi, którzy nieuniknienie słyszeli o tej drugiej, nie była zupełnie poinformowana na temat pierwszej. A przecież zaszyły tam ważne rzeczy. Istotnie, Światowa Rada Pokoju, zwracając się znowu do ONZ w czasie prac jej Zgromadzenia Ogólnego, przedłożyła pod jej rozprawę projekt redukcji zbrojeń.

Projekt ten zawierał zakaz broni masowej zagłady, zagwarantowany surową kontrolą obejmującą również zbrojenia klasyczne, stopniową i jednoczesną redukcję broni klasycznych, redukcję, która powinna pod koniec roku 1952 wynosić od jednej trzeciej do połowy zgłoszonych, stwierdzonych i uznanych

zbrojeń, z zastosowaniem systemu, zapewniającego na każdym etapie rozbrojenia powszechne bezpieczeństwo.

W tym samym czasie, gdy na całym świecie rozbrzmiewa hasło zbrojeń, zbrojeń rujnujących narody, słowo „rozbrojenie“ staje się kluczowym punktem sytuacji. Kiedy wreszcie nastąpi rozbrojenie? — pyta prosty człowiek we wszystkich krajach świata. Kiedy ujrzymy wreszcie koniec tych potwornych budżetów wojennych, które nas spychają w nędzę?

PRZESZKODA PLANU BARUCHA

W ONZ rozbrojenie wkroczyło wstępny bojem na porządek dzienny. Poważne różnice dzielą propozycję trzech mocarstw zachodnich: Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Francji, od propozycji Związku Radzieckiego. Propozycja zachodnia głosi przede wszystkim ogłoszenie i weryfikację aktualnego poziomu zbrojeń. Nie zawiera natomiast zakazu broni atomowej, gdyż odwołuje się do planu Barucha, który przewiduje, że zakaz zrealizowany będzie dopiero wtedy, gdy zostanie zorganizowana i przeprowadzona na wszystkich etapach produkcji atomowej kontrola międzynarodowa, sprawowana przez komisję, mianowaną przez większość Zgromadzenia ONZ. Wiadomo, że Związek Radziecki nigdy nie zgodził się na tę tezę, wysuniętą w czasie, gdy Stany Zjednoczone posiadały monopol atomowy. Związek Radziecki nie zgadza się na nią z trzech zasadniczych powodów. Po pierwsze

— gdyż propozycja ta przyznaje monopol kontroli międzynarodowej organowi ustanowionemu na obraz i podobieństwo Zgromadzenia ONZ, to znaczy faktycznie większości amerykańskiej. Po drugie — że taka kontrola wszelkiej produkcji atomowej przeszkadzałaby Związkowi Radzieckiemu w jego woli wykorzystania energii atomowej dla produkcji narodowej o charakterze pokojowym. Po trzecie — że zakaz, który miałby nastąpić po całkowitej realizacji systemu kontroli, mógłby się urzeczywistnić w czasie tak odległym, że nie można go nawet określić.

W swym projekcie rozbrojenia Wyszyński nie zmienia stanowiska odnośnie planu Barucha. Proponuje on w pierwszym rzędzie natychmiastowy i bezwarunkowy zakaz broni atomowej. W bardzo szybkim czasie miałby zostać wprowadzony system surowej kontroli międzynarodowej, powierzonej nie Komisji, wybranej przez Zgromadzenie, ale samej Radzie Bezpieczeństwa. W swych komentarzach minister spraw zagranicznych ZSRR określił, że ewentualne decyzje nie pozwalająby na zastosowanie prawa weta. Proponuje on następnie redukcję jednej trzeciej wszystkich zbrojeń w ciągu jednego roku, a wreszcie w ciągu miesiąca od zakazu broni atomowej i postanowienia redukcji innych zbrojeń — ogłoszenie wszystkich oficjalnych danych o zbrojeniach i siłach zbrojnych każdego kraju.

ROK KOŃCZY SIĘ NUTĄ NADZIEI

Zainteresowanie rozbrojeniem jest tak wielkie, że światowa opinia publiczna narzuciła niejako ONZ pró-

bę zbliżenia obu projektów. Propozycja Iraku, Syrii i Pakistanu utworzenia specjalnej podkomisji dla wykonania tego zadania, przyjęta została jednomyślnie. Czy odniesie ona skutek? Czy projekt, uchwalony przez Światową Radę Pokoju, pomoże do znalezienia płaszczyzny porozumienia?

Fakt, że podkomisja taka istnieje, jest pierwszym krokiem, pierwszym, jeszcze bardzo względnym zwycięstwem ducha rokowań nad duchem wojny. Układ w Korei między pełnomocnikami amerykańskimi i koreańskimi w sprawie wytyczenia linii zawieszenia broni jest drugim sukcesem.

Naturalnie, rokowania na temat rozbrojenia wydają się sprzeczne z wynurzeniami gazet zachodnich o utworzeniu „armii europejskiej”, są sprzeczne z przyspieszonym zwiększaniem budżetów wojennych, rozbudową baz wojskowych i rozmieszczaniem jednostek armii Stanów Zjednoczonych we wszystkich krajach zachodniej Europy. Oba prądy stawiają sobie czoło i zderzają się w gwałtownych wirach. Wysiłek tych wszystkich, którzy kochają życie i którzy pragną zwycięstwa życia, winien polegać na popieraniu prądu rozbrojenia i pokoju.

Idea „armii europejskiej” godzi w poczucie narodowe ludów. Francuzi i Belgowie dają w swej większości wyraz głębokiemu oburzeniu na myśl, że dzieci ich mogłyby zostać wezwane pod broń u boku dawnych elementów hitlerowskich, odzianych w te same mundury i podległych władzy ponadnarodowej. Tak bardzo trudno jest zmusić do przyjęcia te-

go projektu, że na konferencji atlantyckiej w Rzymie nie doszło do podjęcia żadnej decyzji i ostateczne postanowienia przełożone zostały na konferencję w Lizbonie, przewidzianą na koniec lutego 1952 r.

Na sesji Rady Europejskiej w Strassburgu delegat brytyjski, minister spraw wewnętrznych gabinetu Churchilla, oświadczył wyraźnie, że kraj jego nie może uczestniczyć ani w poolu węglowo - stalowym, ani w armii europejskiej, ani w federacji europejskiej, podległym władzom ponadnarodowym. Przejawiający się w postawie ministra opór narodowy Anglii w równym stopniu służy pokojowi, jak służą mu ruchy narodowe w Egipcie i w Iranie.

Rok 1951 rozpoczął się cyklonem. I, jak widzieliśmy, w ciągu całego roku nowe cyklony rozpętywały się nad światem. Ale za każdym razem można było uratować sytuację. Dowodzi to, że można pokonać cyklony. I nie tylko cyklony atmosferyczne, które tak wspaniale opisuje Conrad, ale również kataklizmy na skalę światową, które doprowadziłyby do atomowej śmierci trzech czwartych ludzkości, gdyby ludzie z nimi

nie walczyli wszystkimi zjednoczonymi siłami, z całą swą wiarą w życie i z miłością.

Rok, który się zaczął, jest rokiem nadziei. Istnieją wszelkie powody, aby mieć pewność, że wspólny wysiłek narodów, jedyny który dotąd pozwolił uniknąć najgorszego, wywrze silny wpływ na prowadzenie niezbędnych rokowań w sprawie rozbrojenia. Ludzie miłujący pokój wzięli inicjatywę w swe ręce i będą ją trzymać. Znakomitą tego oznaką był ten faktyczny rozejm, który zapanaował na przeciąg jednego dnia na froncie koreańskim z woli samych walczących, na wiadomość o osiągnięciu porozumienia w sprawie demarkacyjnej linii zawieszenia broni. Aby przerwać ten stan, dowództwo wojskowe Stanów Zjednoczonych, które nie otrzymało instrukcji zawieszenia broni, wydało rozkaz „strzelania dla strzelania“.

Wytrwałość, odwaga i cierpliwość są zasadniczymi cnotami ludzi miłujących pokój. W roku 1952 będą oni nadal uparcie walczyć, by uratować od zniszczenia i śmierci wszystko, co stanowi honor oraz bogactwo moralne i materialne ludzkości.



*Ja mam swoją religię, a ty masz swoją
— lecz możemy z sobą współpracować (Koran).*

wywiad z **Azzamem PASZĄ**

SEKRETARZEM
LIGI ARABSKIEJ
PRZEPROWADZILI:
DOMINIQUE DESANTI
I ROGER MARIA



WIADOMO jak doniosłą rolę odgrywa na obecnej sesji Organizacji Narodów Zjednoczonych świat arabski. Szczególną pozycję zajmuje tu Azzam Pasza, który cieszy się osobistą popularnością. Czarne oczy, smagła cera, rysy twarzy charakterystyczne i subtelne, siwe włosy, spojrzenie dziwnie mocne, obycie dyplomaty — wszystko to składa się na sylwetkę przypominającą wielkiego handlowca i przywódcę religijnego Arabii. Jednak popularność jego nie pochodzi stąd, że jest członkiem delegacji egipskiej. Nie pochodzi również stąd, że od r. 1926 jest posłem do parlamentu egipskiego z ramienia partii narodowej Wafdystów, ani stąd, że był posłem Egiptu we wszystkich stolicach świata arabskiego, ani wreszcie stąd, że w r. 1944 prowadził pielgrzymkę do Mekki, z której wrócił z tytułem „emir el hadż“.

Azzam Pasza jest sekretarzem generalnym Ligi Arabskiej. Ów na poły religijny, na wpół polityczny związek narodów Środkowego Wschodu nabrał bardzo szybko dużego znaczenia. Skupia on dzisiaj obok delegatów Egiptu, Syrii, Libanu, Transjordanii i Iraku również przedstawiciele Jemenu i Arabii Saudyjskiej.

* * *

Azzam Pasza przyjął nas w wielkim salonie, umeblowanym w stylu Ludwika XV, w jednym z pałaców przy alei George V.

Ubrany w błękitne szaty, autor książki: *„Arabowie — naród przyszłości“*, odpowiada na wszystkie pytania, zaczynając od wersetu z Koranu. Mówi biegle po angielsku i rozumie dość dobrze język francuski.

Wspominamy o „Dżihad“, „świętej wojnie“, proklamowanej przez Ulemów, arabskich przywódców religijnych, przeciwko okupacji brytyjskiej.

— *Sprecyzujmy najpierw terminy, powiada Azzam Pasza. „Dżihad“ jest świętą walką pod wszelkimi formami. Nie wymaga ona koniecznie używania środków gwałtu. Świat islamu uznaje jedynie dwa wypadki wojny sprawiedliwej: bądź wtedy kiedy naród jakiś jest zaatakowany, bądź też jeśli zagrożona jest wolność wiary. Wojny agresywne, a zatem również wojny kolonialne są zakazane. Oto dlaczego wypowiedzieliśmy się przeciwko broni atomowej i bakteriologicznej, które godzą w ludność cywilną. Koran zabrania narzucania swej wiary przy pomocy siły. I na odwrót, dopuszcza opór i samoobronę przeciwko złu.*

Poruszamy następnie sprawę jednolitego dowództwa na Środkowym Wschodzie, proponowanego przez mocarstwa paktu atlantyckiego.

— *Powiem wam, że nie pytano w tej sprawie Arabów — odpowiada po prostu Azzam Pasza. Sprawa ta nigdy nie była analizowana przez Ligę Arabską jako taką. Wiem natomiast, że pewne rządy, reprezentujące narody w większości muzułmańskie, ustosunkowały się przychylnie do tej propozycji. Są to oczywiście rządy świeckie. Z drugiej jednak strony, liczni oby-*

watele tych krajów są dobrymi muzułmanami i możliwe jest, że sumienie ich nie zgodzi się z takim stanowiskiem.

Przypominamy, że Egipt, jak również inne kraje, wchodzące w skład Ligi Arabskiej, wniosły do Organizacji Narodów Zjednoczonych sprawę Maroka. Zwracamy uwagę Azzam Paszy, że bojownicy o narodowe wyzwolenie Maroka mają również nadzieję na usunięcie nędzy panującej w miastach i wsiach marokańskich.

Azzam Pasza opisuje nam bardzo szczegółowo reformy społeczne, dokonane w Egipcie po odejściu Anglików. Przyznaje jednak zarazem, że do ideału bardzo jeszcze daleko.

— Sądzę, że jeśli naród jakiś poczuł raz smak zwycięstwa — powiada Azzam Pasza — zgodzi się również na przyszłe walki.

Palimy egipskie papierosy, ozdobione złotą koroną i rozmawiamy o apelu w sprawie zawarcia Paktu Pokoju między pięcioma wielkimi mocarstwami.

— Opowiadam się za wszystkim, co może utrwalić pokój, doprowadzić do uniknięcia wojny i do współpracy wielkich mocarstw — powiada sekretarz generalny Ligi Arabskiej. Już z góry uważam propozycję tę za dobrą, jeśli prawdziwą jej intencją jest uratowanie pokoju.

Azzam Pasza nie znał rezolucji uchwalonych w Wiedniu przez Światową Radę Pokoju, a zwłaszcza tej, która głosi, że „Światowa Rada Pokoju wzywa do niezwłocznego wycofania wszystkich wojsk obcych z Egiptu i Sudanu, aby kraje te mogły swobodnie decydować o swym losie“.

— Są to sprawiedliwe słowa. Musimy zatem wyrazić nasze uznanie dla tego wkładu w zwycięstwo sprawiedliwości.

Sprawa wymiany handlowej z krajami Wschodu wydaje się być dobrze znana sekretarzowi generalnemu Ligi Arabskiej:

— Nigdy nie poddawaliśmy się jakiegokolwiek presji, jeśli chodzi o naszą wolność gospodarczą. Muszę stwierdzić, że nie wiem o istnieniu jakiegokolwiek presji w obecnej chwili. W naszych traktatach handlowych bierzemy pod uwagę wyłącznie interes naszego kraju. W obecnej chwili nasze stosunki gospodarcze z krajami Europy wschodniej są bardzo ożywione. Przyступujemy do zawarcia umów handlowych z Polską oraz innymi krajami tej części Europy. Kraje te bowiem interesują się naszą bawełną, a my interesujemy się ich produktami. Swoboda wymiany gospodarczej, oraz wszelkiej innej pomiędzy wszystkimi krajami siłą rzeczy przyczynić się musi do zmniejszenia naprężenia międzynarodowego.

Papieros ze złotą koroną został wypalony. Pół tuzina nowych kandydatów do rozmowy rozsiadło się w fotelach w stylu Ludwika XV.

Pod koniec mówimy o pokojowym współistnieniu systemów i ideologii. Azzam Pasza mówi o tym bardzo jasno:

— Koran, jak wam już mówiłem, zabrania narzucania siłą naszej religii. Jest on przeciwny wszelkiej dyskryminacji rasowej i klasowej. „Jesteście

wszyscy dziećmi Adama, powiedziano tam, a Adam był tylko pyłem". I dalej: „Jesteście wszyscy równi, jak zęby w jednej szczęcie“.

Lecz Koran mówi ponad to: „Ty masz swoją religię i ja mam swoją, lecz przecież możemy być przyjaciółmi i współpracować“. Miałem okazję mówić na ten temat do muzułmanów, zgromadzonych w hallu jednego z uniwersytetów amerykańskich podczas poprzedniej sesji Organizacji Narodów Zjednoczonych. Wytłumaczyłem im, że istnieje olbrzymia różnica pomiędzy utrzymywaniem przyjaznych stosunków gospodarczych i dyplomatycznych ze Związkiem Radzieckim i krajami Europy wschodniej, a pragnieniem przyjęcia ich ustroju politycznego, czy społecznego, względnie ich sposobu myślenia.

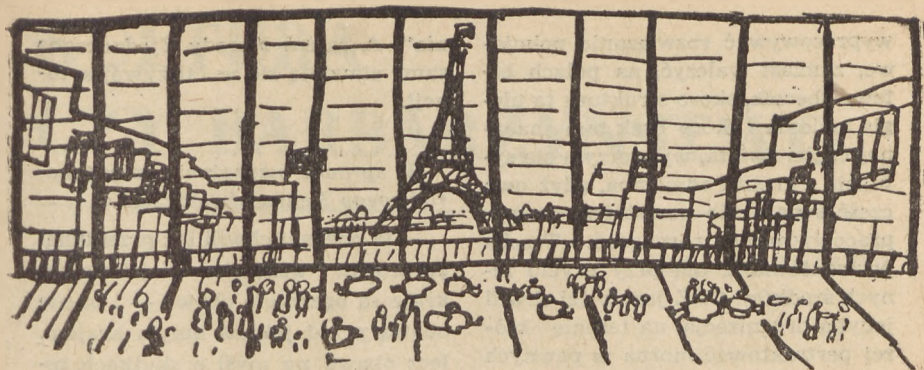
Nie widzę, jakim sposobem Związek Radziecki zagraża obecnie mojej ojczyźnie. Natomiast czynią to obce wojska, rozlokowane na naszej ziemi ojczystej; to stanowi groźbę dla naszego bezpieczeństwa.

Jeśli chodzi o ideologię...

Ci którzy czekają, nadstawiają uszu. Dwie małe szmaciane laleczki na kominku wprowadzają wesołą nutę w ten poważny nastrój. Azzam Pasza mówi pewnym głosem:

— Uważamy, że ideologia islamu przewyższa wszystkie inne i że w konsekwencji tego odniesie ona zwycięstwo. Lecz nie mamy potrzeby używania siły aby zatriumfowała. Dwa systemy filozoficzne, dwa różne ustroje mogą współistnieć i współpracować.





R O L A O N Z

WEDŁUG WYPOWIEDZI

PANDIT NEHRU

PREMIERA INDII

NORMAN COUSINS, dziennikarz amerykański, miał okazję przeprowadzić wywiad z Pandit Nehru, w czasie swej podróży do Indii ubiegłej wiosny. W czasie pięciu spotkań, Normana Cousinsa z premierem Pandit Nehru w New-Delhi, z których relacja niebawem ukaże się w wydaniu książkowym w Stanach Zjednoczonych, niejednokrotnie omawiane były palące problemy chwili bieżącej, a zwłaszcza koncepcja Narodów Zjednoczonych oraz zagadnienie możliwości współistnienia i współpracy różnych mocarstw.

*

Odpowiadając na pytanie dziennikarza amerykańskiego, czy uważa, że ONZ w jej obecnym stadium rozwoju jest w stanie przeszkodzić rozprzestrzenianiu się pewnych doktryn na świecie, Nehru oświadczył:

— Zadanie Organizacji Narodów Zjednoczonych określone zostało w jej Karcie. Jej strukturę określili i proklamowali jej założyciele. Jest ona z istoty swojej instrumentem pokoju. Jeśli struktura ta uległa zmianie i jeśli Organizacja Narodów Zjednoczonych stała się instrumentem wojny, przestała ona tym samym spełniać swą rolę jako Organizacja Narodów Zjednoczonych, a stała się czymś innym, co w gruncie rzeczy mogłoby być niepotrzebne. Zmieniła się więc jej funkcja i struktura.

Ogólnie biorąc, koncepcja Organizacji Narodów Zjednoczonych, tak jak ją pomyślał prezydent Roosevelt i inni, polegała na tym, że na terenie ONZ spotykać się mieli przy wspólnym stole przedstawiciele różnych krajów i że rzeczywiście każdy kraj na świecie miał tam się zwracać i

wypracowywać rozwiązania pokojowe, zamiast walczyć, na polach bitew. Obecnie, skoro struktura ta uległa zmianie i skoro brak tam znacznej części świata, wytworzyła się sytuacja z gruntu odmienna, gdyż owa część świata nie uczestniczy w wypracowywaniu rozwiązań. Trzeba pertraktować z nią przy użyciu innych środków. ONZ jest w tej chwili jedyną organizacją, na terenie której pertraktować można w pewnych sprawach. Wydaje się jednak, że skuteczność jej zmniejszyła się. Skuteczność jej, mówię oczywiście tylko o skuteczności w znaczeniu duchowym, zmniejsza się, gdyż działalność jej koncentruje się na dziedzinie, która jest bardzo odległa od pierwotnej jej koncepcji.

*

Na pytanie, czy wszystkie narody powinny być dopuszczone do udziału w pracach Organizacji Narodów Zjednoczonych, Nehru odpowiedział:

— Nie ulega wątpliwości, że ONZ nie może równocześnie proklamować dwóch różnych rzeczy. Jedna sprawa to ignorowanie jakiegoś kraju w swoich obradach, a druga, to dążenie w tym samym czasie do narzucenia swojej woli temu zignorowanemu krajowi. Te dwie sprawy są z sobą sprzeczne. Organizacja Narodów Zjednoczonych, odsuwając jakiś kraj, chodzi w tym wypadku o Chiny i Cejlon (w obu tych sprawach postąpiono według mnie jednakowo błędnie), sama pozbawia się w pewnym sensie moralnego prawa zajmowania się tym krajem. Taki kraj może po prostu odpowiedzieć: „Nie uznajecie nas, a zatem w konsekwencji nie mamy z wami nic do czynie-

nia“. A zatem Narody Zjednoczone same stawiają się w fałszywej sytuacji.

*

W sprawie naprężenia międzynarodowego Nehru oświadczył:

— W obecnej chwili lęk przeniknął po trochu wszędzie. Najsilniejsze kraje są ogarnięte obawą — i to nie obawą przed jakimś innym krajem, lecz obawą na myśl o skutkach tego, co mogłoby nastąpić. Sądzę, że gdybyśmy potrafili zmniejszyć owo wielkie naprężenie i złagodzić obecny stan umysłów, już to samo stanowiłoby wielki postęp i dałoby nam jakieś możliwości bardziej konstruktywnej pracy na rzecz pokoju.

Chciałbym w tej sprawie wysunąć sugestię, że pierwszy krok powinien polegać na tym, aby dążyć do uspokojenia stanu umysłów i złagodzenia naprężenia wśród narodów i rządów. Nie jestem w stanie zalecić konkretnego sposobu działania w powyższej sprawie, gdyż zależy to od okoliczności.

Lecz jeśli tak określimy nasze zadanie, postaramy się o zmniejszenie obaw i owego naprężenia, a myślę że można do tego doprowadzić. Jestem pewny, że oddźwięk w narodach będzie potężny. Następne kroki mogłyby już być bez porównania łatwiejsze. Dlatego też pragniemy możliwie jak najszybszego rozwiązania sprawy koreańskiej, gdyż w obecnej chwili wydaje się, że jest ona tą sprawą, która doprowadzić może najłatwiej do konfliktów zbrojnych w skali znacznie szerszej, a w ostateczności nawet w skali światowej.

KULTURA CZY BARBARZYŃSTWO

ILJA ERENBURG

LUDZIE, którzy mówią o pokoju przygotowując zarazem wojnę, bardzo lubią zachwalać rozległe związki państw. Twierdzą na przykład, że epoka suwerenności narodowej ostatecznie przeminęła i czynią to z tak niezwykłą zręcznością, że pozazdrościć mógłby im jej kuglarz. Zmieniają barwy na mapie politycznej obu półkul, rozdzielają swoje dywizje, eskadry lotnictwa i okrążowniki na obcych ziemiach i posługują się błękitnym sztandarem Organizacji Narodów Zjednoczonych, aby podnieść swoje 48 stanów do rzędu 48 państw.

Jasne, że tego rodzaju polityka idzie w parze z zaprzeczeniem narodowego charakteru kultury.

Daleki jestem od tego, aby nie doceniać możliwości narodu amerykańskiego. Wiem, że dał on ludzkości wielu wspaniałych uczonych i wybitnych pisarzy. Jeśli się weźmie pod uwagę, że jest to naród młody, można

powiedzieć, że ma on wiele talentów. Nie posiadając ani wiekowej tradycji, ani doświadczenia w dziedzinie kultury umysłowej, stał się twórcą wielu rzeczy. Można by go nazwać „cudownym dzieckiem“. Ze szkoda jednak dla Amerykanów wypadnie porównanie ich osiągnięć z osiągnięciami narodów Starego Świata.

Niemniej stwierdzić możemy, że czyni się wysiłki w tym kierunku, aby narzucić Europie nie prawdziwe ziarna cywilizacji amerykańskiej, lecz jej plewy. Niejednokrotnie już wskazywano, jak wielkie przynosi to szkody kulturze narodowej starych narodów europejskich i nie wydaje mi się celowe wracanie do tych spraw. Ograniczę się jedynie do przypomnienia faktów takich jak ten, że biblioteki francuskie zasypane są przekładami powieści amerykańskich, które wypierają autorów francuskich, że jałowy „Reader's Digest“ stał się czasopismem, posiadającym

najwyższy nakład z wszystkich pism ukazujących się w krajach poddanych panowaniu Stanów Zjednoczonych, że filmy z Hollywood wypierają wybitne dzieła kinematografii włoskiej i francuskiej. Stwierdzamy, że systematycznie obniża się przy pomocy prasy i radia poziom kulturalny, że zmierza się do powszechnego oglupiania, co, oczywiście, odbić się musi na poziomie kulturalnym czytelników i widzów. I podobnie jak zwykło się mówić, że „zła moneta“ wypiera „dobrą“, tak też stwierdzić można, że w krajach, które zrezygnowały ze swej politycznej i kulturalnej suwerenności, złe książki, złe wiersze i złe filmy wypierają dobre. Mało tego! Owo oglupianie uważane jest przez jego autorów za objaw dodatni. Czasopismo „Collier's“, snując piękne marzenia, opisuje Związek Radziecki okupowany przez Amerykanów i stwierdza, że teatry moskiewskie wystawiać będą wulgarne komedie amerykańskie, oraz, że pisarze radzieccy będą usiłovali naśladować amerykańską powieść kryminalną.

Czyż trzeba specjalnie podkreślać narodowy charakter kultury? — Narod, podobnie jak każda istota ludzka, patrzy na świat swoimi własnymi oczami. Posiada on własny sposób rozpatrywania problemów, którymi zajmują się wszystkie narody, reagowania na uczucia, które właściwe są wszystkim ludziom. Jeden naród odznaczać się może finezyjnością sposobu patrzenia, poczuciem barwy, inny natomiast przyjmuje świat poprzez melodię, posiada bardzo subtelny słuch, słyszy więcej aniżeli widzi. Jakkolwiek piękne są dzieła

kompozytorów francuskich, nie można ich porównać z tym, co dała Francja w dziedzinie malarstwa i literatury. Niemiecka muzyka, niemiecka poezja liryczna wzbogaciły świat, gdy tymczasem w dziełach malarstwa niemieckiego rysunek zawsze spłycał sztukę. Niemcy są poza tym jednym z tych nielicznych krajów europejskich, które nie wytworzyły swej własnej powieści klasycznej. Czyż można sobie wyobrazić, aby Cervantes urodził się w jakimś innym kraju niż Hiszpania? Czy można sobie wyobrazić Moliere, nie będącego Francuzem? Czyż można oderwać Lwa Tołstoja od charakteru rosyjskiego i od historii Rosji jako całości? Tak, jak niemożliwością jest napisać „Hamleta“ lub „Boską komedię“ w języku esperanto, tak samo niemożliwe byłoby zastąpić kulturę francuską czy włoską jakąś problematyczną „kulturą zachodnią“, stworzyć coś, co wznosiłoby się powyżej poziomu „Reader's Digest“ i produkcji filmowej z Hollywood.

Ci sami ludzie, którzy pragną uchodzić za obdarzonych rozległymi horyzontami, którzy protestują przeciwko suwerenności narodowej, uważając ją za coś „provincjonalnego“, ci sami ludzie wysilają się jednocześnie, aby w dziedzinie kultury stawiać mury nie do przebycia. Co więcej, oni właśnie posyłają swych żołnierzy do obcych krajów i twierdzą, że istniejące pomiędzy państwami granice nie są niczym innym, jak tylko pozostałością minionej przeszłości; oni to również usiłują wmówić swym oglupiałym wasalom, że istnieją dwie wrogie sobie nawzajem kultury — kultura „zachodnia“ i

kultura „wschodnia“. Aby wytyczyć granicę pomiędzy tymi dwoma kulturami, ludzie ci, usiłując doprowadzić do powrotu do barbarzyństwa, bynajmniej nie posługują się dziełami historycznymi, lecz zwyczajną płachtą świeżo wydrukowanej gazety.

Granica pomiędzy kulturą „zachodnią“ a „wschodnią“ pokrywa się dokładnie z granicami krajów należących do paktu atlantyckiego i krajów przeciwko którym pakt ten jest wymierzony. A zatem ludzie, którzy negują narodowy charakter kultury, negują zarazem jej uniwersalność. Generałowie i dyplomaci — a trudno zaiste traktować ich jako ludzi kultury — nie są jedynymi, którzy mówią o kulturze „zachodniej“ i o jej antytezie, kulturze „wschodniej“. Są również pewni filozofowie, pisarze i uczeni w Europie zachodniej, którzy, przerażeni postępem czasów obecnych, próbują zamaskować swoje wyrzeczenie się kultury narodowej jakimiś iluzjami lub kłamstwami. Nie mam zamiaru żądać od tych papug, aby wytłumaczyli na jakiej to zasadzie widzimy wśród obrońców kultury „zachodniej“ ludzi tego pokroju, co Czang Kai-szek, co przedstawiciele kierowniczych kół tureckich i od niedawna również Tito. Nie mam zamiaru domagać się od nich zaklasyfikowania w szeregach mistrzów „kultury zachodniej“ ludzi takich jak Langevin, Joliot-Curie, Bernal, Dreiser, Aragon, Picasso i wielu innych.

Postaram się natomiast jeszcze raz ustosunkować się do wysiłków przeciwstawienia kultury rosyjskiej kulturze krajów Europy zachodniej.

Wystarczy wymienić nazwiska Mendelejewa i Pawłowa, Gorkiego i Majakowskiego, Tołstoja i Czechowa, Czajkowskiego i Mussorgskiego, aby rola, jaką Rosja odegrała w rozwoju kultury powszechnej, wystąpiła z całą wyrazistością nawet dla człowieka bardzo oglupionego i bardzo otepiałego. Z drugiej strony łatwo wykazać, jak dzieła wielkich ludzi Zachodu wzbogaciły kulturę rosyjską. Ta żywa więź jest namacalna i, o ile łatwo wytyczyć granicę sojuszu wojskowego, wyszukać dogodną bazę agresji, o tyle niemożliwe jest przeciwstawić kraj Tołstoja krajowi Stendhala i twierdzić, że na skutek specyficznego rozwoju tych krajów kultura francuska i rosyjska są historycznie wobec siebie wrogie.

Wydaje mi się wreszcie, że pewną rolę w twierdzeniach apologetów „kultury zachodniej“ odgrywa ciasnota umysłu a nawet ignorancja. Przypominam sobie, że przed rokiem czy dwoma, akademik Georges Duhamel w związku z przepędzeniem kolonizatorów z Chin, pisał, jakoby kraj ten był stracony dla kultury europejskiej. Możliwe, że te słowa podyktowała mu ignorancja, a nie zła wola.

Właśnie ostatnio byłem w Szanghaju. Rzeczywiście, nie ma tam już koncesji francuskich, a ulice, które nosiły nazwiska różnych generałów francuskich, otrzymały teraz nazwy chińskie. Widzi się jednak na tych ulicach liczne księgarnie, w których sprzedaje się przekłady autorów francuskich, zarówno dawnych, jak i współczesnych. Po raz pierwszy szerokie masy czytelników chińskich

zaczęły poznawać literaturę Europy zachodniej. Może Duhamelowi przyjdzie ochota zapytać, jakie powody skłoniły pisarza chińskiego Mao Dun do złożenia na ostatniej sesji Światowej Rady Pokoju wniosku w sprawie uczczenia we wszystkich krajach 150 rocznicy urodzin Wiktora Hugo. Jeśli się jednak zastanowi, powie sobie może, że jednak Chiny nie są stracone, lecz przeciwnie, otwarte dla kultury wszystkich krajów, a między nimi również Francji. Jeśli na „kulturę“ patrzy się z punktu widzenia nie bomby atomowej, lub też czasopisma „Reader's Digest“, trzeba uznać, że kultura francuska w Chinach związana jest nie z istnieniem w Szanghaju ulicy „Joffre“ z francuskim policjantem i francuskimi domami publicznymi, lecz z istnieniem chińskich przekładów Wiktora Hugo, Balzaca i Stendhala.

Czymże innym, jak nie „provincializmem“ i ignorancją, wytłumaczyć sobie można fakt, że obrońcy „kultury zachodniej“, a wśród nich Duhamel, zapominają o ogromnym wkładzie Chin, ich filozofów, uczonych, malarzy, poetów i lekarzy do kultury powszechnej? W tej chwili tłumaczy się w Chinach „Pieśń Rorlanda“. Czy Duhamel ze swej strony byłby skłonny zająć się wydaniem dobrych przekładów zbiorowych dzieł wybitnych poetów, jakimi byli Tsui-yuan, Po Tsiui-i, oraz Su Tung-po?

Kultura jest jak drzewo: jej mocne korzenie tkwią głęboko w glebie ojczystej, lecz jej rozłożyste gałęzie rozrastają się ponad opłotkami, rzu-

cając swój cień na cały świat. Im większy jest geniusz narodowy, tym łatwiej przekracza granice i staje się dobrem całej ludzkości. Mówiłem o narodowym charakterze Cervantesa; teraz przypomnę, że Don Kiszot przemierzył na swym Rosynancie cały świat i że w r. 1951, kiedy autorzy z „Reader's Digest“ płodzili swe artykuły na temat niebezpieczeństw, grożących „kulturze zachodniej“, kółka literackie w Moskwie pogrążone były w dyskusji, jaką wywołał nowy przekład powieści Cervantesa na archaiczny język rosyjski. Romantyzm przeszedł przez wszystkie kraje Europy. Rewolucja francuska znalazła swoje odbicie w literaturze i sztuce krajów odległych o tysiące kilometrów od Francji. Budowa socjalistycznego społeczeństwa w Związku Radzieckim zwraca na siebie uwagę filozofów i poetów we Włoszech, w Indiach i w Meksyku. Odkrycia naukowe czy muzyka mogą z łatwością przekraczać granice. To samo można powiedzieć o literaturze, o poezji, które swym lotem ogarniają cały świat.

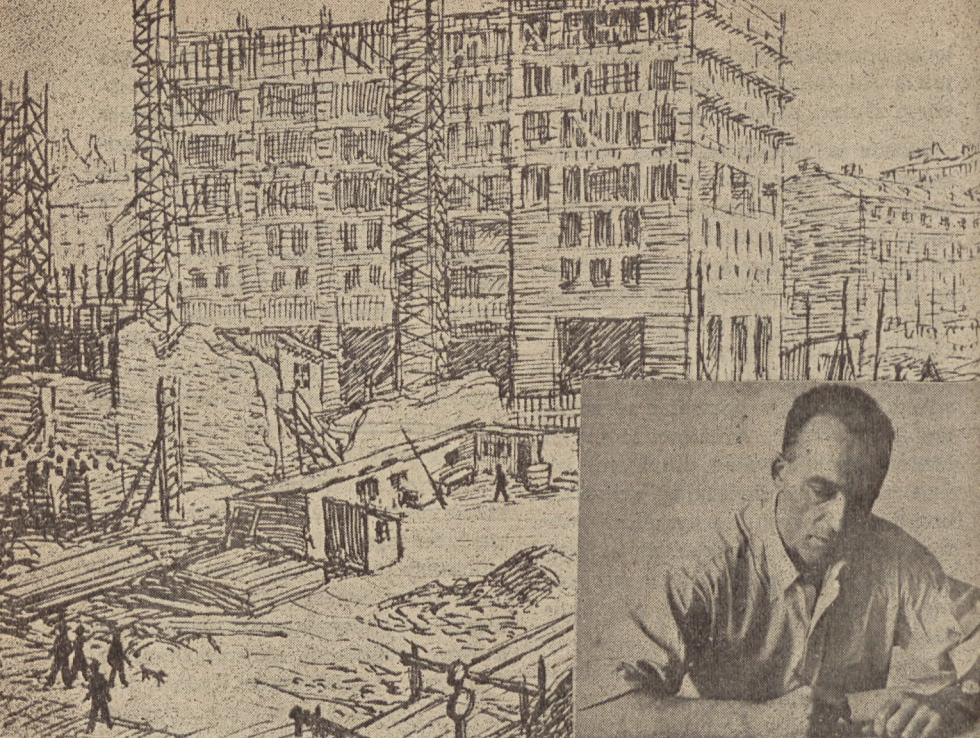
Pablo Neruda opisał potężne wrażenie, jakie na nim wywarła lektura Majakowskiego, a w Chinach widziałem studentów, chciwie czytających poezje Pablo Nerudy. Gołębie Picassa są z pewnością tylko jednym aspektem jego twórczości, lecz jeśli gołębie te można oglądać w Rio de Janeiro, w Kalkucie, w Moskwie i Kantonie, to nie tylko dlatego, że symbolizują one ideę pokoju, lecz również dlatego, że w po-

tędże i w charakterze rysunku przejawia się talent Picassa, a również wiele stuleci sztuki hiszpańskiej.

Można w sposób sztuczny wyznaczyć granicę, aby utorować drogę inwazji powieści i filmów kryminalnych. Można w sposób sztuczny wytyczyć granicę, aby zatarasować drogę książkom i filmom radzieckim. Można zabronić dopuszczania nawet czasopism naukowych, wydawnictw dokumentacyjnych i przekładów powieści, a zarazem pozwalać sprzedawać „*Collier'sa*“, powieści Henryka Millera oraz krwawe utopie na temat zniszczenia świata po wybuchu bomb atomowych. A przecież tego rodzaju granice nie oddziela „*kultury zachodniej*“ od „*kultury wschodniej*“, lecz odgrodzą ludzi od wszelkiej kultury.

Mimo że nieustannie mówi się o groźbie nieuniknionej wojny, mimo stwierdzonego w pewnych krajach otępienia, mimo stawiania barier, którymi chcieliby odgrodzić kraje zachodnie od innych środowisk na świecie, uczeni dalej pracują w swych pracowniach i laboratoriach. Pisarze i poeci tworzą powieści i poematy, malarze dzierżą w rękach palety i pędzle. Narody Związku Radzieckiego dokonały już wiele, zdziały wiele w trudnych warunkach. Kiedy ojczyzna ich stała się pastwą agresji, lub narażona była na groźbę agresji. Pytam się, co bardziej sprzyja rozwojowi kultury: odbudowa wymiany pomiędzy krajami, czy też odgradzanie ich przy pomocy barier nie do przebycia? Dzienniki pewnych krajów niejednokrotnie pisały o „*łatujących talerzach*“ i innych tego rodzaju halucynacjach dziennikarzy,

obdarzonych bujną wyobraźnią. Ale czy zapoznały one swoich czytelników z pracami lekarzy i agronomów radzieckich? Opisywały wyimaginowane dywizje radzieckie, zbliżające się do Teheranu, to do Triestu, lecz zamilczały o tym, jak w Związku Radzieckim posuwa się coraz bardziej ku Północy uprawa zboża, winogron, pomidorów i brzoskwiń. Dzienniki krajów zachodnich wiele mówiły o tym, jak to do żył przestępców kryminalnych wstrzykuje się jakąś fantastyczną substancję, lecz nie miały czasu mówić o pracach i osiągnięciach uczonych radzieckich, które miały na celu przedłużenie życia ludzkiego, lub umożliwienie bezbolesnego porodu. Czyż prace, wykonane przez warszawskich architektów nie są pouczające dla urbanistów Europy zachodniej, dla mieszkańców Coventry, Saint-Nazaire, Calais, Neapolu? Czyż doświadczenia artystów czeskich w dziedzinie wydawniczej nie mają żadnego znaczenia dla krajów zachodnich? W Chinach zwiedziłem wspólnie z pisarzami Indii i Pakistanu pewne gospodarstwo selekcyjne i widziałem ich zdumienie wobec sukcesu, jaki osiągnęli chińscy agronomowie. Każdy naród może się uczyć od innego narodu, i to równie dobrze w Europie, jak w Azji czy Ameryce. Skleroza tętnic jest niebezpieczna i nie zapewni nikomu zdrowia. Ustanowienie skutecznej i szlachetnej wymiany dóbr kulturalnych przyczyni się do podniesienia i ożywienia kultury narodowej każdego kraju. Nadszedł czas wyboru, nie pomiędzy „*kulturą zachodnią*“ a „*kulturą wschodnią*“, lecz pomiędzy kulturą a barbarzyństwem.



ROŚNIE STOLICA POLSKI SOCJALISTYCZNEJ

INŻ. JÓZEF SIGALIN

Naczelný Architekt Warszawy

WIEKAMI tworzy się oblicze miasta. Budują je pokolenia. W każdym okresie życia miasta ma ono swój wyraz, urok, swoiste piękno. To nie tylko wzgórza, rzeka, niebo, roślinność — to twórcza praca człowieka zaspokajającego budowaniem potrzeby ludności miasta. Potrzeby mieszkania, pracy, wypoczynku. I nie tylko te — również potrzebę

piękną tkwiącą w człowieku. Im lepiej budowniczy umieszcza swoje tworzywa w otaczającej przyrodzie i w pełnej z nią harmonii, im lepiej budowniczy zaspokaja wszechstronne potrzeby człowieka i zgodnie z jego pragnieniami, tęsknotami — tym gorętszą wyzwała miłość mieszkańców do rodzinnego miasta.

Urbanistyka, architektura, budownictwo tworzą ramy przestrzenne życia ludzi, wpływają na to życie. Są jednym z ważkich elementów powszechnego i pięknego zjawiska — przywiązania do swojego miasta.

MIŁOŚĆ DO MIASTA RODZINNEGO

Z pokolenia w pokolenie przechodzi tradycja piękna swojego miasta i jego osobliwych, jemu tylko właściwych uroków. To one — place, ulice, nadbrzeża, ogrody, zaułki, skwery — są świadkami i tłem wszelkich przejawów naszego życia, zarówno zbiorowego, jak i osobistego, nieraz najbardziej osobistego.

Tędy poszedłem pierwszy raz do szkoły, tu miałem pierwsze spotkania z ukochaną, tuśmy zbierali się z kolegami, przyjaciółmi, towarzyszącymi, tu pierwszy raz brałem udział w manifestacji publicznej, tamta ulica prowadziła mnie do pracy, z tej przystani odjeżdżaliśmy łodziami na dalekie spacer, w tym parku staowało pierwsze kroki moje dziecko.

Określenia: „tu“, „tam“, „tędy“ — mieszczą w sobie sylwetę miasta, ulice, place, kształty i formy architektoniczne, barwy, nastroje, pory dnia i pory roku. Wszystko nierozdzielnie związane z ludźmi, ich działaniem, poruszaniem się, ubiorem, do wyrazu oczu włącznie.

To uczucie tkwiące głęboko w sercach mieszkańców wszystkich miast i osiedli na kuli ziemskiej, było oczywiście właściwe również i ludności Warszawy; Warszawy liczącej sobie blisko 700 lat życia. Słusznie lud Warszawy uważał siebie za właściwego gospodarza miasta, niezależnie od tego w jakim stopniu to poczucie

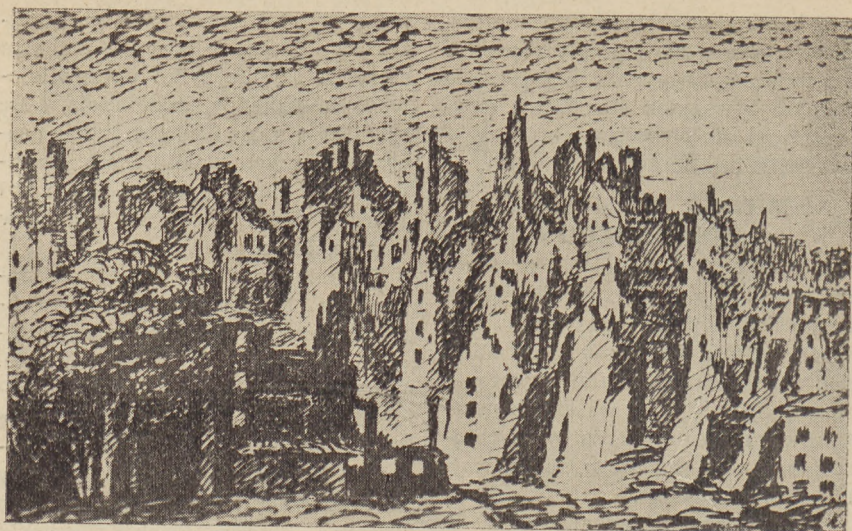
pokrywało się z rzeczywistością polityczną. Urokiem swojego miasta szczylicili się nie tylko uprzywilejowani mieszkańcy śródmieścia, ale również, a może i więcej, ludzie pracy z nędznych robotniczych przedmieść, ci, dla których świętem był spacer w śródmieściu, czy bytność w teatrze, lub muzeum.

Kochaliśmy wszyscy i nasze Kra-kowskie Przedmieście z jego subtelną i romantyczną zabudową, i czcigodne mury i uliczki Starego Miasta, i wielobarwny, tętniący życiem Nowy Świat, Skarpę Wiślaną, modrą Wiślę, królewski park Łazienki z Alejami Ujazdowskimi, Plac Teatralny ze wspaniałą kolumnadą Wielkiego Teatru — Opery, Zamek Królewski i Kolumnę Zygmunta, i Plac Saski z aazurem kolumnady, za którą zieleniły się kasztany Saskiego Ogrodu, daleką perspektywę Alei Jerozolimskich ku Wiśle, nasze stadiony, przystanie, plaże, i to wszystko co każdy w sobie najbardziej osobiście umi-łował.

Ostatnie dni sierpnia 1939 roku były wyjątkowo pogodne. Słońce wzbogacało architekturę, zielen, miasto. Było to na kilka dni przed wybuchem drugiej wojny światowej. Taką właśnie piękną, w promieniach sierpniowego słońca, zachowaliśmy w pamięci naszą niezburzoną jeszcze Warszawę.

STOSUNEK DO ZNISZCZONEGO MIASTA RODZINNEGO

ZBURZENIE miasta nie pociąga oczywiście za sobą zburzenia ram przestrzennych życia jego ludności. Powoduje tylko ich zmianę: zamiast piękna urbanistyki, archi-



tektury, budownictwa, oddziałują na ludzi groza ruin i całe zawarte w tym fakcie okrucieństwo, bohaterstwo, męczeństwo. Po drugiej wojnie światowej obserwujemy w wielu miastach zniszczonych zjawisko „psychologii ruin”. To tragiczne zjawisko.

Ludzie pamiętający piękno swojego miasta przed zburzeniem żyją wizją przeszłości, wspomnieniami, starają się odgrodzić od widoku dzisiejszego; natomiast dzieci, a dziś już i młodzież, urodzone lub wyrosłe w czasie wojny, przyjmują to zjawisko jako normalne; na tych właśnie ruinach dojrzewają, nie dostrzegają w nich nic osobliwego. Pada nieraz zapytanie: „dlaczego nie kończy się tej budowy”. Pytanie odnosi się nie do budowy, a do rozmaitych murów istniejącego ongiś gmachu.

Potworne zniszczenia setek tysięcy i dziesiątków tysięcy miast i o-

siedli ludzkich w czasie drugiej wojny światowej spowodowały dramat dla milionów ludzi. Pod gruzami miast zginęły miliony ludzi, zniszczony został dobytek dziesiątków milionów. Unicestwione zostały niepowtarzalne zabytki architektury, stanowiące nieraz dorobek światowej kultury. Spopielone zostały wspaniałe dokumenty nauki i kultur narodowych i ogólnoludzkich.

Ale przede wszystkim poderwana została rzecz najcenniejsza — wiara człowieka w trwałość jego dzieł, budowli, miasta, w stałość wszystkiego co go otaczało od pierwszego dnia świadomego spojrzenia na świat. Naruszona została ciągłość tradycji w miłości do miasta rodzinnego. Po prostu nie ma już owych ulic, placów, nadbrzeży, ogrodów, zaułków, skwerów — świadków i tła życia naszego, naszych ojców i dziadów. W

tych okolicznościach rodzi się nowy stosunek do swojego miasta — stosunek rodziców do kalekiego dziecka — pełen goryczy, ale i mocniejszej jeszcze miłości i przywiązania i odpowiedzialności za jego przyszłe życie.

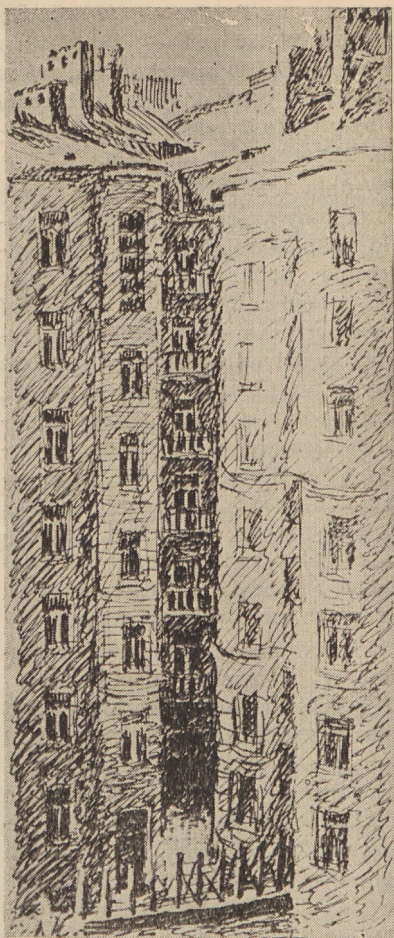
*

Znają to uczucie z pewnością mieszkańcy Guerniki, Coventry, Rotterdamu, Berlina, Drezna, Oradouru, Lidic, Hiroszimy, Leningradu, Stalingradu. Znają je również mieszkańcy Londynu, Kijowa, Mińska, Smoleńska, miast północnej Francji, miast południowych Włoch, Szanghaju, Pekinu, Kantonu i Dusseldorfu.

Znamy je także i my, warszawiacy. Mamy ponadto szczególne po temu powody. To nasze piękne miasto barbarzyńca Hitler kazał „zetrzeć z powierzchni ziemi” i zostawić po nim tylko „miejsce geograficzne”. To na straszliwie okaleczonym, ale żywym organizmie naszego miasta przez kilka miesięcy planowo i bezkarnie dokonywała się nakazana zbrodnia zniszczenia.

W październiku 1944 roku zbrodniarze hitlerowscy wypędzili całą ludność z lewobrzeżnej Warszawy i aż do 17 stycznia 1945, do dnia wyzwolenia Warszawy przez Armię Radziecką i Wojsko Polskie, niszczyli świadomie dzielnicę po dzielnicy, wywożąc, burząc i paląc z precyzją iście naukową. Oto niektóre liczby ilustrujące dramat wojenny Warszawy:

W dniu wybuchu II wojny światowej — 1 września 1939 roku Warszawa liczyła około 1.200.000 mieszkańców. Do chwili wyzwolenia — 17 stycznia 1945 — zginęło w czasie walk i zostało zamordowanych w cza-



*Warszawa w 1939 roku.
Ciemne i wąskie podwórza
czynszowych kamienic.*

sie okupacji około 400.000 mieszkańców, zaś około 650.000 mieszkańców zostało wywiezionych na roboty przymusowe do Niemiec hitlerowskich i wygnanych z Warszawy w październiku 1944 roku. W dniu wy-

zwolenia na Pradze — w prawobrzeżnej Warszawie — znajdowało się około 150.000 mieszkańców, zaś w Warszawie centralnej, lewobrzeżnej — były tylko dymiące ruiny i zgłiszcza. Mieszkańców nie było.

W dniu 1. 9. 1939 Warszawa miała 103 miliony m sześć. budynków. Ocalało tylko 29 milionów m. sześć. Zniszczenia budynków sięgały więc 72%, z tego w Warszawie centralnej — lewobrzeżnej — ok. 85%. Ze szczególną nienawiścią niszczone wszelkie zabytki architektury, pałace, muzea, teatry, pomniki, szkoły, szpitale, parki. Zniszczenia w tej dziedzinie sięgały 87%. Nieomal doszczętnie zostały zniszczone urządzenia miejskie, jak elektrownia, wodociągi, gazownia, telefony, radiostacje, dworce kolejowe. Nie ocalał ani jeden z pięciu stalowych mostów przez Wisłę.

W wyzwolonym już mieście znaleziono w domach, mieszkaniach i miejscach użyteczności publicznej przeszło 2 miliony pocisków, min i granatów. Przez wiele miesięcy po wyzwoleniu trwały ekshumacje dziesiątków tysięcy poległych, pochowanych na placach, ulicach, skwerach, zasypanych pod gruzami domów, zatopionych w kanałach. Warszawa została zamieniona w jedno wielkie cmentarzysko. Ale nie potrafili faszystowscy zbrodniarze zabić jednego — właśnie uczucia miłości do swojego miasta rodzinnego. Jego straszliwe kalectwo — nie śmierć! — spowodowało, że miłością tą zapłonęli nie tylko pozostali przy życiu mieszkańcy Warszawy, ale cały naród polski. Miłością — nie ślepą. Świadomość wszystkich grzechów miasta kapitalistycznego przed jego zagładą

nie przestała istnieć w umysłach obywateli Polski Ludowej. Świadomość ta stała się potężnym czynnikiem woli, aby Warszawę nie tylko odbudować, ale i przebudować, a piękno jej nie tylko odtworzyć, ale i wzbogacić.

TRUD BUDOWY

LUDZIE miast Europy i Azji, których wojna choćby w przybliżeniu tak doświadczyła, jak ludność Warszawy, wiedzą dobrze, jak trudno jest przejść od załamania rąk nad popiołami swoich ognisk domowych, swojego miasta, do żmudnego, długotrwałego, wymagającego poświęceń i wyrzeczeń, dzieła odbudowy. W ciągłej walce z „psychologią ruin“, z tragicznym ich oddziaływaniem, zwłaszcza na dzieci i młodzież, przechodzi się odbudowywać przede wszystkim to, co odbudować jest najtrudniej: ciągłość tradycji miasta i wiarę w stałość, w trwałość nowo-wznoszonych budowli. Do tego niezbędny jest pokój i wiara w jego trwałość. Do tego niezbędna jest daleka perspektywa warunkowana znów pokojem.

Gdy te elementy są zdobyte, pozostaje zagadnienie śmiałości planów budowniczych miast, uwzględniających wszechstronne i sprawiedliwe zaspokojenie wszystkich potrzeb wszelkich warstw ludności oraz zagadnienie tempa odbudowy.

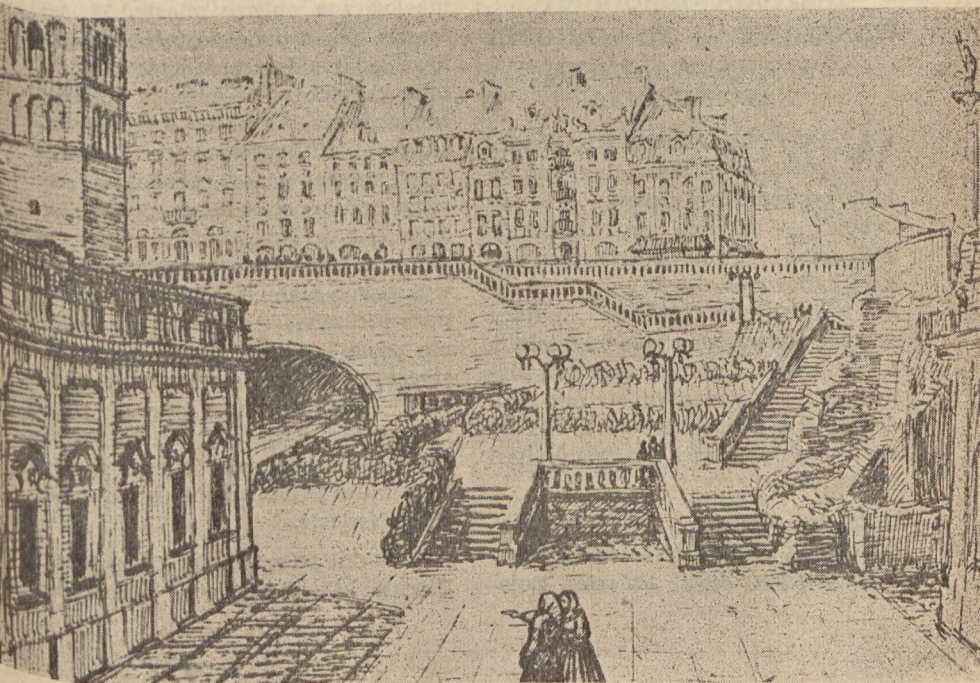
Zarówno plany urbanistyczne, jak i tempo odbudowy niewątpliwie zależne są od ustroju społecznego każdego z państw. Potrzebne i możliwe są w każdym ustroju. W ustroju so-

cialistycznym, gdzie gospodarka jest planowa, gdzie ziemia w miastach należy przeważnie do komun miejskich, gdzie humanizm i sprawiedliwość społeczna są nie hasłem, a wytyczną działania — łatwiej jest robić należyte plany urbanistyczne, planowo i szybko je realizować. Fakty świadczą, że w tym szlachetnym współzawodnictwie zwyciężają kraje socjalizmu i demokracji ludowej. Ale jest sprawą ludności krajów kapitalistycznych, aby realizować swoje potrzeby i swoje dążenia w odbudowie zniszczonych miast w ramach ustroju, który jest w danym kraju, i aby brać w formie, jaką uważa za właściwą i możliwą, udział w tym współzawodnictwie. Jedną z

najsukuteczniejszych form walki w tym współzawodnictwie jest zawzięte rywalizowanie w walce o utrwalenie pokoju na całym świecie.

Spotykamy się nieraz z twierdzeniem, jakoby dokonane przez wojnę zniszczenia ułatwiały prawidłową odbudowę i przebudowę miasta, jakoby rozpatrywane pod tym kątem widzenia zasługiwały na nazwę „błogosławieństwa“. Twierdzenia te są nieraz popierane przykładami o „dobroczynnych“ skutkach wojen i pożarów dla wielu miast na przestrzeni historii. Zbrodnicze to twierdzenie. Głosić je mogą tylko ci, którzy bądź nie wiedzą, co to jest być mieszkańcem zburzonego miasta, bądź też ponadto chcą z góry dać błogo-

Fragment Trasy W-Z



sławieństwo swoim podłym zamierzeniom atomowym czy innym. Właśnie historia, właśnie fakty przeczą tym twierdzeniom. Fakty wzięte z historii miast w ustroju kapitalistycznym, jak również — i przede wszystkim — z miast budowanych w ustroju socjalistycznym.

Dla racjonalnej przebudowy miasta, nawet w ustroju kapitalistycznym, wystarczyłaby niewielka tylko część wartości, które uległy zniszczeniu w wyniku wojen i pożarów. Wartości te były niejednokrotnie znajdowane i dzięki nim, na przykład, mógł Haussman uświetnić Paryż. Generalna przebudowa, niezniszczona w czasie działań wojennych Moskwy jest najwspanialszym dowodem, że nie wojna jest czynnikiem ułatwiającym przebudowę miasta, a właśnie pokój. Najlepiej — pokój i socjalizm.

HISTORIA ODBUDOWY WARSZAWY — TO HISTORIA ZWYCIĘSTWA ŻYCIA NAD ŚMIERCIA

W DOTYCHCZASOWEJ historii odbudowy Warszawy można jasno odróżnić dwa okresy: okres odbudowy — od dnia wyzwolenia w 1945 roku — do lipca 1949 roku i okres budowy od owego lipca 1949 roku, trwający do dziś dnia, mający granicę wyznaczoną planem 6-letnim t. j. rok 1955, i granicę założoną planem perspektywicznym — rok 1965. Oczywiście oba okresy — to okresy nie tylko odbudowy i budowy, ale i przebudowy.

Przełomowy lipiec 1949 roku — to dwa wielkie fakty: referat Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, Bole-

śława Bieruta, o 6-letnim planie odbudowy i budowy Warszawy (wygłoszony 3 lipca) i otwarcie Trasy W-Z (22 lipca). Fakty te są dlatego przełomowe, że pierwszy z nich — to postawienie konkretnego zadania, a drugi — to widomy dowód realności tego zadania.

Prezydent Bierut w swoim historycznym referacie, mobilizującym cały naród polski wokół zagadnienia odbudowy stolicy — dał szczegółową ocenę dokonanej na Warszawie zbrodni; przeprowadził analizę 4-ch lat odbudowy, sprecyzował różnicę między Warszawą kapitalistyczną i Warszawą — stolicą socjalistycznej Polski i na podstawie tego sprecyzowania wskazał wytyczne dla planowej przebudowy. Prezydent Bierut podkreślił jako główną cechę całego dzieła odbudowy — troskę o człowieka i wy wpływającą z niej — troskę o ideologiczne oblicze miasta. W referacie postawione zostały szczegółowe zadania dotyczące budownictwa przemysłowego i mieszkaniowego, zaopatrzenia ludności, szkolnictwa, zdrowia, kultury, komunikacji miejskiej, metra, zieleni, placów i centrum miasta, odbudowy pomników architektury. Prezydent Bierut omówił szczegółowo niezbędne środki do wykonania planu, wśród których na pierwsze miejsce wysunął zagadnienie postępu technicznego i socjalistycznych metod pracy w budownictwie. W zakończeniu referatu Prezydent Bierut określił dzieło odbudowy Warszawy, jako jeden z odcinków walki o umocnienie pokoju na całym świecie.

W 19 dni po referacie Prezydenta Bieruta kilkaset tysięcy mieszkań-

ców Warszawy i delegatów z całego kraju było świadkami uroczystego otwarcia Trasy W-Z. Budowa tej 7-kilometrowej trasy, która trwała niepełne 2 lata, a dała w efekcie całkowicie zbudowaną, nową część miasta, wraz z mostem przez Wisłę, tunelem pod najstarszymi częściami miasta, osiedlem mieszkaniowym Mariensztat i odbudowanymi domami i kościołami zabytkowymi na Krakowskim Przedmieściu — pokazała naocznie, co to jest budowanie w warunkach ustroju socjalistycznego i jak nieograniczone są możliwości rozmachu i tempa ludzi wolnych i świadomych, miłujących swoje miasto i swoją ojczyznę.

Budowa ta dała budowniczym Warszawy i Polski wiarę w swoje siły i możliwości, a ludności Warszawy i Polski dała podstawę do zaufania robotnikom budowlanym, architektom, inżynierom. Budowa ta stała się widowym elementem w odbudowie ciągłości tradycji w miłości do miasta rodzinnego. Będzie kiedyś sprawą historyków odtworzenie i opisanie eposu odbudowy zburzonej Warszawy. Dziś epos ten tworzymy własnymi rękami, mózgami, marzeniami. Okres 1945 — 1949 wydaje się nam już dziś bardzo odległy. Należy jednak przypomnieć pewne charakterystyczne jego cechy i fakty.

Pierwsza cecha — to nieprawdopodobna wprost żywiołowość i żywotność. Żywiołowość w napływie ludności do zrujnowanej Warszawy (styczeń 1945 — 150.000, maj 1945 — 350.000, styczeń 1946 — 475.000, lipiec 1949 — 615.000), żywiołowość w urządzaniu się tej ludności w niezwykle trudnych warunkach i jej

niezwykła żywotność i odporność na niewygody i grożące niebezpieczeństwo ruin, żywiołowość w porządkowaniu miasta i odbudowie miejsc pracy, urządzeń miejskich, szkół, szpitali, teatrów, kin, parków, placów, ulic. Niewątpliwie żywiołowość ta już w tym okresie podporządkowywała się stopniowo coraz mocniej zamierzeniom planowanym. Od samego bowiem początku trwała uporczywa praca nad stworzeniem planów urbanistycznych socjalistycznego miasta, planów, które by od razu wskazały zarówno perspektywy jak i konkretne dane do tego, czego dziś nie należy już odbudowywać, a gdzie należy wysiłki koncentrować. Ważna, trudna i piękna była rola urbanistów i architektów warszawskich w owym okresie.

Druga cecha tego okresu, zwłaszcza w jego pierwszych trzech latach — to ta, że głównie, choć nie wyłącznie, odbudowywano to co do odbudowy jeszcze nadawało się i nie było sprzeczne z zamierzeniami urbanistycznymi, zaś budowli nowych wznoszono względnie niewiele. W tym też okresie zakończono w zasadzie niemal całkowicie odbudowę, wyczerpując wszystkie prawie obiekty nadające się do odbudowy. Z nowych rzeczy tego okresu wymienić trzeba przede wszystkim odbudowę 4-ch 500-metro- wych mostów stalowych przez Wisłę.

Charakterystyczne jest tempo ich budowy: przed wojną każdy z nich budowany był (lub odbudowywany po 1-szej wojnie światowej) średnio 5 — 7 lat, zaś po wyzwoleniu pierwszy most budowano 14 miesięcy, drugi — 11 miesięcy, trzeci — 10 miesięcy.

cy i wreszcie czwarty — 9 miesięcy, w tym montaż na rzece w rekordowym czasie 75 dni. W okresie tym, zwłaszcza na samym jego początku, jeszcze w czasie trwania wojny, gdy było nam najciężej, nieocenioną, nigdy niezapomnianą bezinteresowną pomoc okazał Warszawie Związek Radziecki, pomagając w odbudowie komunikacji, łączności, urzędzeń miejskich, przysyłając żywność, trolleybusy i domki fińskie, delegując najwybitniejszych fachowców.

Drugi okres odbudowy mieści się już w ramach Narodowego Planu 6-letniego. Wchoćżimy w trzeci rok jego wykonywania. Zagadnieniem jest już nie odbudowa miasta Warszawy, a budowa stolicy Socjalistycznej Polski o obszarze miejskim przeszło 3-krotnie większym od przedwojennego; budowa oparta na zatwierdzonych już przez Rząd planach urbanistycznych i architektonicznych.

Mamy dziś przeszło 800.000 ludności, w tym poważną część ludności zatrudnionej w nowoczesnym przemyśle oraz przeszło 26.000 studentów na wyższych uczelniach. Obecnie jest w Warszawie w budowie przeszło 1.000 większych obiektów, w tym 40 zakładów i zespołów przemysłowych, wśród których między innymi Fabryka Samochodów Osobowych, której budowę rozpoczęto w końcu 1949 r., a z której w listopadzie tego roku wyszły już pierwsze dziesiątki seryjnych samochodów „M-20. Warszawa“.

Obecnie buduje się w Warszawie 15 osiedli i dzielnic mieszkaniowych, w tym dzielnica Muranów na 50.000

mieszkańców i, położona w centrum miasta, Marszałkowska Dzielnica Mieszkaniowa — MDM — na 45.000 mieszkańców. W ciągu jednego tylko roku — 1951 — oddano do użytku około 17.000 nowych izb mieszkalnych, w pełni wyposażonych w najnowocześniejsze urządzenia.

W myśl zasad socjalistycznego budownictwa budowie zakładów pracy i mieszkań towarzyszy budowa szkół wszelkich rodzajów, przedszkoli, żłobków, ośrodków zdrowia, wyższych uczelni i domów akademickich. W końcu roku 1951 w budowie jest przeszło 100 tego rodzaju większych obiektów. Rozpoczęto już na dużą skalę roboty przy budowie Warszawskiego Metro. Odbudowuje się i rekonstruuje „Metrykę Warszawy“ — ulubione przez ludność Warszawy zabytki architektury, włączając je w nurt współczesnego życia, wśród nich zburzony doszczętnie przez hitlerowskich imperialistów — Zamek Królewski.

Prowadzi się równocześnie wielkie budownictwo drogowe, oraz roboty w dziedzinie zaopatrzenia ludności w komunikację, wodę, gaz, elektryczność, telefony, centralne ogrzewanie miejskie. Elektryfikuje się w pełni podmiejską sieć kolejową i buduje wielki Dworzec Centralny. Odbudowano już i zbudowano na nowo 13 teatrów, 14 kin i setki klubów. W budowie jest szereg wielkich obiektów administracyjnych i handlowych. Do prowadzono do porządku wszystkie stare parki i skwery i rozpoczęto realizację wielkiego Śródmiejskiego Parku Ludowego, 2-ch parków leśnych i Parku Narodowego w Puszczy

Kampinoskiej przylegającej do Warszawy.

*

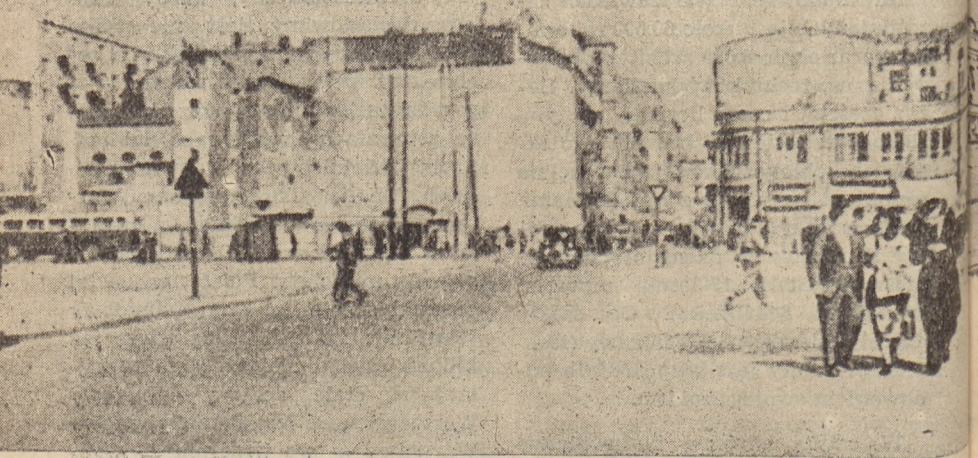
Na budowach warszawskich zatrudnionych jest około 60.000 robotników oraz około 6.000 architektów, inżynierów, techników, kreślarzy. Coraz częściej i coraz liczniej spotyka się na budowie i w biurach projektowych kobiety wykonujące wszelkie czynności na równi z mężczyznami. (W tym roku laureatką nagrody miasta Warszawy w dziedzinie budownictwa została 19-letnia murarka Stanisława Szarlińska). Co szósty dorosły mieszkaniec Warszawy (19 — 60 lat) zajęty jest bezpośrednio budowaniem swojego miasta.

W całym ogromie budownictwa warszawskiego ważna jest nie tylko jego ilość i tempo realizacji, ale przede wszystkim jego humanistyczna, socjalistyczna treść, której coraz lepiej, choć jeszcze niedoskonale zaczyna odpowiadać narodowa forma architektury. Budowę Warszawy cechuje planowość, umiejętne wiązanie wszechstronnych potrzeb gospodarczych i politycznych państwa, miasta, mieszkańców z potrzebami konsekwentnej realizacji głównych zadań urbanistycznych Warszawy. W ten sposób powstał już szereg całkowicie skończonych placów, ulic, zespołów. Rozpoczyna się na wielką skalę budowa całości śródmieścia i to w dużej mierze z domów mieszkalnych, sklepów i ośrodków użyteczności publicznej. Jednocześnie zacierają się stopniowo różnica między przedmieściami a śródmieściem. Na naszych oczach rysuje się już sylwetka nowej Warszawy.

Budowa Warszawy odbywa się w atmosferze codziennego interesowania się nią każdego mieszkańca. Każdy plan urbanistyczny, każdy projekt architektoniczny, każdy konkurs dyskutowany jest nie tylko przez komisję najwybitniejszych architektów polskich, ale również — i przede wszystkim — przez ludność, na zebraniach i wystawach publicznych, dzielnicowych i ogólnomiejskich. Ale nie tylko mieszkańcy Warszawy interesują się budową swojego miasta. W każdej nieomal wsi i w każdym mieście w Polsce, w każdej nieomal szkole, są Koła Odbudowy Warszawy, których liczba sięga już kilkudziesięciu tysięcy. Koła te zajmują się stale sprawą odbudowy Warszawy, a w Miesiącu Odbudowy Warszawy — we wrześniu — organizują różne imprezy, przyjeżdżają do stolicy i bezpośrednio pomagają na budowach, jak również przeprowadzają w swoich miastach, wsiach i szkołach dobrowolne zbiórki pieniędzy na odbudowę Warszawy. Zbiórki te dzięki ogólnokrajowemu współzawodnictwu osiągnęły pokaźną sumę około 8 miliardów złotych, wbudowaną już w Warszawę. W ten sposób Warszawa staje się własnością i dumą całego narodu polskiego.

Dzisiejsza Warszawa — to już nie cmentarzysko wojenne 1945 roku. To kipiąca życiem stolica Polski Ludowej. Miasto to tętni pracą i nauką, rozbrzmiewa wesołą piosenką w powszednie popołudnia i w dni świąteczne.

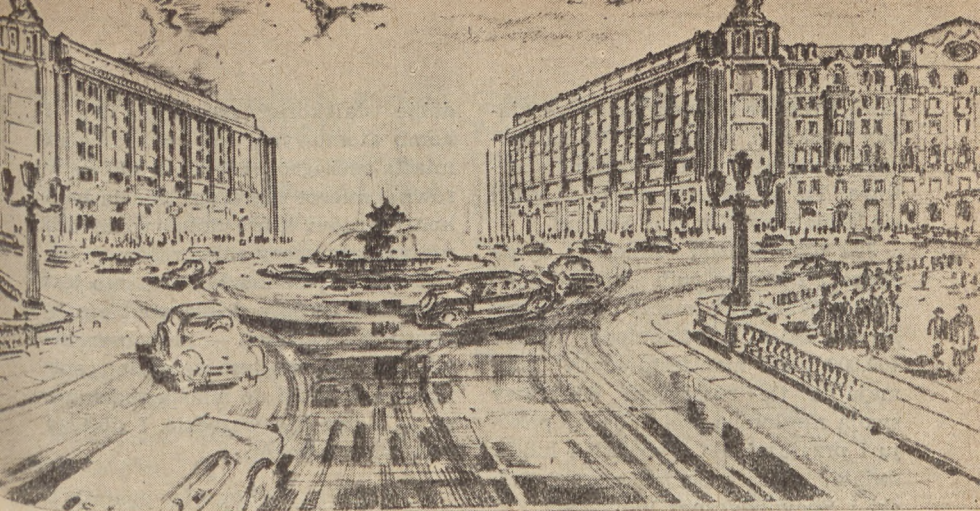
Tu, w tym mieście, które skazano na śmierć i na którym wyrok wykonano, w tym mieście, które powstało jak Feniks z popiołów, odbywa-



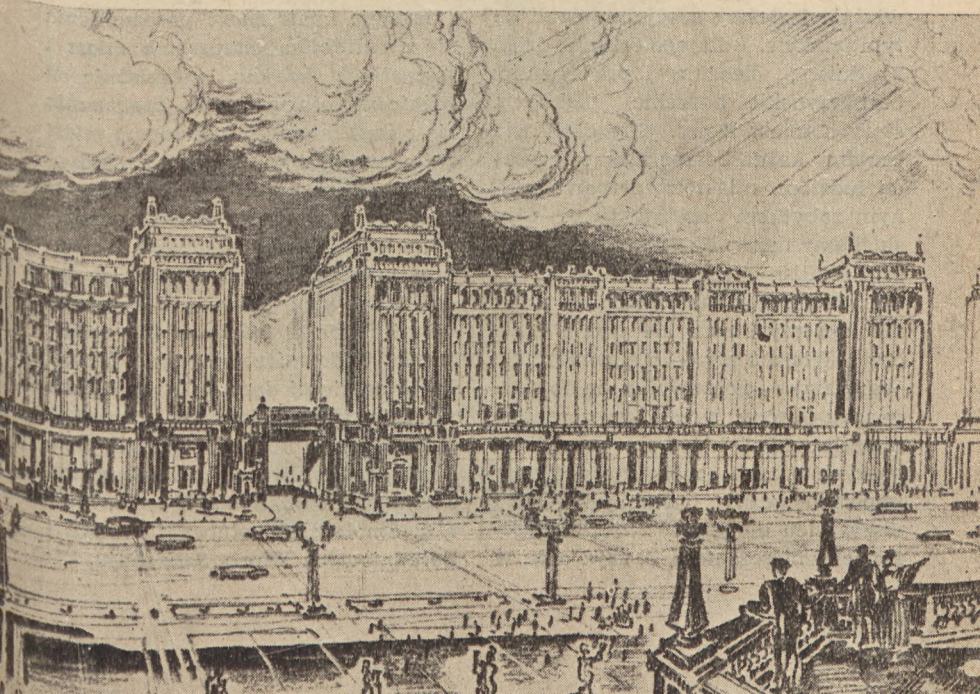
Marszałkowska — róg Alei Jerozolimskich
w 1949 roku

Marszałkowska — róg Rutkowskiego
w 1949 roku





Marszałkowska — róg Alei Jerozolimskich
w 1955 roku



Marszałkowska — róg Rutkowskiego
w 1955 roku

ją się krajowe i międzynarodowe zjazdy naukowe, konkursy Chopinowskie, kongresy, wielkie zawody sportowe. Tu, w naszym mieście, odbył się Światowy Kongres Pokoju.

Już nie oddech śmierci, dymy zgliszcz i kikuty ruin znaczą Warszawę. Warszawę znaczą dziś wesoły śmiech dzieci i rozjaśnione twarze 400.000 ludzi manifestujących 1-go maja na tle rusztowań Warszawy swoją niezłomną wolę obrony pokoju i przyjaźni dla wszystkich ludów świata, budowy Socjalistycznej Polski i Socjalistycznej Warszawy.

WARUNKI UTRWALENIA ZWYCIĘSTWA ŻYCIA NAD ŚMIERCIA

WOJNA ciężko, bardzo ciężko, doświadczyła Warszawę. Mimo wielkich osiągnięć w odbudowie jeszcze długie lata odczuwać będziemy skutki wojennych zniszczeń. Dlatego właśnie jesteśmy specjalnie czuli na tym punkcie. I dlatego czujnie, dzień za dniem, śledzimy i przeżywamy barbarzyńskie burzenie pięknych, starych miast Korei. My dotkliwie czujemy każdą bombę niosącą zagładę ludziom, miastom, niepowtarzalnym zabytkom architektury. Gdy słuchamy nazw: Phenjan, Seul, Wonsan, Sindżu — słyszymy: Warszawa, Warszawa, Warszawa, Warszawa. My nie możemy i nam nie wolno milczeć! Właśnie my — budowniczowie Warszawy — poczuwamy się do obowiązku obrony przed zniszczeniem nie tylko miast, które w tej chwili na naszych oczach zrównuje z ziemią imperialistyczny barbarzyńca, ale i wszystkich miast na świecie zagrożonych zniszczeniem. A czyż dziś, w

dobie dalekosiężnego lotnictwa i bomb atomowych, są jakiegokolwiek miasta niezagrożone? Czyż nie są w równej mierze zagrożone miasta tych kontynentów, które dotąd w historii nie zaznały grozy zniszczeń?

Cenimy życie ludzkie — a ono jest wszędzie; cenimy dzieła pokoleń, — twory rąk ludzkich — piękno architektury — a ono jest wszędzie; cenimy miłość ludzi do miasta rodzinnego — a ona jest wszędzie. I dlatego walczymy o pokój.

Wydaje się słuszne twierdzenie, że architekci i budowniczowie miast, poza ogólnoludzkimi powodami mają jeszcze szczególne powody, aby stać w pierwszych szeregach bojowników o pokój. To nasza praca, nasze dzieła, nasze miasta, miałyby pierwsze ulec zniszczeniu. Nasze życie i jego sens najgłębszy — nasza twórczość — miałyby zaginać bezpowrotnie.

Istnieje konieczność porozumienia się architektów wszystkich miast i wszystkich krajów, niezależnie od różnic ustrojowych, dla zapoznania się z zagadnieniami odbudowy miast zniszczonych i niszczonej i zastanowienia się nad środkami zmierzającymi do uratowania przed zniszczeniem miast i osiedli ludzkich — ram przestrzennych życia wszystkich ludzi. Inicjatywę takiego porozumienia winni chyba wziąć na siebie architekci i budowniczowie tych miast, które najciężej doznały straszliwych skutków wojny: Guerniki, Coventry, Rotterdamu, Berlina, Drezna, Orléansu, Lidic, Hiroszimy, Leningradu, Stalingradu, Londynu, Kijowa, Mińska, Smoleńska, północnej Francji i południowych Włoch, Szanghaju, Pe-

kinu, Kantonu, Düsseldorfu, Phenjanu, Seulu, Wonsanu i Sindżu.

Inicjatywę takiego porozumienia biorą na siebie również architekci i budowniczowie Warszawy.

Bo chcemy zrealizować nasze dumne plany i doprowadzić do końca odbudowę i budowę naszej pięknej Warszawy.

Bo chcemy aby dzieła nasze przetrwały wieki.

Bo życzymy tego wszystkim narodom świata.

I dlatego wierzymy w trwałą pokój; i dlatego o ten pokój walczymy.

Chcemy żyć myślą nie o wojnie, a o pokoju, bo mamy przed sobą wyznaczone terminy twórczej pokojowej pracy: w 1952 roku skończyć plac MDM, w 1953 — sześć osiedli, cztery wielkie ulice, dwa place i tysiące innych obiektów, w 1954 — centrum Warszawy, 1955 — Metro, i wszystkie coroczne zaplanowane terminy aż do 1965 roku.

I dlatego ciężko trudząc się wierzymy, że odbudowa i budowa Warszawy — dzieło twórczej pokojowej pracy ludu polskiego — to ważny wkład w dzieło walki o pokój na całym świecie.



Ludzie ze Stali

HAN SING-HU

W STARYCH szpargałach sprzed pięćdziesięciu lat można było znaleźć wzmianki o „kolei żelaznej Czeng-tu“, ale w terenie niemożliwe było odszukać chociażby jej najmniejszego śladu. Mimo to, mieszkańcy Se-czuan wciąż oczekiwali jej budowy, trochę jak oczekuje się spełnienia nieziszczalnego marzenia. Często mówili o niej z akcentem tęsknoty. Dlatego też mówiono, że se-czuańczycy „zakochali się“ w swej drodze żelaznej, gdyż zbyt dużo o niej myśleli.

Wielu przecież wpłaciło pieniądze na budowę. Również podatki zostały poważnie podwyższone. „Można by za to zbudować trzy takie linie“, mówili se-czuańczycy. Ale mimo to, kolej nie miała nawet pierwszego podkładu.

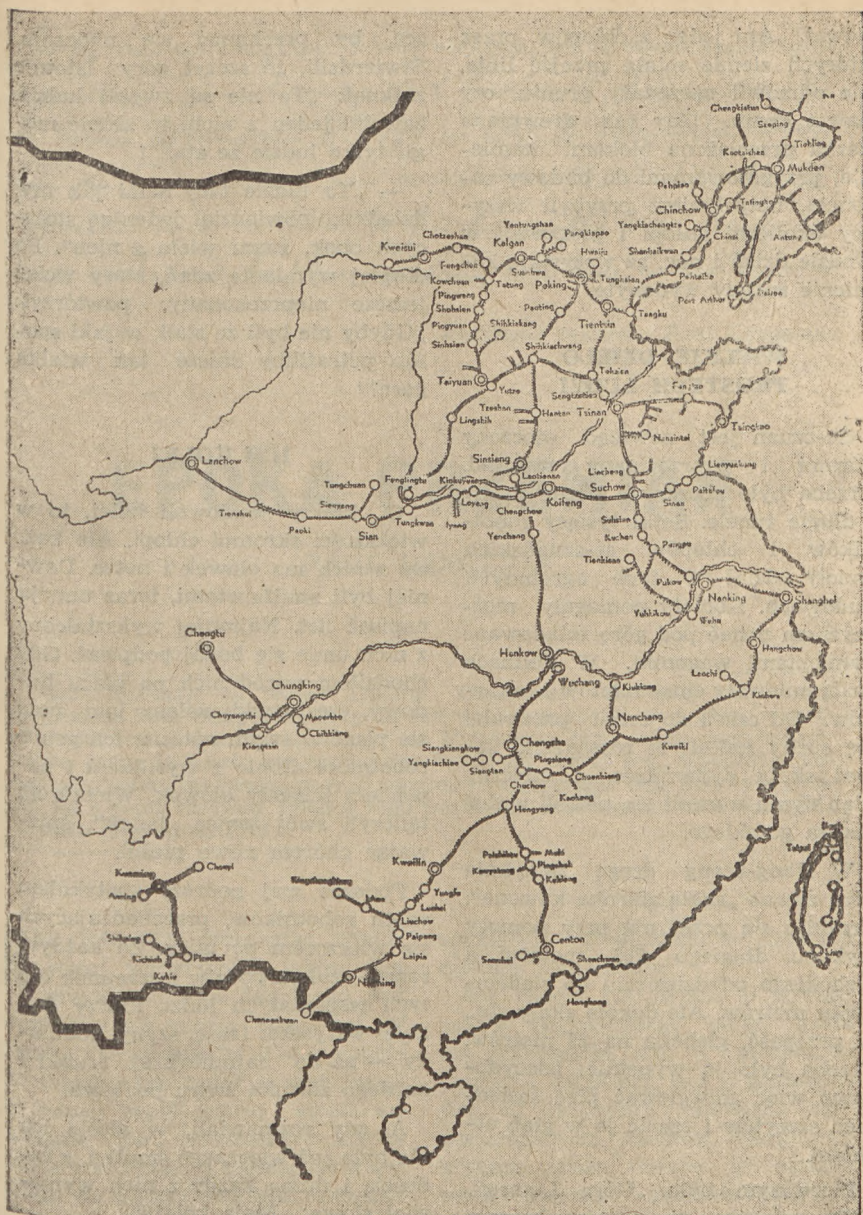
PIERWSZY POCIĄG

Mineło pięćdziesiąt lat. Bandyci grasujący w okolicy, wypadający z lasu, by obrabować zagrodę chłopską, lub podróżnika — zostali przepędzeni lub aresztowani. Nowy rząd ludowy miał poważne trudności fi-

nansowe i ludzie z niepokojem stawiali sobie pytanie, za jakie pieniądze będzie teraz można zbudować ich kolej. Wyobraźcie sobie jak zdziwieni byli mieszkańcy wszystkich sąsiednich prowincji, gdy 1-go lipca 1951 roku pociąg przejechał z Se-czuan do Yuing-czuan, przebywając 165 kilometrów!

Ze wszystkich stron nawet z bardzo daleka zbiegano się, by zobaczyć pociąg, mężczyźni, dzieci, nawet stare kobiety, które mieszkały o siedemdziesiąt li (mil) wokoło. Scho dzono się z koszykami jadła, by spożyć je na miejscu. Na trasie przejazdu organizowano festyny. Młodzieńcy zapraszali dziewczęta na uroczystość odjazdu pierwszego pociągu.

Se-czuańczycy promienieli dumą. Jeżeli kochali ten pociąg, to nie tylko dlatego, że ucieleśniał ich stare marzenie, nie tylko dlatego, że przynosił im dobrobyt, ale dlatego, że był to ich własny pociąg. Ani jeden z podkładów, złożonych na ziemi na dziesiątkach kilometrów nie został ukradziony, chociaż nikt ich nie pil-



Mapa sieci kolejowej w Chińskiej Republice Ludowej

nował. Ani jeden z chłopów, przez których ziemie miała przejeść linia, nie odmówił sprzedaży gruntu, czy nawet domu. Gdy raz drewniana tarka przeciążona blokami kamienia, przygotowanymi do budowy zatonała, natychmiast przybyli wszyscy okoliczni chłopi i pracowali w wodzie dzień i noc, aż wszystkie kamienie zostały wydobyte.

WIELKIE DZIEŁO PROSTYCH LUDZI

Se-czuan jest zewsząd otoczony górami i przecinany rzekami. Trzeba było zbudować liczne mosty i długie tunele. Setki tysięcy robotników i chłopów se-czuańskich wzięły udział w tych ogromnych budowach. Kobiety pomagały mężczyznom pchać pod górę załadowane kamieniami wagoniki. W dolinach rozbrzmiewały ciosy młotów i oskarłów. Od czasu do czasu przewalał się suchy łoskot: to rozsadzano kawał skały dynamitem, a mleczny kłęb dymu wznosił się powoli wzdłuż zbocza górskiego.

W Nong-czang drogę zamykała góra zwana „skałą ziarnka kawona“. Przebito się przez nią przy pomocy wykopu, długiego 705 metrów, a głębokiego od dziesięciu do siedemnastu metrów. Ale dokoła skały ziała przepaść, głęboka na 25 metrów. Trzeba było ją wypełnić: zdecydowano więc zniwelować pięć sąsiednich szczytów i rzucić je w głąb otchłani.

Pierwszym była „Góra Lotosu“. Kilku miejscowych starców, którym opowiedziano o tym wyczynie, nie chciało uwierzyć i udało się na miej-

sce, by przekonać się naocznie. Stwierdzili, że szczyt góry istotnie zniknął: „To nie są zwykli ludzie, zawołał jeden z nich, to zrobić mogli tylko ludzie ze stali“!

— „To ludzie tacy sami jak my, dziadku, powiedział jeden ze stojących obok, znam wielu z nich“. Po długiej wymianie zdań, stary wciąż jeszcze nieprzekonany, powtórzył: „Gdyby nie byli ze stali, w jaki sposób potrafiliby znieść tak wielką górę?“

ICH KOLEJ

Ci, którzy zbudowali kolei, to w większości skromni chłopi. Ale każdy z nich ma ołówek i notes. Dawniej byli analfabetami, teraz umieją napisać list. Najmniej wykształcony z nich umie się bodaj podpisać. Gdy chodziłem wśród nich po placu budowy, często widywałem, jak uczą się pisać w swym notesie; ich grube robotnicze dłonie z wysiłkiem i napięciem ścisnęły ołówek. Wieczorem tańczyli swój taniec „jangk“, śpiewając chórem nowe pieśni.

Podczas mej podróży spotykałem wielu robotników, przechadzających się wieczorem po ulicy. Za każdym razem czułem podziw i szacunek dla tych wspaniałych ludzi, którzy dali kolei wszystko: trasę, szyny, podkłady — aż do najmniejszej śrubki i każdego ziarnka żwiru podtorza.

A gdy rozmawiali, w głosie ich nie było już wiecznego smutku, z radością i dumą każdy z nich wymawiał słowa: „Moja kolej!“

Se-czuańczycy znaleźli lekarstwo na miłosną nostalgię.

On ne saurait exagérer l'importance de l'événement que représente, pour l'avenir de l'humanité, l'apparition de la bombe atomique. Il s'agit en effet de bien autre chose que de l'invention d'une arme nouvelle dont la terrible efficacité vient de hâter la fin du conflit qui, depuis six ans, embrasait la planète. Nous assistons, en réalité, sous

Facsimile rękopisu Paul Langevin

EPOKA PRZEMIAN

PAUL LANGEVIN

Naszą dyskusję na temat Cudów Twórczości Ludzkiej otwieramy artykułem Paul Langevin. Artykuł ten napisany został w r. 1945, wkrótce po zrzuconiu bomby atomowej na Hiroszimę, jego celem było wykazanie, czego ludzkość ma prawo oczekiwać od nowej ery, zapoczątkowanej odkryciem tajemnicy energii atomowej. Ogłoszenie tego artykułu zbiega się z piątą rocznicą śmierci tego wielkiego uczonego, która nastąpiła w dniu 19 grudnia 1946 r.

NIE NALEŻY przeceniać doniosłości wydarzenia, jakim dla przyszłości rodu ludzkiego jest pojawienie się bomby atomowej. W gruncie rzeczy chodzi o coś zupełnie innego, jak tylko o wynalezienie nowej broni, której straszliwe działanie ma przyspieszyć zakończenie konfliktu, od sześciu lat trwającego na naszej planecie. Jesteśmy świadkami dramatycznych narodzin nowej ery, ery świadomych przemian. Otwiera ona przed nami per-

spektywy zrealizowania starych marzeń alchemików.

Nie chodzi już jednak o wytwarzanie syntetycznego złota, które nie przyczyniło się w niczym do szczęścia ludzkości, lecz o postawienie do dyspozycji człowieka niewyczerpanych zasobów energii, ukrytych przez naturę w samym sercu atomów, skoncentrowanych w ich jądrze, a których istnienie zostało wykryte zaledwie pięć lat temu w związku z odkryciem ra-

dioaktywności. Z odkryciem tym związane są nazwiska Henri Becquerel oraz Piotra i Marii Curie.

Odkrycie to będzie może dla przyszłości cywilizacji ludzkiej posiadało znaczenie podobne do tego, jakim było opanowanie potęgi ognia, a praktyczne jego zastosowanie, ograniczające się dotąd wyłącznie do dziedziny lecznictwa, odpowiadać będzie znaczeniu, jakie posiadało zastosowanie maszyny parowej oraz motorów spalinowych.

Z chwilą, gdy po zakończeniu wojny wspólny los narodów całego świata znalazł się w ich ręku, kiedy od nich właśnie zależy użycie nowej, olbrzymiej potęgi, którą dysponują, dla dobrych lub złych celów — konieczne jest, aby każdy z nas zdawał sobie sprawę, na czym polega prawdziwa rewolucja techniczna, której konsekwencje możemy sobie już teraz wyobrazić.

*

Jeszcze tysiąc lat temu niemal wyłącznym źródłem energii mechanicznej, potrzebnej do wykonywania coraz różnorodniejszych prac, były mięśnie niewolników, a następnie zwierząt pociagowych. Wydarzeniem o znaczeniu zasadniczym było przejście do wykorzystywania sił naturalnych powietrza i wody, już nie tylko w żeglarstwie, lecz w szerszym zakresie — poprzez wynalezienie pomysłowych wiatraków. Jednakże nikła siła tych urządzeń nie pozwoliła przemysłowi wyjść ze stadium rzemieślniczego.

Dopiero odkrycie, w końcu XVII wieku, możliwości przekształcania

energii cieplnej w pracę przy zastosowaniu maszyny parowej, zapoczątkowało nową erę, mianowicie erę wielkiego przemysłu, szybkiej komunikacji na lądzie i na morzu, oraz ożywionej wymiany międzynarodowej. Odkrycie praw, rządzących cudownymi zjawiskami elektryczności i magnetyzmu, wykorzystanie ich, poczynwszy od ostatniej ćwierci XIX wieku, do przenoszenia na odległość oraz do nieograniczonej dystrybucji siły wytwarzanej przez maszynę parową, dodały tej sile nieporównanej sprawności. Wynalezienie w tym samym czasie potężnych turbin wodnych oraz motorów spalinowych, przyczyniło się do znacznego zwiększenia zasobów energii, jaką rozporządzamy oraz do usprawnienia postępowania się nią.

Do energii mechanicznej, dostarczanej bezpośrednio przez wiatr lub spadek wody, doszła w ten sposób przed z górą dwoma stuleciami energia uzyskana przy pomocy maszyn termicznych, parowych, wybuchowych i spalinowych, drogą przekształcania w energię pewnej części ciepła pochodzenia chemicznego, uzyskiwanego przy spalaniu węgla, drzewa, czy nafty.

Wszystkie te dawne i nowsze źródła energii zasila, w sposób mniej lub więcej zróżnicowany w czasie — promieniowanie słoneczne. Okres czasu upływający między działaniem tego promieniowania a możliwością wykorzystywania powstałej stąd energii, jest niemal żaden w przypadku wiatru, przy wykorzystywaniu spadku wody wynosi on od miesiąca do roku (gdyż spadek wody uzależniony jest od

topnienia śniegu lub lodowców), dochodzi do wielu dziesiątków lat w przypadku posługiwania się drzewem, a całych obszarów geologicznych, jeśli chodzi o węgiel kamienny lub naftę.

W każdym z powyższych przypadków osiąga się bardzo mizerną wydajność, bo też dysponujemy zaledwie znikomą cząstką tej energii, jaką zalewa nasz glob największa z gwiazd, pod której dobroczynnym wpływem żyjemy. Sprawa bezpośredniego wykorzystywania promieniowania słonecznego do produkcji energii mechanicznej, której nam potrzeba, czy też sprawa zastąpienia tym promieniowaniem palenisk naszych pieców, nie znalazła dotąd zadowalającego rozwiązania.

Do wspomnianych już ograniczeń, jakim podlegają omówione źródła energii, dochodzi jeszcze zasadnicze znaczenie i trudności prac niezbędnych dla ich wykorzystania. Niezbędne są zapory oraz ogromne przepusty wodne, aby móc wykorzystać siły wody, wyszukiwanie i coraz bardziej uciążliwa eksploatacja kopalń węgla kamiennego oraz szybów naftowych, transport ogromnych ilości materiałów palnych, których zasoby nagromadzone w ziemi od setek milionów lat bez możliwości odnawiania, wyczerpują się w coraz gwałtowniejszym tempie.

Dzięki odkryciu radioaktywności zrozumieliśmy ostatnio, że źródłem promieniowania, wysyłanego przez słońce oraz inne planety, są przemiany, dokonujące się we wnętrzu tych planet, zwłaszcza zaś, jeśli

chodzi o naszą ziemię, przekształcanie się wodoru w hel.

Lecz działania o charakterze mechanicznym, fizycznym czy chemicznym, dzięki którym zużywamy znikomą część energii, zawartej w promieniowaniu słonecznym, posiadają charakter bez porównania bardziej powierzchowny, jeśli chodzi o materię, która w tym procesie uczestniczy, aniżeli przemiany, które dokonują się w samym źródle energii, przekazywanej za pośrednictwem promieniowania. Nagrzewanie się ziemi lub powierzchni morza pod wpływem działania słońca powoduje wiatry lub deszcze, z których czerpiemy energię. Absorbacja światła przez zielone ciała roślin pozwala im, przy pomocy dwutlenku węgla czerpanego z powietrza, oraz wody czerpanej z ziemi, wytworzyć tę syntezę jaką jest drzewo, a w warunkach atmosfery szczególnie bogato nasyconej dwutlenkiem węgla, uzyskać bujną roślinność leśną epoki węgla.

Przy spalaniu węgla wydziela się dwutlenek węgla i woda, wyzwalać energię dostarczaną przez światło i akumulowaną dzięki syntezie dokonującej się w zielonych ciałkach roślin. Podobny proces ma miejsce w przypadku nafty. Nafta jest prawdopodobnie rezultatem trwającej tysiące lat podziemnej fermentacji ławic stworzeń morskich, karmiących się planktonem, którego rozwój, podobnie jak u roślin, związany jest z absorbcją energii słonecznej. Kilka liczb zilustruje doniosłość tych procesów mechanicznych i chemicznych, oraz prze-

mian, których procesy te są zaledwie słabym echem.

Energia mechaniczna, jaką daje turbina poruszana przez jeden kilogram wody, doprowadzonej do niej przewodem o wysokości tysiąca metrów, jest około trzy tysiące razy mniejsza od energii pochodzenia chemicznego, uzyskanej ze spalania kilograma węgla lub nafty, ta ostatnia zaś jest z kolei dwadzieścia milionów razy mniejsza od energii wyzwanej przez słońce w wyniku przekształcania się jednego kilograma wodoru w hel. Wyobrażenie o olbrzymiej wydajności energetycznej słońca dać może fakt, że zużywa ono pięćset miliardów kilogramów wodoru na sekundę.

Z powyższego widać, jaką wartość przedstawia dla nas możliwość wykorzystywania, stosownie do naszych potrzeb i w odpowiednich ilościach tak źle dotychczas wykorzystywanych przemian oraz innych podobnych reakcji.

Przed wojną, która zmieniła kierunek badań naukowych z punktu widzenia ich zastosowania w praktyce, Joliot przewidywał już możliwość stworzenia central termicznych, z których każdą produkowałyby stale trzysta milionów kilowatów energii, zużywając w ciągu jednego roku zaledwie jedną tonę uranu, zamiast trzech milionów ton węgla zużywanych przez istniejące obecnie turbiny parowe.

Siła ta jest 10 razy większa od tej, jaką są w stanie wytworzyć wszystkie istniejące we Francji elektrownie, zarówno ciepłe jak i wodne, i to w ten sposób, że całkowite

zużycie energii elektrycznej we Francji można by zapewnić na przeciąg jednego roku przy pomocy nie całych dziesięciu ton uranu, czyli ilości, do której przetransportowania wystarczy jeden normalny wagon kolejowy. Gdyby zaś chciano zużycie energii zwiększyć dziesięciokrotnie, wówczas ładunek jednego statku towarowego zapewniłby jej dostawę na przeciąg stu lat.

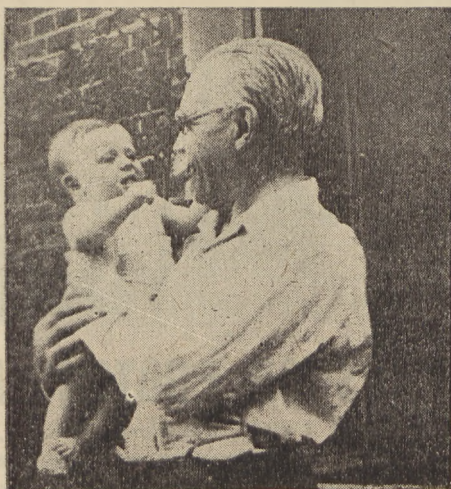
Łatwo wyliczyć, że energia, postawiona w ten sposób do dyspozycji każdego mieszkańca i użytkownika w formie siły mechanicznej, przedstawiałaby równowartość pracy, wykonywanej przez dziesięciu silnych ludzi. Każda średnia rodzina rozporządzałaby dla zaspokojenia wszystkich swoich potrzeb 40 do 50 niewolnikami, nieskończenie skromnymi i cierpliwymi, nie wymagającymi ani pożywienia, ani pomieszczenia, ani opieki.

Niewolnicy ci, ożywieni przy pomocy energii elektrycznej, byłiby materialnie reprezentowani przez maszyny, znajdujące się w kopalniach, kamieniołomach i fabrykach produkujących artykuły pierwszej potrzeby, w gospodarstwach rolnych a wreszcie w mieszkaniach, dla użytku domowego, nie mówiąc już o usprawnieniu środków komunikacji.

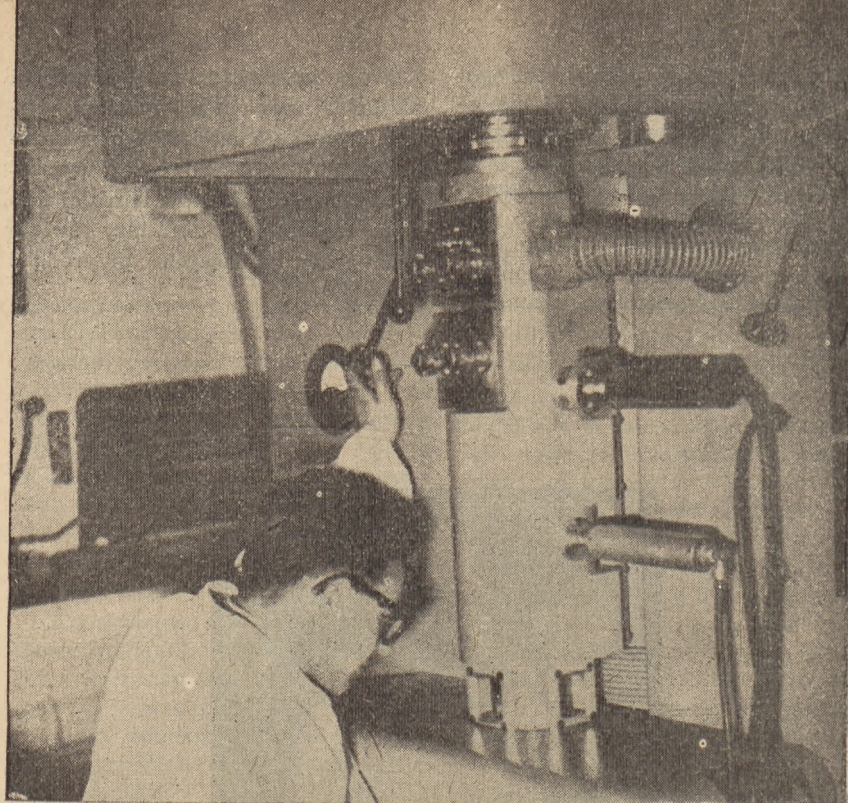
To uwolnienie od trosk materialnych pociągnęłoby za sobą wyzwolenie duchowe, rozwój kultury, możliwy nie tylko dzięki temu, że człowiek rozporządzałby wolnym czasem, lecz również konieczny z uwagi na to, że byłby on zmuszony konstruować i obsługiwać coraz bardziej delikatne i skomplikowane maszyny.

Podobnie jak w początkach epoki kapitalizmu wystąpiła konieczność dania robotnikowi pewnego minimum wykształcenia, aby podwyższyć jego kwalifikacje zawodowe i zwiększyć wydajność jego pracy, tak wykorzystanie techniki i kierowanie coraz bardziej skomplikowanymi maszynami w warunkach

rozwoju coraz bardziej zwartej i solidarnej wspólnoty ludzkiej, będzie wymagało od każdego w interesie całej wspólnoty coraz wyższego wykształcenia, coraz bardziej pełnego zrozumienia struktury świata oraz praw rządzących przyrodą i człowiekiem.



Paul Langevin z wnukiem



MIKROSKOP PROTONOWY

Chcąc dostrzec przedmioty i ciała niezmiernie drobne, człowiek wynalazł mikroskop. Najpierw był to mikroskop optyczny, powiększający 3 000 razy, który pozwalał na dostrzeganie ciałek krwi. Dzięki niemu to właśnie Pasteur odkrył mikroby. Później fizyk francuski, Louis de Broglie skonstruował mikroskop elektronowy, w którego elektrycznych soczewkach powiększających 60 000 razy udało się dostrzec przesączalne wirusy paraliżu dziecięcego.

W tym roku dwaj uczeni francuscy Magnan i Chamson zaprojektowali i zbudowali mikroskop protonowy, który osiągnie 600 000-krotne powiększenie (czyli 11 razy więcej niż mikroskop elektronowy i 200 razy więcej niż mikroskop optyczny).

Po raz pierwszy w świecie użyto w tej dziedzinie jąder atomów wodoru, protonów. Ten cudowny przyrząd będzie pomocą w niezliczonych pracach naukowych, otworzy nowe horyzonty wiedzy lekarskiej zwłaszcza w zakresie badań nad rakiem, pozwalając stwierdzić niezbiecie, czy jest on wywołany przez wirusy.

OPOWIEŚĆ O GOŁĘBICY
I KRUKU

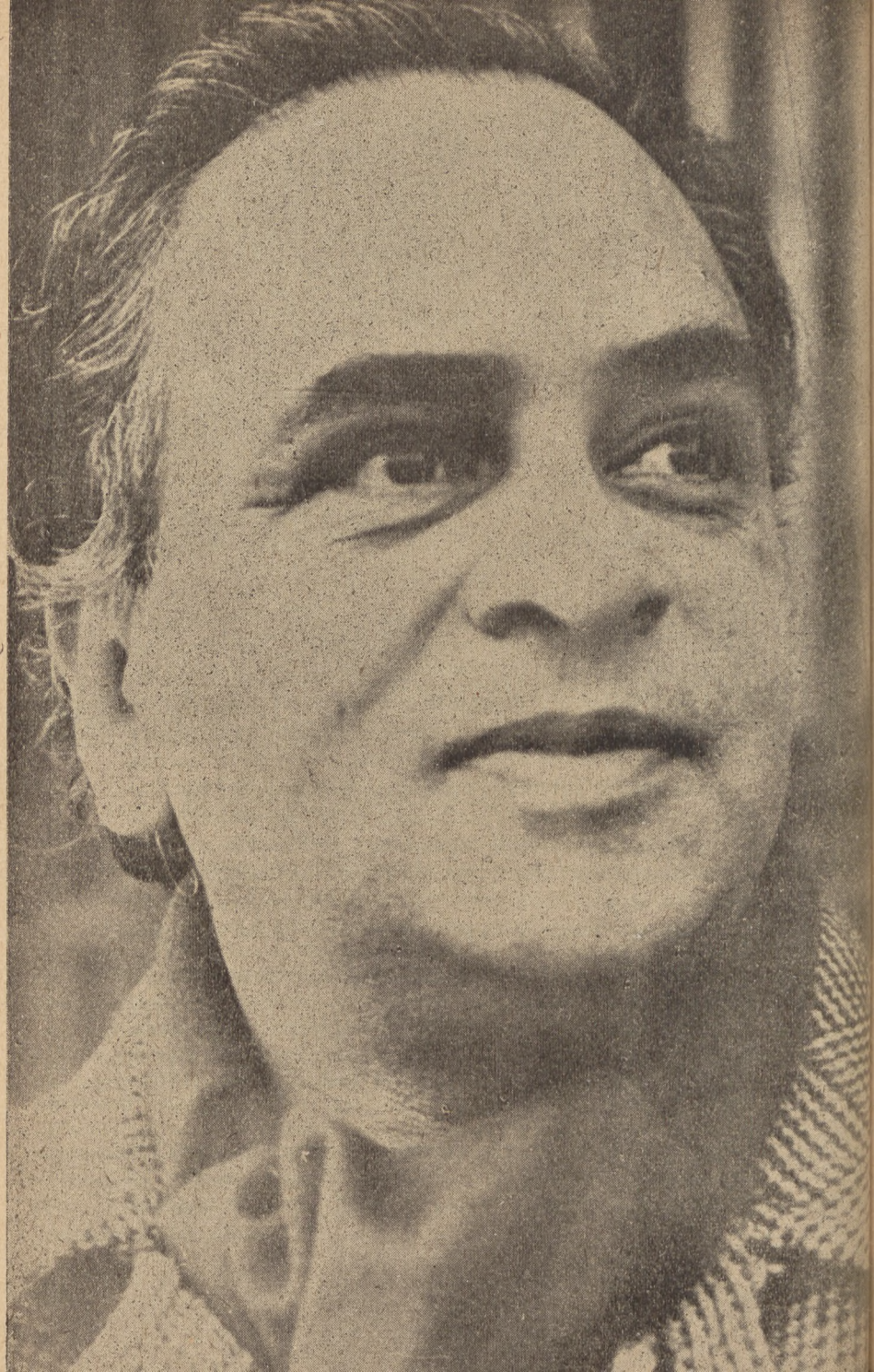
MULK RAJ ANAND

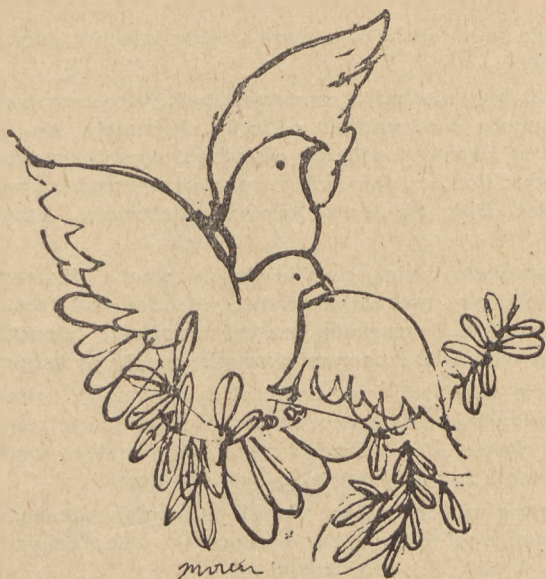
OPOWIADANIE Z PENDŻABU

SLIZGAJĄC się powoli poprzez chmury, jak promień światła w szarym brzasku poranka, gołębica kierowała się do swego gniazda, ukrytego w drzewie bananowym. W mocno zaciśniętym dziobie trzymała dwa ziarnka z pobliskiego pola. Silny blask jej oczu i spojrzenie, skierowane uparcie w jeden punkt, zdradzały przemożne pragnienie ujrzenia wreszcie swego gniazda i niewykłutych piskląt. Gdy zbliżyła się do drzewa, przechyliła się w łewo, rozpostarła szeroko skrzydła, ogarniając powietrze, jak gdyby chciała objąć horyzont. Oczy jej pełne były żaru, serce biło niecierpliwie. Światło wschodzącego słońca igrało pieszczotliwie na piórach jej szyi.

Była teraz już blisko najgrubszych gałęzi drzewa. Przed chwilą dopiero opuściła ten pęk liści na największej gałęzi i oto nagle układ liści wydaje jej się inny, niż był przedtem, jak gdyby ktoś rozchylił je od góry. Błysk jej oczu stał się nagle tak ostry, że wydawał się przeszywać powietrze. Gołębica rozpoznała niechybny ślad przelotu kruka:

Kruk... Odwieczny wróg, wandal, niszczyciel, który już dwukrotnie zabijał jej małe. Przylatywał zawsze z góry, bo wiedział, że ojciec śpi w dole, w wyżłobieniu pnia. Gołębica





pofrunęła tak szybko, że wydawała się opromieniona blaskiem swej miłości — światłem samym. Nagle opuściła się gwałtownie w dół, po czym szybko pofrunęła w górę i stanęła na wierzchołku drzewa. Przysiadła na mocnej, rozwidlonej gałęzi, zwinęła skrzydła i trwała w oczekiwaniu. Cień niepokoju pokrywał jej oczy, a całe ciało drżało, mimo wielkiego wysiłku woli, aby zachować spokój. Nie wiedziała, z jakich to ukrytych źródeł gniew jej czerpie swą moc, ale w nerwach jej, z głębi jej ciała płynęło drżenie, które utrudniało oddech i zachowanie pozornego spokoju.

Zagruchata.

Natychmiast odpowiedziało jej z dołu krakanie wroga.

Nikczemny pożeracz padliny na pewno już zniszczył jej jajeczka.

Ruu, ruu... — zagruchata.

I znów dało się słyszeć straszne krakanie, połączone z odgłosem podskakiwania.

Gołębica zebrata wszystkie siły i odzyskawszy przytomność umysłu, poszukała spojrzeniem swojego gniazdka. Zo-

baczyła je, a w nim oba szaro - białe jajeczka, które wysiadływała.

Może były nietknięte, może przybyła jeszcze na czas?... Nie było mowy o odzyskaniu oddechu. Pofrunęła do gniazda, drżąc ze strachu i nadziei; oślepiona, poczuła wyostrzonymi nerwami kontury jajeczek, rozpostarła skrzydła i przysiadła na nich. Były tu, gorące, ocalone, nietknięte... Przybyła na czas!

Zagruchała z ulgą, po wielkim napięciu. Zagruchała ze szczęścia, gdy poczuła ukochane jajeczka pod sobą, przy swoim ciele. Zagruchała jeszcze, rozwijając skrzydła, jak gdyby maleństwem poprzez skorupkę mogły ją usłyszeć.

Wtem zakrakał kruk, usiłował ją zastraszyć, dziobnął, jak gdyby mówił: „Masz twoje małe, ale mogę ci je zabrać, jeśli tylko zechcę! Mój dziób jest straszliwą bronią w walce, a pazury moje są tak potężne, jak szpony sępa”.

Biedna matka wydała okrzyk wzywając pomocy. Ale ojciec leń, spał spokojnie w wydrążeniu pnia drzewa bananowego. I nikt nie odpowiedział.

Krzyknęła jeszcze raz, głośniej.

Kruk zakrakał, aby ją zagłuszyć.

Poczuła, że jest stracona. Ale jajeczka były tu, bezpieczne, tuż przy niej. Rozpostarła skrzydła jak mogła najszerzej i czujnymi oczyma rozglądając się na wszystkie strony, gotowała się do obrony, w wypadku, gdyby atak nastąpił przed przybyciem ojca.

Lecz kruk wiedział, że stracił już swoją szansę. Gdyby był pewien, że ojciec nie przyleci, mógłby pokonać matkę, znisz-





czyć gniazdo i unieść ziarna. Ale ojciec mógł się przebudzić każdej chwili, zawezwać na pomoc inne ptaki, a wtedy kruk byłby stracony.

Gołębica znów krzyknęła.

Wściekły z powodu swojej porażki, wygłodniały, rozszalały kruk skoczył nagle w kierunku gniazda, gotów do ataku. Gruchając, piszcząc, bijąc skrzydłami, matka szykowała się do walki i, przygotowana na wszystko, wydała okrzyk wyzwania. Ale czyż gruchanie może być krzykiem? A krakanie, czy może być śpiewem? Znajdujące się w pobliżu wróble usłyszały rozpaczliwe wołanie gołębicy: I ojciec obudził się, gdy niepokojący krzyk samicy dotarł wreszcie do jego uszu. Wróble podniosły wrzawę.

Matka zagruchala znowu, ale tym razem miękko, ze spokojną pewnością.

Kruk atakował, dziobał ją we wściekłym wysiłku zemsty. Szamotała się dziko, szeleściły pióra; biały spód jej skrzydeł błyszczał jak światło, ostrzegające o niebezpieczeństwie. Przyleciał ojciec, a za nim chmara wróbli. Kruk uciekł na wierzchołek drzewa. Gołębica powitała samca gniewnym pomrukiem, potem serdeczniejszym gruchaniem, zadowolona, że przyleciał wreszcie. Wróble szydziły z kruką wesółym ćwierkaniem; czuły na wyrzuty samicy gołąb zagruchał groźnie, dumnie, z dziobem zwróconym przeciw wrogowi, który ocierał o skrzydła dziób okryty krwią. Gołębica teraz dopiero poczuła ból. Samiec przyfrunął do niej i dotknął jej dzioba swoim. Pieszczota ta nappełniła ją falą radości. Zagruchała miłośnie.

Słyszcząc ten śpiew miłości, kruk odleciał z nienawistnym krakaniem.

* * *

W Pendżabie powiadają, że gołębica może odeprzeć atak kruką, odwiecznego swego wroga, samym tylko gruchaniem; gruchanie to płynie bowiem z głębi jej serca, z niezgłębionej miłości matki dla swoich maleństw. Zaś krakanie i zły płomień w oczach kruką płynie z popiołów nienawiści, którą nosi w swoim sercu.



ODKRYCIE KORTYZONU

DR LEONARD ENGEL

Jednego popołudnia w kwietniu 1949 roku pewien miły i skromny lekarz zatrudniony w jednym z największych ośrodków lekarskich w Stanach Zjednoczonych wyświetlił na zebraniu lekarzy w Nowym Jorku bezpretensjonalną krótkometrażówkę. Pomimo, że film nieznany był prawie poza kołami lekarskimi, wywołał efekt bardziej sensacyjny aniżeli wszystko co przychodzi z Hollywood. Zapoczątkował on nową erę w medycynie.

FILM ten, zrealizowany przez doktora Filipa S. Hench'a z kliniki Mayo, pokazywał zadziwiające wyniki hormonu kortyzon w przypadkach reumatycznego zapalenia stawów, najcięższej postaci tego schorzenia. Zaledwie 2 lub 3 dni od rozpoczęcia leczenia przykuci od lat do łóżka chorzy spacerowali po korytarzach szpitalnych, żwawo wchodzili i schodzili po schodach.

Nigdy przedtem w czasie długiej walki z zapaleniem stawów nie zaobserwowano czegoś podobnego.

Kilka miesięcy po tym odkryciu lekarze zauważyli, że kortyzon dzia-

ła również na wiele innych chorób: na ostre zapalenie stawów, które jest śmiertelnym wrogiem dzieci, na podagrę, astmę i na szereg nieuleczalnych i często niebezpiecznych chorób skórnych, jak pęcherzyca, na stany zapalne oka, które często kończyły się ślepotą; przeciwko ukąszeniu przez żmije i jadowite pająki oraz przeciwko ciężkim oparzeniom, które bardzo często bywały śmiertelne. Dla przykładu: kortyzonem udało się wyleczyć w ciągu kilku tygodni 8-letnią dziewczynkę ze stanu Arizona, która w wypadku samochodowym doznała oparzenia 60

proc. powierzchni ciała. Hormon ten służyć może również do wzmocnienia chorych osłabionych podczas ciężkiej operacji i łagodzi starcze bóle, które niejednokrotnie stają się przyczyną obłożnej choroby z następującym potem szybkim wyczerpaniem sił organizmu (super-aspiryna).

Jasne było, że hormon o takich właściwościach musi działać na podstawowy mechanizm ustroju. Istotnie tak jest.

Kortyzon jest hormonem nadnerczy, dwóch małych gruczołów trójkątnego kształtu osadzonych na nerkach jak kapelusiki. Gruczoły nadnerczy składają się z dwóch części. Warstwa wewnętrzna wydziela znaną powszechnie adrenalinę, warstwa zewnętrzna zaś, zwana korową, oddaje kortyzon i 27 innych hormonów, względnie substancji hormonalnych. Od czasu klasycznych badań uczonego francuskiego Brown-Sequarda przed około wiekiem wiadomo, że gruczoły nadnerczy są niezbędne dla życia. Ich usunięcie lub zniszczenie przez chorobę, jak to się nieraz zdarza, powoduje niechybną śmierć. W nowszych czasach wykryto, że korowy hormon nadnerczy kieruje reakcjami organizmu na uraz lub chorobę, powstrzymując postępowanie choroby i hamując pourazowy wstrząs nerwowy.

Wykrycie kortyzonu na krótko przed wojną jest dziełem Szwajcara T. Reichsteina i Amerykanina Edwarda C. Kendalla. Za odkrycie hormonów kory nadnerczy obu uczonym przyznano w ubiegłym roku nagrodę Nobla. Ani Reichstein ani Kendall nie uzyskali jednak korty-

zonu w ilości dostatecznej dla ustalenia jego własności leczniczych.

Niemniej, jesienią 1941 roku krążyły w Stanach Zjednoczonych pogłoski, jakoby Niemcy wyodrębnili z korowego hormonu nadnerczy wyciąg, który pozwalał pilotom Luftwaffe utrzymywać się na bardzo dużych wysokościach. Później pogłoska ta okazała się fałszywą, ale zachęciła do opracowania programu badań w wielu laboratoriach amerykańskich i kanadyjskich. Badania te dały w końcu jak najbardziej rewelacyjne wyniki.

W toku tych badań Kendall i Lewis H. Sarett, młody chemik z laboratoriów firmy Merck i Ska (jednej z dwóch głównych fabryk środków farmaceutycznych) znaleźli sposób produkowania hormonu nadnerczy dla celów doświadczalnych. Jeden z tych produktów nazwany „Składnikiem A” Kendalla wyodrębniono i wyprodukowano w znacznych ilościach. Doświadczenia ze „Składnikiem A” skończyły się kosztownym niepowodzeniem. Nie znalazł on żadnego zastosowania leczniczego. Zniechęcenie wśród badaczy było tak duże, że większość z nich nosiła się z zamiarem zaniechania badań. Firma Merck zdecydowała się jednak wyprodukować 5 gramów kortyzonu. Cztery gramy zostały już zużyte na bezskuteczne doświadczenia w chwili, gdy doktor Hench zażądał kortyzonu, celem wypróbowania go przy zapaleniach stawów. Otrzymał ostatni gram. Ta mała ilość tak dalece polepszyła stan dwóch chorych. że firma Merck zdecydowała się produkować go nadal dla przeprowadzania dalszych badań.

Kortyzon nie leczy ani zapalenia stawów, ani żadnej innej choroby. Dzięki niewyjaśnionemu jeszcze dostatecznie działaniu usuwa on objawy choroby; z chwilą przerwania leczenia zjawiają się one ponownie, czasem nawet w ostrzejszej jeszcze postaci. Leczenie kortyzonem musi więc trwać bez przerwy.

Fakt ten stwarza dwa problemy. Jeden, (w którym nie ma nic zadziwiającego, skoro się zważy, że gruczoły nadnerczy odgrywają dużą rolę) — to długi czas trwania leczenia i możliwość wywołania przez to ciężkich następstw, na skutek nie dość ostrożnego stosowania środka. Drugi — to ogromne ilości hormonów potrzebnych do leczenia. Chory na zapalenie stawów np. zużywa około 3 gramy kortyzonu miesięcznie. Przyjmując, że na świecie jest przeszło 20 milionów chorych tego rodzaju, leczenie tylko tej jednej choroby wymagałoby milionów gramów kortyzonu rocznie. Niestety, kortyzon jest jednym z najrzadszych i najdroższych środków leczniczych. Firma Merck, rozporządzająca jedną z najbardziej doskonałych organizacji technicznych w Stanach Zjednoczonych, potrzebowała prawie dwóch lat do wyprodukowania pierwszego tysiąca gramów kortyzonu.

* * *

Pierwszy problem, dotyczący niebezpieczeństwa samego środka, jest na drodze do rozwiązania, dzięki właściwej opiece lekarskiej i nagromadzeniu doświadczenia w obchodzeniu się z tym hormonem. Ponadto większość szkodliwych działań kortyzonu ma charakter przejścio-

wy i znika wraz z przerwaniem leczenia.

Drugi problem — problem produkcji — rozwiązuje się obecnie dzięki nadzwyczajnemu postępowi wiedzy.

Przed wszystkim wykryto, że takie same działanie co kortyzon posiada inny hormon i że może go często zastąpić. Chodzi tu o A. C. T. H. (hormon adreno-korowo-tropowy *).

A. C. T. H. jest produktem wydzielniczym przysadki mózgowej, uważanej za *naczelny* gruczoł organizmu, którego różne produkty wydzielnicze kierują czynnością innych gruczołów wewnętrznego wydzielania. Wstrzyknięcia A. C. T. H. pobudzają wydzielanie kortyzonu i innych korowych hormonów nadnerczy.

Wyciąg A. C. T. H. można otrzymać z przysadek mózgowych świń i wołów. Jego produkcja jest jednak kosztowniejsza niż kortyzonu; poza tym stosowany jest tylko w postaci zastrzyków, podczas gdy kortyzon może być podawany doustnie, co jest wielką zaletą lekarstwa, które chory musi brać codziennie przez miesiące i lata. Zasoby przysadek mózgowych są jednak ograniczone, a tym samym i możliwości produkcji A. C. T. H.

Z początku kortyzon wyrabiany był uciążliwym sposobem, wymagającym dużo czasu. Materiałem wyjściowym była żółć wołu. Było to najbardziej skomplikowane postępowanie, jakie kiedykolwiek znał przemysł chemiczny.

*) t. j. hormon pobudzający wydzielanie adrenaliny i hormonu korowego w nadnerczach. (Red.)

Przekształcenie składników żółci w hormony wymagało nie mniej, jak 37 manipulacji chemicznych. Przy tym z powodu dużej ilości odpadków potrzeba było 120 sztuk bydła do wyprodukowania ilości kortyzonu na 1 dzień dla *jednego* chorego na zapalenie stawów.

Pierwszy producent kortyzonu, firma Merck, zdołał uprościć postępowanie, podnosząc równocześnie wydajność. Mimo to hormon pozostał rzadkością. Ostatniej zimy zabrakło kortyzonu w Stanach Zjednoczonych. Wielu chorych zmuszonych było przerwać leczenie.

Główną przyczyną tego braku jest fakt, że zasoby żółci zwierzęcej, potrzebne do produkcji kortyzonu są równie ograniczone jak przysadki mózgowe, z których wyrabia się A. C. T. H. Z tego powodu chemicy różnych krajów usiłują już od dwóch lat znaleźć inne sposoby produkcji kortyzonu.

Popełniono liczne błędy, nim ten cel osiągnięto. Dla przykładu: 6 ekspedycji wyruszyło z Europy i Stanów Zjednoczonych do Afryki w poszukiwaniu pewnego rodzaju szczepu winnego. Roślina ta miała zawierać substancję chemiczną, z której można było uzyskać kortyzon. W praktyce nic to jednak nie dało. Z drugiej strony zebrano bardzo pożyteczne dane o tej roślinie, z której otrzymuje się również środek nasercowy — strofantynę.

Badacze amerykańscy zrobili próbę z użyciem nadnerczy pochodzących ze świeżo ubitego bydła. Metoda ta, zwana biosyntezą, nie dała pożądaných ilości, ale pomogła wykryć inną substancję, Składnik F,

którego własności podobne są do kortyzonu (niestety Składnik F jest tak samo trudny do wyprodukowania jak kortyzon).

* * *

Logicznie biorąc, doświadczenia winny zatem zmierzać do wyprodukowania kortyzonu z substancji roślinnych i zwierzęcych. Otrzymuje się tą drogą dużą ilość hormonów, zwłaszcza zaś hormony płciowe, z którymi kortyzon spokrewniony jest pod względem chemicznym. Metoda ta stawia jednak przed nami ważny problem. Kortyzon zawiera atom tlenu, umieszczony w cząsteczce kortyzonu w określony sposób. Pozycja ta określana jest w słownictwie chemicznym znakiem C. II. Bez tego tlenu o znaku C. II kortyzon nie jest kortyzonem i nie posiada żadnego działania leczniczego.

Niestety, żaden z surowców, którymi się posługiwano do produkcji kortyzonu, nie zawierał atomu tlenu C. II i chemicy nie widzieli żadnej możliwości wprowadzenia go do cząsteczki. Jeszcze 6 miesięcy temu chemicy przewidywali rozwiązanie tego problemu dopiero po wielu latach.

Dzisiaj znaleziono nie mniej jak 5 różnych rozwiązań. Dwa z nich to zdobycze profesora uniwersytetu Harvard, Louis Fiesera. Dwa inne zawdzięcza się pracom chemików firmy Syntex S. A. Jest to wielka fabryka hormonów w Meksyku, zatrudniająca przeważnie uczonych amerykańskich i europejskich. Piąte rozwiązanie wyszło z laboratoriów firmy Merck i Ska.

Syntex produkuje już dla celów doświadczalnych kortyzon z meksykańskiego *yam'u* *), używanego dotychczas do masowego wyrobu hormonów płciowych. Również i Merck wyprodukował małe ilości kortyzonu z tegoż surowca, a również ze związków chemicznych otrzymywanych z tłuszczu lnianego, z soi oraz z drożdży. Zarówno w Stanach Zjednoczonych i w Meksyku, jak i w krajach ubogich w dewizy projektuje się produkcję kortyzonu z jednego z wymienionych surowców.

Przeprowadzane w tej dziedzinie badania leżą u podstaw jednego z największych zwycięstw nowoczesnej chemii. Podobnie jak hormony płciowe, kortyzon należy do grupy chemicznej steroidów. Od blisko 20 lat najsłynniejsi chemicy świata usiłują otrzymać steroidy z takich materiałów jak węgiel, powietrze i woda.

Bodźcem w ich wysiłkach stała się konieczność znalezienia nowych źródeł kortyzonu. Nowi bojownicy zasilili szeregi walczących. W rezultacie synteza steroidu udała się dwukrotnie wiosną ubiegłego roku: po raz pierwszy świetnemu uczonemu z Harvard, Robert Burns Woodwardowi, a kilka tygodni później

Robert Robinsonowi z Oxfordu, jednemu z największych chemików angielskich. Inni chemicy przekształcili już niektóre związki steroidowe w kortyzon. Chemicy zgodni są co do tego, że zwłaszcza synteza Woodwarda umożliwi ewentualnie masową produkcję kortyzonu z węgla.

* * *

W ten sposób widoki na złagodzenie bólu milionów istot ludzkich zdają się przybierać konkretne kształty. Niemniej ważna jest wyjątkowa zdolność tego hormonu do likwidacji objawów choroby. Własność ta pozwoli zgłębić jeszcze bardziej istotę samej choroby.

Przed 75 laty Louis Pasteur wytknął drogę walki, wykazując, że choroby mogą być wywoływane przez drobnoustroje. Od tego czasu uczeni wszystkich krajów wykryli bakterie, powodujące wiele chorób u ludzi i zwierząt, ale stwierdzili również, że istnieją choroby, które trudno jest przypisać działalności zarazków.

Stwierdzili także, że chorobę powodują nie tylko czynniki zewnętrzne, lecz że częściowo uzależniona jest ona od sposobu reagowania organizmu. Wykrycie kortyzonu rzucało światło na ten aspekt choroby i być może stanie się ono źródłem nowych osiągnięć, dorównujących znaczeniem odkryciom Pasteura.

*) Roślina o działaniu przeciwrheumatycznym i przeciwskurczowym. (Red.)

DR. DEBEYRE, ordynator szpitali paryskich i profesor wydziału lekarskiego uniwersytetu w Paryżu, jest ortopedą, a w szczególności zajmuje się chirurgią schorzeń reumatycznych. Jest to względnie nowa gałąź chirurgii, której rozwój w chwili obecnej zawdzięcza się ulepszeniom technicznemu, jak zastąpienie pokazanych części kości odpowiednimi częściami syntetycznej masy żywicznej, zwanej akrylikiem. Z drugiej strony rozkwit tej gałęzi wiedzy stał się możliwy — zwłaszcza jeśli chodzi o czynne schorzenia reumatyczne — dzięki połączeniu leczenia chirurgicznego z leczeniem wewnętrznym za pomocą kortyzonu, pozwalającego wykonywać obecnie operacje, które przedtem były niemożliwe.

Dziękujemy bardzo p. profesorowi Debeyre za umożliwienie nam niniejszego reportażu o arthroplastyce, t. j. chirurgicznej rekonstrukcji stawu biodrowego.

ODTWORZENIE STAWU BIODROWEGO

CHIRURGIA korzysta z postępu techniki przemysłowej. Wykrycie syntetycznych żywic zmieniło całkowicie od kilku lat chirurgię stawów. Można dzisiaj z łatwością zastąpić odcinek kości odpowiednim kawałkiem żywicznego akryliku. Jest to pierwszy neutralny materiał, który organizm może znieść przez nieograniczony czas.

Wszystkie próby dokonywane poprzednio z kauczukiem, ebonitem, metalami, kością słoniową i kośćmi innych zwierząt, nie zdały egzaminu. Akrylik jest poza tym dostatecznie mocny, tak, że nie ulega przedwczesnemu zużyciu.

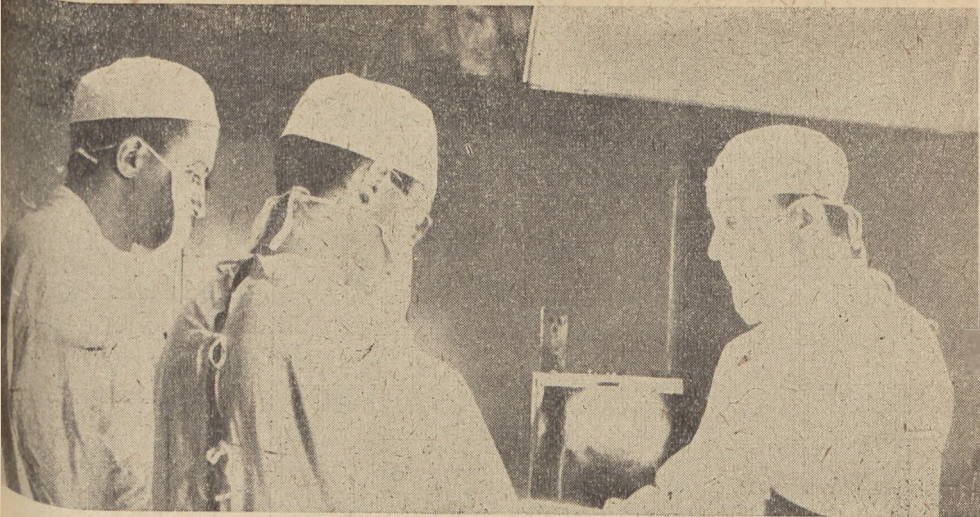
Powyższa technika stosowana jest

z dużym powodzeniem przy operacjach na stawie biodrowym. Zastąpienie główki kości udowej główką akrylikową stało się codziennym zabiegiem. Stosuje się go przy wielu chorobach stawu biodrowego, zwłaszcza przy reumatycznym zniszczeniu główki, przy źle zgojonych złamaniach i przy wadach wrodzonych.

Zabieg wykonany przez chirurga specjalistę w dobrym znieczuleniu i przy właściwym wyprowadzeniu i wstrząsu operacyjnego, może być stosowany nawet u osób w podeszłym wieku. Jest to jeszcze jeden dowód, że chirurgia czuje się dzisiaj na siłach zaatakować takie schorzenia, które bynajmniej nie zagrażają życiu. Może ona śmiało uznać za wskazany zabieg, którego celem jest po prostu usunięcie bólu lub poprawa czynności stawu.

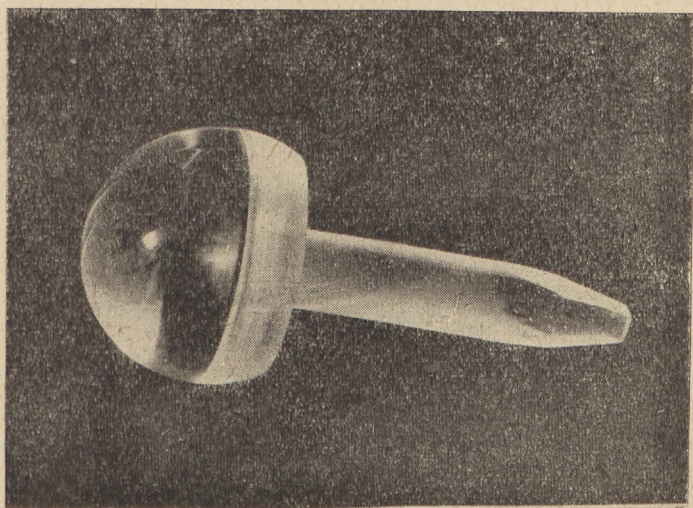
PROFESOR DEBEYRE

*) Plastyki stawu biodrowego za pomocą główki akrylikowej wykonywane są w Polsce w III Klinice Chirurgicznej (Ortopedia) A. M. w Warszawie; kierownik: prof. dr. A. Gruca (Red.)

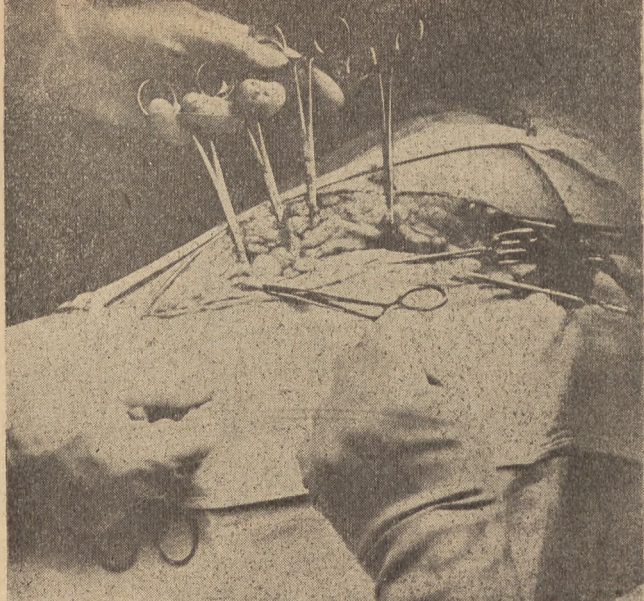


Profesor Debeyre (z prawej strony) i jego dwaj asystenci

POMOCĄ PROTEZY AKRYLIKOWEJ*)



Proteza z masy akrylikowej przeznaczona do zastąpienia główki kości udowej. Ma ona kształt solidnego grzyba



3

...Co umożliwia
dostęp i odsłonięcie stawu biodrowego



1 Robi się długie cięcie przez skórę, tłuszcz podskórny i powierzchowną powięź

2 Dłutem oddziela się przyczep mięśni uda na górnym końcu kości udowej...



4

Po usunięciu torebki stawowej wyważa się główkę kości udowej z panewki, t. j. z jamy stawowej w kości miednicy





Jak widać główka kości udowej jest bardzo zniekształcona



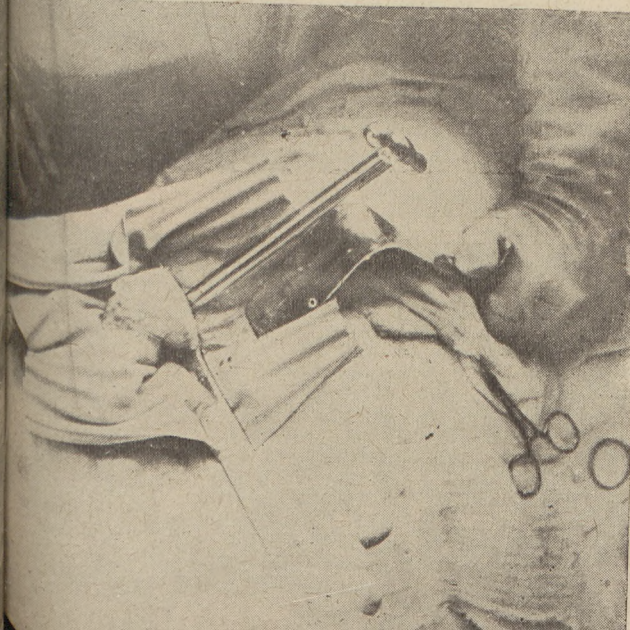
Główka kości udowej przecięta na dwie części

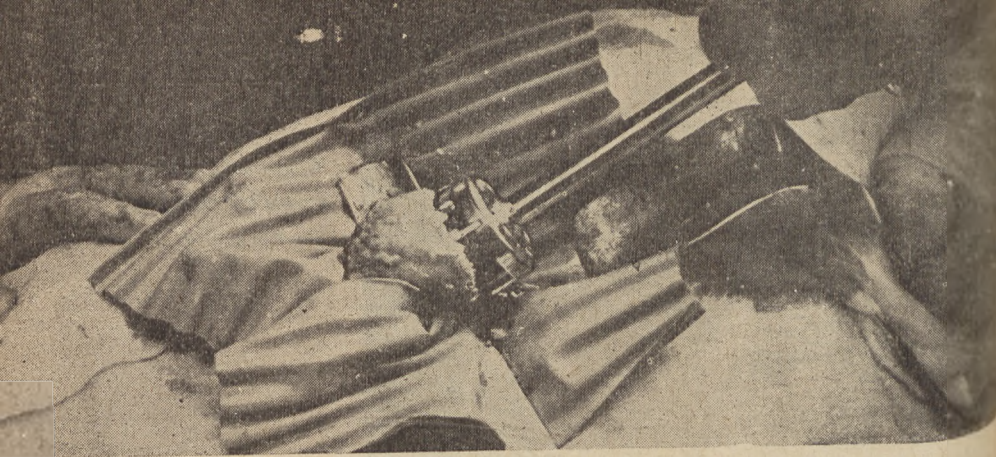


Za pomocą piły ścina się koniec główki

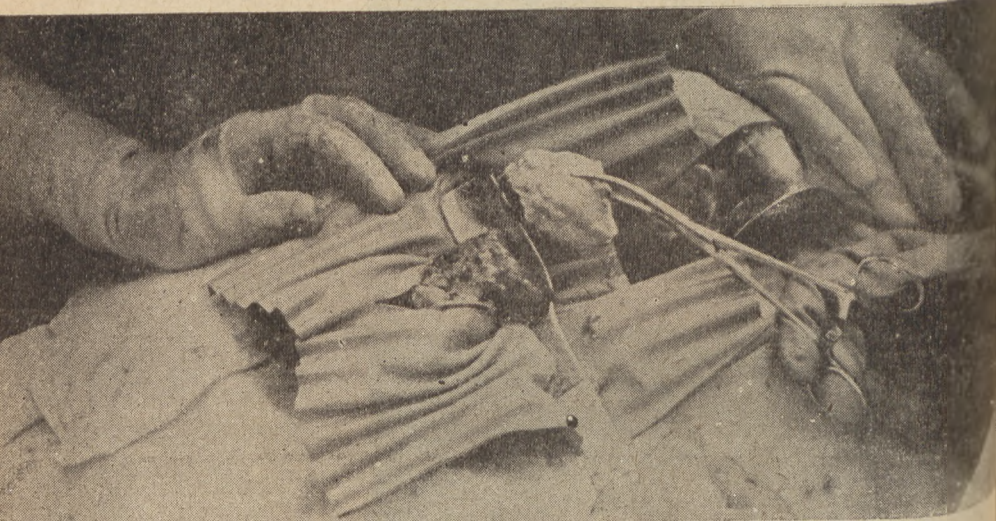


Świdrem drąży się kanał wewnątrz szyjki kości udowej.





...pomocą innego
...mentu nadaje
...skutowi szyjki
...ularny kształt



...sposób usuwa
...równości do-
...główki kości
...po czym
...szyjki jest do-
...le dostosowany
...kształtu protezy
...akrylikowej



...protezy wbija
...kanału wydrą-
...go w szyjce



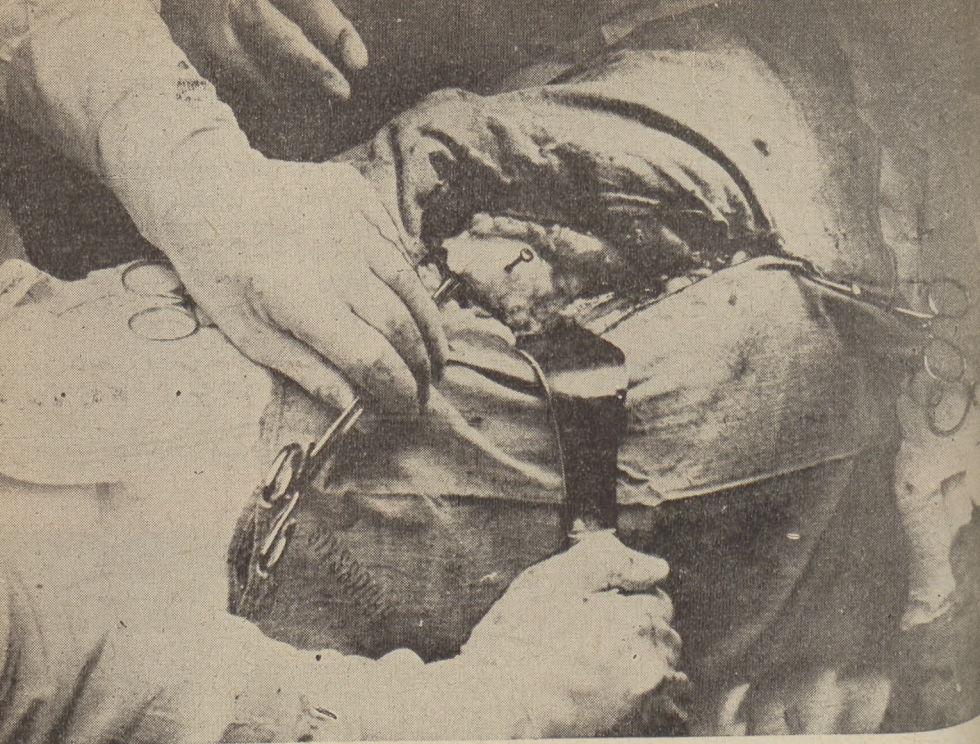
12

Kilka uderzeń młot-
kiem wystarczyło
aby dobrze przymo-
cować protezę. Przy-
lega ona do uprzed-
nio wygładzonej
szyjki

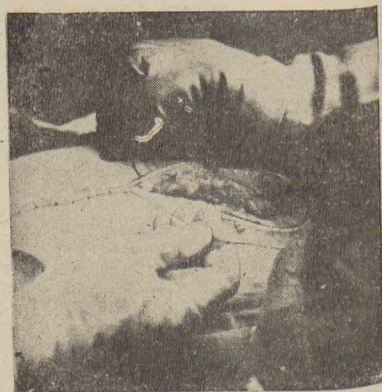
13

Teraz pozostaje tyl-
ko wprowadzić nową
główkę kości udowej
do wnętrza jamy
stawowej, wyżłobio-
nej w kości miednicy.
Staw został całkowi-
cie odtworzony i
można przekonać się,
że ruchomość jego
jest normalna. Zupet-
nie gładka i kulista
powierzchnia główki
akrylikowej swobod-
nie obraca się w ja-
mie stawowej. Wsku-
tek tarcia akryliko-
wej główki o kość ja-
my stawowej powstać
mogą dość nieprzyje-
mne, słyszalne przez
chorego szmery, przy
pominające zgrzyt
drzwi w starej sza-
fie



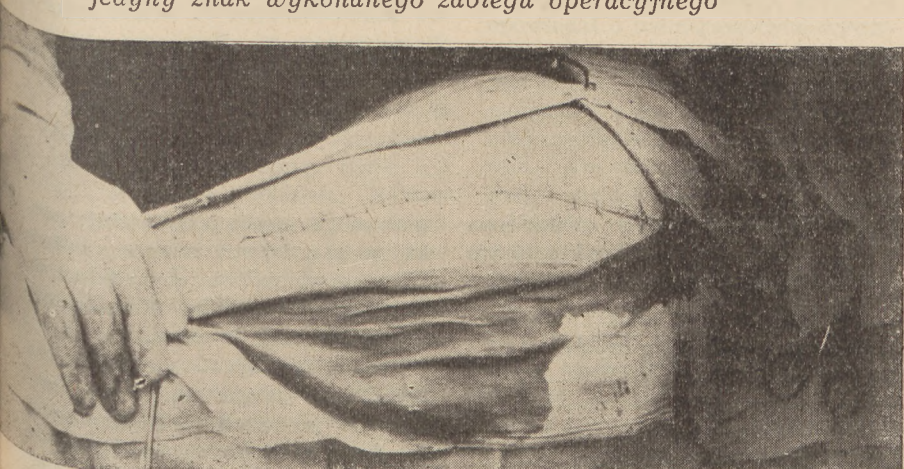


14 Za pomocą gwoźdźcia przytwierdza się przyczesn mięśni uda, tak, aby znowu mogły przejąć swoją rolę poruszania stawu biodrowego



15-16 Zeszywa się wówczas ranę — najpierw powierzchowną powięź, potem skórę

- 17 Pozostaje tylko blizna długości około 25 cm, jako
jedyne znamię wykonanego zabiegu operacyjnego



Wycięty kawałek ko-
ści



Zdjęcia: ROGER KELLER

POŁUDNIĘ PRZESŁANA SIĘ na PÓŁNOC

GUENADY FISH

GĘSTWINA leśna, niedostępna i dzika, bór oddalony o 10 km od koła polarnego, a o 50 km od frontu... Tu oto, w Karelii, w okolicach Kestorgi, w chatynce, z której ścian sypał się piasek za każdym armatnim wystrzałem, zawarłem znajomość z oficerem owej dywizji, która toczyła bohaterskie boje w tajdze i na moczarach.

Spędzaliśmy na rozmowach zarówno dzień — w pierwszej linii frontu — jak i noc, jasną noc letnią, przesyconą grozą. Oficer Stefan Dunka opowiadał mi z dumą o żołnierzach swojej dywizji i o ich czynach.

Siedem lat upłynęło od owego spotkania. Wspomnienia lat wojennych oddaliły się, ustąpiły miejsca walce o inne zwycięstwa — tym razem o charakterze pokojowym.

Pewnego razu, w ciągu jednej z moich podróży na Ukrainę, gdzie zbierałem materiały dotyczące zwycięstwa w walce o proso, (kołchoznicy zdołali w ciągu jednego roku

podwoić, a nawet potroić zbiór prosa na przestrzeni miliona hektarów) — wstąpiłem przypadkiem do Naukowego Instytutu Ukraińskiego dla badań nad owocami.

Pewien uczony — specjalista od owoców — zabrał mnie na przechadzkę po ogrodzie. Giętkie gałęzie drzew owocowych ugiwały się aż do ziemi pod obfitością jabłek i gruszek. Mój przewodnik opowiadał mi, w jaki sposób pracownicy Instytutu odkryli tajemnicę okresowości owocowania. W jaki sposób, drogą doświadczeń, wypracowali metody, dzięki którym wszystkie drzewa owocowe dawały rokrocznie bardzo bogate plony... Oto było wielkie zwycięstwo odniesione przez kolektyw Instytutu w dziedzinie naukowych metod produkcji. O znaczeniu tych metod najwięcej mają do powiedzenia robotnicy przemysłu konserwowego, przemysł ten bowiem cierpiał najbardziej z tego powodu, że drzewa owocowe poprzednio nie owocowały regularnie.

Kiedy doszliśmy do brzoskwiń towarzysz mój ożywił się ogromnie. Brzoskwinie w okolicach Kijowa? 500 km na północ od tych okolic, w których dotychczas jedynie udawało się hodować brzoskwinie! Wielkie, lśniące, mocno czerwone, były już zupełnie dojrzałe. A wszak mieliśmy dopiero koniec lipca! Znaczący to, że dojrzały one w tym samym czasie, co najwcześniejsze odmiany brzoskwiń w południowych okręgach naszego kraju.

Towarzyszący mi uczony zerwał jedną z nich i dał mi do skosztowania. Soczysty, pachnący owoc był też i w smaku doskonały. Bywały już próby szczepienia tej odmiany, ale szczepy wyginęły podczas hitlerowskiej okupacji na Ukrainie. Udało się zachować tylko maleńki jeden zraz, zaszczipiony na śliwie, która przetrwała wszystkie mroźne zimy. Wznosił się on oto przed nami, przyjacielsko podając nam swoje pełne owoców gałęzie. Wokoło niego podobne doń, ale mniejsze krzewy wydawały już także owoce. Pod wpływem śliwy, która należy do tej samej rodziny co brzoskwinia, ta ostatnia staje się bardziej mrozoodporna, a jej owoce dojrzewają wcześniej.

Można więc powiedzieć, że północna granica hodowli brzoskwiń przesunęła się o kilkaset kilometrów na północ.

„Jak pan sam widzi, mówił dalej mój towarzysz, smak brzoskwini pozostał ten sam“. Wziął pestkę brzoskwini, którą właśnie skończyłem jeść i skrzętnie schował ją do kieszeni. „I pomyśleć, że tam w Karelii, tyle sobie krwi napsułem z jego po-

wodu — wskazał na młode drzewko brzoskwiniowe — tak się bałem, żeby go okupanci nie ścięli“.

Zaledwie wyrzekł te słowa, a natychmiast stanęła mi przed oczyma miejscowość, w której się ongiś spotkaliśmy. Wtedy już, kiedy opowiadał o swej brzoskwini, ogienek błyszczący w jego oczach przypominał mi spojrzenie oficera, który mi opowiadał o nieustraszonych wyczynach swojej dywizji; chciałem nawet zapytać się agronoma, czy przypadkiem nie jest tym oficerem, którego spotkałem na froncie w Karelii. Ale tamten mówił dużo prędzej, z dużo większą energią; w tym człowieku, odzianym w skromne, cywilne ubranie, jakoś nie umiałem rozpoznać dawnego wojskowego.

„Ale ja pana natychmiast poznałem“, odpowiedział mi ze śmiechem Stefan Charitonowicz Dunka. Powodem powolniejszego sposobu bycia agronoma nie była jakaś zmiana usposobienia, ale kontuzje wojenne.

I znowu spędziliśmy długie godziny na rozmowie. Ale nasze rozmowy dotyczyły obecnie wyczynów wielkiej armii hodowców i agronomów — armii pokoju walczącej o to, aby zwycięsko, bez rozlewu krwi, nieść ludziom obfitość i radość.

Kołchoz, który był niegdyś nieznaczącym miasteczkiem, stał się obecnie słynnym miastem, Miczurińskiem.

W czterech rogach pomnika z czarnego marmuru z napisem „Iwan Władimirowicz Miczurin“, wzrosły, jak warta honorowa postawiona na długie lata, cztery jabłonie: „Bel-lefleur-Kitajka“, „Pestka - Kitajka“.

„Kandil - Kitajka“ i „Kitajka-Safran“, ukochane dzieci mistrza, który potrafił przeobrazić dziczki w jabłonie pierwszej klasy, o światowej sławie.

Drzewa te są żywym świadectwem polotu myśli ludzkiej, polotu ożywającego długą drobiazgową, ale wielokrotną natchnieniem pracę.

Ale na chwałę wielkiego uczonego powstało świadectwo jeszcze bardziej żywe i wymowne, świadectwo które z roku na rok rośnie i rozwija się: są to młode drzewka owocowe, które niekończącą się wstęgą zaznaczają granice osłony leśnej, sadzonej przez lud radziecki dla ochrony kultur uprawnych.

Miczurin przewidział od dawna, że sprawa leśnych pasów ochronnych stanie się aktualna dla socjalistycznego rolnictwa i z góry przygotowywał swoje zielone szkółki.

Czemu nie tworzyć owych pasów ochronnych z krzewów i drzew owocowych? Czy nie można by np. sadzić wiśni, aby chronić pola uprawne od suszy, a ponadto mieć smaczne owoce?

Swoją twórczą pracą Miczurin sam dał odpowiedź na to pytanie. Z dzikiego krzewu, sprowadzonego ze wschodnich Chin, uczynił drzewo wiśniowe o smacznych i słodkich wiśniach, drzewo które znakomicie znosi mrozy, nie wymaga żadnej szczególnej opieki i może się przystosować do każdego rodzaju gleby. Hodowla tej wiśni nie wymaga ani szczepień, ani sadzonek — rozmnaża się ona przez sadzenie pestek, przekazując potomności wszystkie swoje zalety.

Specjalnie zaś dla pasów ochronnych wzdłuż upraw Miczurin stworzył jeszcze inny gatunek wiśni, zwany „polówką“.

Pisał on na jej temat: „W ostatnich czasach w Związku Radzieckim zaczęto kłaść nacisk na sadzenie wzdłuż pól pasów ochronnych. Tworzonych z zasłon drzewnych. W tym właśnie celu otrzymałem drogą krzyżowań i selekcji, wiśnię zwaną „polówką“ oraz kilka ulepszonych gatunków drzew owocowych, z których wiśnia „Wojłoczna“ oraz jarzębina o czarnych jagodach mają szczególnie wielkie znaczenie“.

Oprócz wiśni Miczurin stworzył, specjalnie dla owych leśnych pasów ochronnych, nowe rodzaje śliw, porzeczkę o złocistym blasku oraz dziką wiśnię o smaku słodkiej róży.

Wszystko to było dziełem pokoju. Kiedy najeżdźca został ujarzmiony, kiedy naród radziecki powrócił do pokojowej pracy, wtedy słowa, opisujące stałnowski plan przeobrażenia przyrody, zabrzmiały jak odpowiedź na najtajniejsze marzenia Miczurina.

„W związku z pracą nad przewidzianym zadrzewieniem kraju posadzić wśród plantacji 10 do 15% krzewów i drzew owocowych“.

Wyhodowane przez Miczurina rodzaje drzew owocowych zajmują uprzywilejowane miejsce wśród gatunków przeznaczonych do sadzenia. Stosownie do tego planu, naród radziecki zasadzi 700 tys. ha drzew owocowych.

Tak zasadzona powierzchnia przekroczy swoimi rozmiarami wszystkie ogrody dawnej Rosji razem wzięte.

O ile więcej zbierze się ton owoców, ile tysięcy ton wiśni, jabłek, jagód, orzechów, gruszek, moreli, śliwek, porzeczek, malin! Jakże olbrzymie horyzonty otwierają się przed przyszłymi pracami uczonych!

Miczurin wprowadził i stworzył przeszło trzysta rodzajów roślin dających owoce lub jagody. Uczynił więcej jeszcze: stworzył metodę, stworzył naukę, dzięki której zaistniała możliwość kierowania rozwojem roślin w zależności od potrzeb człowieka. A jego uczniowie prowadzą nadal jego dzieło. Wyprodukowali 700 nowych rodzajów jabłek, gruszek, moreli, wisien, porzeczek, malin, melonów, kawonów itd.

W Miczurińsku pracuje z powodzeniem Instytut Badawczy. Przeszło tysiąc studentów zdobywa tam wiedzę; rokrocznie setki młodych specjalistów biorą udział w pracy sowchozów i kolchozów, gdzie przy współpracy z chłopami przyczyniają się do wielkiego przedsięwzięcia. Jakim jest przekształcenie i wzbogacenie przyrody przez człowieka.

W mroźny dzień zimowy poszedłem w Leningradzie z wizytą do Filipa Kurenicza Teterewa, do Narodowego Instytutu Agronomii. Byliśmy razem w wojsku w listopadzie 1941 r., w okresie walk o Tiszwin. Ale nie sprowadzało mnie do niego wspomnienie wojny. Przyszedłem do niego ponieważ jest uczniem Miczurina i ponieważ udało mu się urzeczywistnić coś, co przed Miczurinem wydawałoby się bajką nie do pomyślenia. Stosując metody swego mistrza skrzyżował dziką wiśnię z Usuri, która wytrzymuje 60 st. mrozu z tułówką (wiśnią) i otrzymał od-

mianę tej ostatniej. Odmiana ta ma grona jak dzika wiśnia, ale ich smak jest ten sam co smak owoców tułówki. A co najważniejsze, owa nowa tułówka może rosnąć wszędzie tam, gdzie rośnie dzika wiśnia.

Zdarzyło mi się, że przejeżdżając na wiesną przez Karelię widziałem obficie kwitnące działki wiśnie; wysokopienny las wydawał się być pokryty śniegiem. Znaczy to, że nawet w Karelii, nad brzegami Morza Białego można teraz znaleźć tułówki. Naprawdę, że trudno w to uwierzyć!

Przeglądałem się uważnie owemu szczupłemu człowiekowi, uczniowi Miczurina, owemu prostemu żołnierzowi, który brał udział w tyszwińskiej epopei. Nie, nic w nim doprawdy nie przypomina czarodzieja. Otworzył jakieś pudełeczko i powiedział:

„Proszę skosztować“.

Wyjmuję ostrożnie migdał z pudełka. Zdejmuję łupinę. Jem migdał.

„Proszę zjeść jeszcze“.

Jest to migdał o zwykłym, przyjemnym smaku, ale nie znajduję w nim nic szczególnego. Mówię to Teterewowi.

„Na krótko przed śmiercią — odpowiada mi Teterew — Iwan Władimirowicz Miczurin rzekł do mnie: — „Migdały źle rosną, nie ma żadnego powodu, aby miały zieloną i twardą skorupę naokoło pestki. Jakby to było dobrze, gdyby zamiast tej pokrywy migdał znajdował się w wiśni! Jeszcze mi się nie udało tego dokonać. Jest to tylko marzenie. Spróbujmy się tym zająć, Filipku! No i spróbowałem...“

Chce pan powiedzieć, że te migdały były pestkami wiśni?

Naturalnie, odpowiedział z uśmiechem. Nie wierzy pan w to? A to co mi pan powiedział, że nie ma w nich nic nadzwyczajnego, to właśnie największy komplement...

W okolicy Leningradu ani drzewa migdałowe ani wiśniowe nie mogą dojrzewać oddzielnie, ale stworzyliśmy drzewo, migdało-wiśnię, czy jak pan chce je nazwać, które się zaaklimatyzowało w tej okolicy.

W każdym razie, ponieważ owa migdało-wiśnia nie jest jeszcze rozpowszechniona po kołchozach, a masowa uprawa dzikiej wiśni — tułówki, o której dopiero co mówiliśmy, dopiero zaczyna się rozwijać nad jeziorami Karelii — przyjrzyjmy się więc czemuś bliższemu, czemuś za co Teterew otrzymał Nagrodę Stalinowską. Jest to nowa uprawa, która już dzisiaj obejmuje tysiące sztuk i jest już hodowana masowo. Teterew stworzył całą serię rodzajów tułówki, która może dojrzewać w klimacie leningradzkim i daje słodkie, smaczne grona. Niektóre z nich dojrzewają wcześniej, inne później. W ten sposób można mieć w Leningradzie tułówki od samego początku lata, aż do późnej jesieni.

Uczony radziecki przesunął o więcej niż o tysiąc kilometrów ku północy uprawy roślin, które normalnie mogą żyć i rozwijać się tylko w upałach południa!

Jeszcze za swego życia Miczurin stworzył odmianę róż pnących, które bardzo dobrze znoszą srogość zimy w północnej Rosji.

To ostatnie doświadczenie wpłynęło na twórczość syberyjskiego uczonego, prof. A. Kizydurina. Stworzył

on rodzaj jabłoni pnącej, która nie obawia się najostrzejszej zimy. Grube warstwy śniegu chronią ją skutecznie od zimna, ziemia rozgrzewa ją promieniowaniem swojego ciepła. Warunki życia pod śniegiem są podobne do warunków życia podczas zimy na Krymie czy na Kaukazie, a tylko okres trwania takiej zimy jest dłuższy.

Inny uczeń Miczurina, Łysenko, bardzo usilnie i z dużym powodzeniem pracował na Syberii i w górach Ałtajskich; obecnie w okolicach Krasnojarska na całej tajdze kwitną i rozwijają się najwspanialsze ogrody. A nawet w górach Ałtajskich, (gdzie przedtem przypuszczano, że ogrodnictwo jest w ogóle niemożliwe) ponad 1000 kołchozów posiada ogrody o powierzchni powiększającej się z roku na rok. W całym kraju cieszy się sławą twórca ogrodów, Teodor Gryńko, bohater pracy socjalistycznej, wybrany na delegata do Rady Najwyższej ZSRR oraz jego pomocnik — kołchoznik Andrzej Kusz.

Wspaniałe osiągnięcia miczurinowców w zakresie produkcji owoców są być może jeszcze bardziej uderzające w dziedzinie hodowli warzyw — roślin jednorocznych, na których plony nie potrzeba długo czekać.

Jarowizacja — oto nazwa, która akademik Łysenko dał swej pierwszej metodzie doświadczalnej. Metoda ta opiera się na stworzonej przez Łysenkę teorii, o stopniowych stadiach rozwoju rośliny. Metoda ta polega na odpowiednim przygotowaniu ziarna przed zasianiem, co skracca okres wegetacji, przyspiesza dojrzewanie rośliny, chroni od skutków

niepogody i znacznie wpływa na wzrost plonu. Zbiory zboża jarowizowanego wzrastają o 5% do 20%, a nawet i więcej.

Jarowizacja jest dzisiaj praktykowana na milionach hektarów ziemi i z roku na rok daje wzrost plonów, oceniany na miliony ton ziarna.

Dzięki nauce miczurinowskiej wielkie ilości roślin, niezbędnych dla życia człowieka, przemieściły się z południa na północ.

Przed rewolucją, na przykład, w okolicach Moskwy nie można było uprawiać najcenniejszych roślin, a mianowicie pszenicy. Obawiano się, że nie zdąży ona dojrzeć i że nie da dobrego plonu.

W jednym z pokojów rezydencji Gorkiego w okolicach Moskwy, tam gdzie Lenin spędził swoje ostatnie dni, przechowuje się starannie pod szklannym kloszem maleńki snopek pszenicy. Jest to snopek pierwszej zasianej w okolicy pszenicy, który chłopci przynieśli Leninowi. Możemy sobie wyobrazić jak musiał być szczęśliwy, jak musiał się uśmiechać patrząc na ten wzruszający podarunek, na to zboże, wzrosłe na moskiewskiej ziemi, którą uważano za jałową! Obecnie pszenica w tych stronach jest czymś zupełnie zwykłym, jest pospolitą uprawą, która daje obfite plony. W kołchozie „Bolszewik” w okolicy Mityszceńska koło Moskwy, zebrano w tym roku około 43 kwintale oziminy z jednego ha, a w kołchozie „Mołotow” w okręgu Kasziry zbiory z hektara osiągały 228 pudów!... Inne kołchozy w okolicach Moskwy walczą o uzyskanie podobnych zbiorów!

Bywały czasy, że na Syberii nie można było uprawiać ozimin; stale bowiem wymarzały. I oto dzięki wysiłkom miczurinowców owo wiekowe zagadnienie, które wydawało się nie do rozwiązania, już nie istnieje. Akademik Lysenko wypracował metodę zasiewu przy użyciu słomy, która chroni zboże od przymrozków. Nie ma dzisiaj takiego rodzaju ozimego zboża, które by nie wytrzymało syberyjskiej zimy.

Uczeni utrzymywali dawniej, że drzewa kauczukowe mogą rosnąć tylko w wilgotnej ziemi. Rosja carska nie posiadała kuczuku. Tymczasem odkryto w Kazachstanie dziki mlecz (mniszek) z rodziny koksagiz, którego korzenie zawierają kuczuk. W ciągu kilku lat dzika ta roślina została uszlachetniona, a obecnie wchodzi w skład upraw kołchozowych. Selekcja miczurinowska wpłynęła na wzrost ilości kuczuku, zawartego w korzeniach, a uczeni radzieccy przy ścisłym współudziale kołchoźników, wypracowali nową metodę agrotechniczną (zasiewy „gniazdami”). Owa metoda agrotechniczna, umiejętnie stosowana przez przodujące kołchozy, pozwala zbierać na plantacjach koksagizu Ukrainy, Białorusi i Rosji Środkowej tyle kuczuku, co na sześćdziesięcioletnich plantacjach drzew kuczukowych w krajach podzwrotnikowych.

W tym roku zebrano w Związku Radzieckim więcej bawełny, aniżeli w krajach tradycyjnie produkujących bawełnę, tj. w Egipcie, Iranie, Indiach razem wziętych. Selekcjonistom radzieckim udało się stworzyć odmiany bawełny, które nie wymagają nawadniania. Górna granica u-

praw bawełny została w dodatku przesunięta o blisko 1000 km na północ: bawełnę uprawia się dzisiaj nie tylko w Azji Centralnej, ale nawet na północnym Kaukazie i na Południowej Ukrainie. Po zasłaniu pewnego rodzaju bawełny, wprowadzonego przez akademika L. Varuncjana, zespół kierowany przez azerbejdżańską kołchoźniczkę Basti Bagirową zebrał 100 kwintali z ha. W zeszłym roku owe kołchozy zebrały aż 110 kwintali, a zespół kołchoźniczek Szaman Gassanowej, również Azerbejdżanki, zebrał aż 97 kwintali bawełny z ha! Obecnie nasiona najlepszych odmian radzieckiej bawełny sadzi się na polach Rumunii, Węgier i Bułgarii.

Granice plantacji bawełnianych przenoszą się nie tylko na północ, ale także na południe.

Z jednej strony pewna grupa uczonych pod kierownictwem akademika Eichfelda stworzyła w Kłbiniu, na półwyspie Kola, odmianę szybko dojrzewającego ziemniaka, który nadaje się do sadzenia na północ od koła podbiegunowego. (W okolicach leżących bardziej na południu ziemniak ten może dać dwa zbiory na rok). Z drugiej zaś strony wynaleziono metody, które pozwalają na uprawę ziemniaka w okolicach położonych na południu. A przecież nie tak jeszcze dawno uważano, że ziemniak nie może rozmnażać się na południu, że ulega degeneracji. W krajach południowych, ziemniaki były droższe od pomarańcz i cytryn, a u nas, w Soczi lub w Odessie — od winogron. Uczeni i specjaliści wynajdywali tysiące przyczyn, aby wytłumaczyć dlaczego ziemniak degeneru-

je się na południu; był jakoby zagrożony wirusem chorobowym, klimat miał być nieodpowiedni, to znów chodziło o geny itp. Łysenko, analizując starannie wszystkie dane i opierając się na swej własnej teorii o poszczególnych stopniowych fazach rozwoju roślin, doszedł do wniosku, że ziemniak degeneruje się na południu, ponieważ okres kielkowania ziemniaków zbiega się z okresem największych upałów. Łysenko zatem zaproponował zmianę daty sadzenia ziemniaka na znacznie późniejszą lub znacznie wcześniejszą. Metoda ta dała w praktyce doskonałe rezultaty. Obecnie w ciepłych okolicach kraju można otrzymać duże zbiory ziemniaków. Stało się więc możliwe przesunięcie na południe uprawy ziemniaka, który jest drugim chlebem.

Zboże przenosi się na północ, ziemniak schodzi na południe; w stepach, na wczorajszych półpustyniach rosną lasy, które mają odegrać wielką rolę w produkcji. Dąb rośnie szybciej, jeśli się go sadzi nowymi metodami: wiśnie — tułówki owocują nawet aż nad brzegami zatoki Fińskiej; zboże o kilku kłosach, owa odwieczna a tajemnicza zagadka, została obecnie rozwiązana. Dziś uprawy takiego zboża rozciągają się na przestrzeni dziesiątków i setek hektarów; niedaleki jest dzień, kiedy zboże krzaczaste stanie się normalną uprawą w kołchozach i sowchozach. Marzenia ludzkości spełniły się. Urzeczywistnia się w naszym kraju młodzieńczy, poetyczny sen Engelsa:

„Cała ziemia stanie się kwitnącym ogrodem... Północ zostanie przyrodzia-

na w pałmy pokoju, róża rozkrzewi się na zamarzniętych terenach...”.

Posłuchajcie W. W. Spirina, owego starca o białych włosach, ogrodnika spod Archangielska, który opowiadał o swojej działalności podczas jednej z konferencji, poświęconych Miczurinowi, demonstrując jednocześnie owoce drzew, które stworzył:

„Usiłowałem zmusić daleką północ do tego, aby wydawała owoce. Oto na przykład macie te jabłka, które są dobrze znane poza kręgiem polar-

nym. Znają tam i porzeczki. Udało mi się wyprodukować metodą Miczurina 30 rodzajów porzeczek. Nauczyłem wiśnię z Pensylwanii znosić surowy klimat północy, a także opiecę balsamiczną i tarninę... Uwieńczyłem zaś swoje dzieło wynajdując „Różę Północy“, która może tam rosnąć nawet bez żadnej ochrony. Nazwiemy tę różę „różą Miczurina“... Albowiem wskazówki mistrza, jego rady, systematyczna jego pomoc podtrzymywały mnie w moich pracach i badaniach“.



Cztery rocznice

HUGO
DA VINCI
AVICENNA
GOGOL

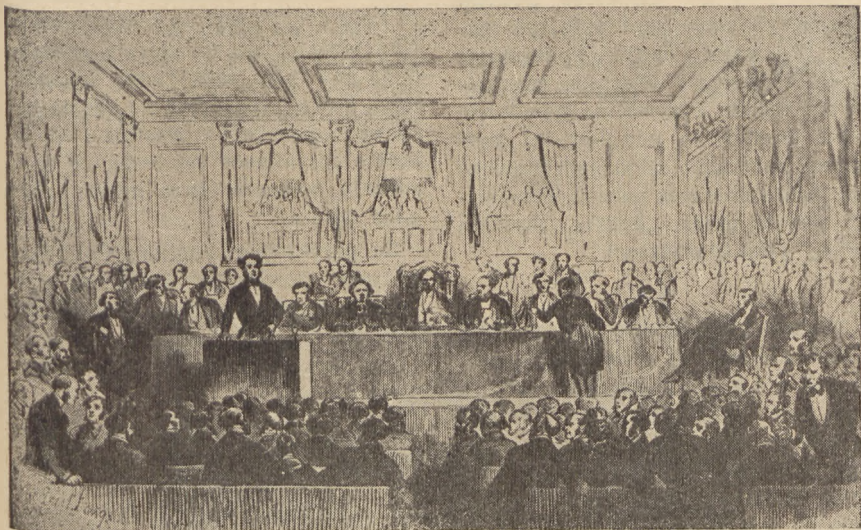


W ROKU 1952 cały świat obchodzić będzie cztery rocznice, z których każda ma zasięg i znaczenie ogólnoludzkie.

Są to: 150-letnia rocznica urodzin Wiktora Hugo, 500-letnia rocznica urodzin Leonardo da Vinci, 1000-letnia rocznica urodzin Avicenny i 100-letnia rocznica śmierci Gogola.

Uznaliśmy więc za słuszne złożyć tym wielkim twórcom hołd w naszym numerze noworocznym, który poświęcamy Cudom Twórczości Ludzkiej.

WIKTOR HUGO PRZEWODNICZY NA PIERWSZYM MIĘDZYNARODOWYM SPOTKANIU NA RZECZ POKOJU



WIKTOR HUGO stał się aposto-
łem powszechnego pokoju.
Fakt ten dobrze znany jest tym
wszystkim, którzy czytali jego dzie-
ła. Lecz czyż jest wielu takich, któ-
rzy wiedzą, że Hugo był przewodni-
czącym pierwszego na świecie zgro-
madzenia międzynarodowego w spra-
wie pokoju, zgromadzenia „Przyja-
ciół Pokoju“, które odbyło się w
r. 1849 w Paryżu? — Nie można
oczywiście porównywać ówczesnego
„zgromadzenia międzynarodowego“,
zorganizowanego przez małą grupę
szlachetnych ludzi z obecnym wiel-
kim ruchem w obronie pokoju, któ-

ry opiera się na woli narodów, a w
swoich poczynaniach ma za sobą
ponad pół miliarda głosów.

Ugrupowanie powyższe było oczy-
wiście bardzo krótkotrwałe. I nie
mogło być inne. Wszystko, co nie
ma oparcia w masach ludowych, bu-
dowane jest na piasku. Bywały i
później inne ruchy na rzecz pokoju,
które, przewyższając ten pierwszy
swoją doniosłością, nie dysponowa-
ły jak i on dostatecznie szeroką bazą
ludową, aby narzucić światu prawo
rozsądku (na przykład amsterdam-
ski ruch Pleyela). Niemniej jest
bardzo interesujące stwierdzić, że

pierwszy załączek międzynarodowego ruchu pokoju stworzony został pod egidą Wiktora Hugo.

A oto fakty.

Jest sierpień 1849 r. W eleganckiej dzielnicy Paryża, w hotelu Sainte-Cecile przy ul. Chaussee d'Antin naznaczyli sobie spotkanie członkowie „Podwalin Pokoju“. Podejmując apel Berangera: „Narody, twórcie swoje Święte Przymierze i podajcie sobie dłonie!“ — powzięli oni myśl zorganizowania międzynarodowego spotkania na rzecz pokoju, przyjętego zresztą przez „dobrze myślącą prasę“ jako błazeństwo.

W dniu 22 sierpnia, na godzinę przed otwarciem kongresu, tłoczno jest w sali i w ogrodach. O godz. 11 sala jest dosłownie nabitą tłumem, w którym mieszają się ludzie przybyli z Włoch, Belgii, Holandii, Niemiec, z Afryki oraz z krajów anglosaskich. Paryżanki popisują się swymi szerokimi krynolinami, a dekolty ich stanowią osobliwy kontrast w zestawieniu z surowym strojem przybyłych na zjazd kwaków.

Trzeba było wybrać przewodniczącego i sekretarzy. Natychmiast na wszystkich ustach znalazło się nazwisko Wiktora Hugo. Wszedł on wówczas na trybunę i wygłosił przemówienie inauguracyjne.

„Idea pokoju powszechnego jest wspólną własnością tych wszystkich narodów, które domagają się pokoju jako najwyższego dobra. Porozumienie powinno ostatecznie zastąpić wojnę. Czyż myśl ta jest aż tak utojpią? Czyż idea ta jest nie do zrealizowania? Ludzie, którzy uważają

się za „pozytywistów“, jak to się dziś mówi, wszyscy owi politycy, którzy starzej się pośród intryg, odpowiadzą: tak. Dobrze, lecz ja odpowiem bez wahania: nie! (żywe oklaski) i udowodnię to. Ja nie tylko twierdzę, że pokój można osiągnąć. Ja ponadto twierdzę, że jest on nieunikniony. Nadzieje dzień, w którym armaty będą już tylko zabytkiem muzealnym, który pokazywać się będzie jako narzędzie barbarzyństwa i kiedy ludzie zdumiewać się będą, że tego rodzaju barbarzyństwo mogło niegdyś istnieć...”

Za przykładem Anglika Cobdena, wszyscy uczestnicy kongresu powstali i klaskali gorąco. Powiewano kapeluszami i chustkami. Obejmowano się wśród powszechnego entuzjazmu.

Pośród licznych osób, które zgłosiły swój akces znajdowali się Tisot, Thierry oraz Mettermeyer, hrabi na de Sellon oraz arcybiskup Paryża. Ten ostatni nie mógł wziąć udziału w kongresie, lecz został wybrany prezesem honorowym.

Kongres przeszedł następnie do dyskusji nad pierwszą rezolucją, która brzmiała następująco: „Jedynie pokój może zapewnić poszanowanie moralnych i materialnych interesów narodów. Obowiązkiem wszystkich rządów jest poddanie pod arbitraż wszelkich sporów, jakie mogą powstać pomiędzy nimi oraz respektowanie decyzji arbitrów, skoro zostali oni przez nie same wybrani“.

Szamerowzow odczytał przemówienie Baldwina, który stwierdził z mocą, że „wojna nie jest przeznaczeniem. Zatargi mogą być rozwiązane przy pomocy siły, prawa i rozumu.

Siła stanowi rozwiązanie barbarzyńskie i jednostki porzuciły ją już jako sposób rozwiązywania swych konfliktów osobistych. Odtąd odwołują się do prawa. Podobnie narody ucie-

kać się powinny do arbitrażu międzynarodowego, który jest drogą prostą, łatwą i sprawiedliwą. Wojna powinna stopniowo stać się niemożliwą..."

*

Wszystko to działo się z górą sto lat temu. Były to jednak tylko szlachetne, ale puste słowa. Dziś ruch obrońców pokoju jednocy i koordy-

nuje wysiłki wszystkich narodów świata. Ruch ten może i powinien przechylić szalę na korzyść pokoju



Rys. André Gill

Wojna jest prostytutką,
Jest nałożnicą haniebną przypadku.
Atylla bez geniuszu, Tamerlan bez sprytu
— to kochankowie, których otacza względami.
Wszystkie nasze nadzieje do trupiarni zawłóczy,
morduje nasze wiosny i depcze pragnienia,
więc ile w niej nienawiści, tyle we mnie do niej!
Przyszłości nadchodząca z mroków, jesteś moją
nadzieją!

WIKTOR HUGO

(L'Année Terrible.)

LEONARDO DA VINCI:

„MALARSTWO JEST POEZJĄ,
KTÓRĄ SIĘ WIDZI...”

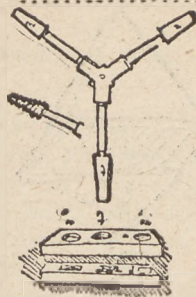
ORZEŁ rozpościera swe skrzydła,
których cień otula kotyskę; w
ramionach najpotężniejszego z mo-
narchów wydaje ostatnie tchnienie
pół-bóg. Między tymi dwiema legen-
dami snuje się olśniewający żywot
jednego z najbardziej niezwykłych
artystów, którego wydała jakakol-
wiek epoka.

Leonardo da Vinci, wynalazca
słynnych zegarów, poruszanych wo-
dą i sprężonym powietrzem, kazał
wyrzeźbić na ich postumencie:

„Nie brak nam ani środków, ani
drog do odmierzania naszych nie-
szczęsnych dni”.

Spróbujmy zatrzymać jedną z
tych dziwacznych maszyn, ruchem
palca cofnąć ją wstecz poprzez wieki.
Cofnijmy się dokładnie o pięć wie-
ków i stańmy pośród scenerii prawie
niezmienionej od tamtych czasów.

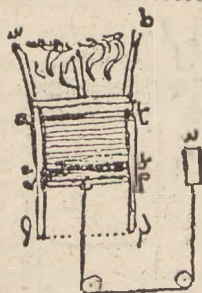
1452... Uczępiona u zboczy góry
Albano pod przecudnym niebem To-
skanii wioska Vinci otrzymała właś-
nie wspaniały dar. Uboga wieśniacz-
ka, którą przed rokiem uwiódł mło-
dy mieszczanin, powiła dziecię obda-
rzone od najwcześniejszych dni
wszelkimi łaskami. Młoda matka nie
mogła być przyjęta do koła rodzin-
nego notariusza, którego syn, Ser
Piero, był sprawcą wybryku, ucho-



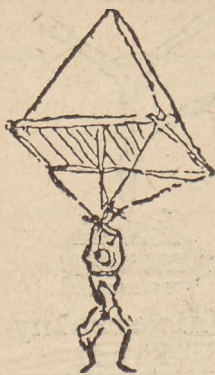
Uniwersalny
klucz



Narty
wodne



Szkic maszy-
ny parowej
(kocioł paro-
wy zaznaczo-
no przerywaną
linią



Spadochron



Barka z kołem napędowym.



Wiatrak. Sciany z kamienia. Dach obrotowy.

dzącego bezkarnie tylko bogatym. Katarzyna płakała, całowała jasną główkę swego aniołka, którego musiała opuścić: „*Lionardo... mój ma-
lutki Lionardo...*“ i znikła...

Brama domu w dzielnicy Santa Croce zamknęła się za cudownym dzieckiem, które zostało zapisane w rejestrach parafialnych: „*Syn Ser Piero, nieprawdy*“.

Dziecko rozwijało się. Wyrastał z niego prześliczny chłopczyk, trochę melancholijny, chroniący się chętnie w atmosferę tliwości, jaką roztaczał wokół niego Francesco da Vinci, stary wuj, trochę oryginał, leniwy i czarujący.

Leonardo, noszący w sobie iskry geniuszu, często wyrusza na samotne odkrywanie świata. Uczepiony skał, mruży oczy przed oslepiającym blaskiem zalewającym kraj obraz, gdzie cienie rysują się ostro pośród dziennej jasności; o świcie siada w mieniącej się rosą trawie przepojony słodyczą rodzącego się dnia. Przewycięzając dziecinny lęk, błąka się po grotach. Wspominając po wielu latach owe wycieczki i niezwykłe odkrycia, zanotuje z typową latyńską emfazą: „*Iluż królów, ileż
ludów, ileż najrozmaitszych form
państw i ustrojów nastąpiło od chwili,
gdy czarodziejski kształt tej ryby
schronił się w tym ciemnym zac-
szu*“.

W grotach tych da Vinci napotyka nie tylko same skamienieliny. Często zdarza mu się cofać w popłochu przed niepokojącymi szelestami i dotknięciami. Przypomni sobie jeszcze o nich w chwili, gdy po raz pierwszy zdał sobie jasno sprawę ze swego powołania.

„OSIAGNAŁEM MÓJ CEL“

Pewnego razu Ser Piero otrzymał od wieśniaka drewniany krąg z pnia starego drzewa figowego.

— Proszę dać jakiemuś artyście we Florencji, aby go ozdobił..

Notariusz obiecał i zapomniał później o przyrzeczeniu. Po długim czasie Leonardo znalazł drewniany krąg, nadał mu formę tarczy i postanowił pomalować ją. Umysł jego, już wówczas zdumiewająco ścisły, skłania go do posłużenia się jak największą ilością modeli. Z okolicznych pól i jam znosi masę zwierząt: węże, jaszczurki, nietoperze, motyle, szarańczę, koniki polne. Zamknięty ze swymi więźniami w ciągu długich godzin obserwuje ich w izbie, która jest prawdziwą Arką Noego. Z pędzlem w dłoni przystępuje wreszcie do pracy i stwarza niesamowitą fantasmagorię. Po skończeniu dzieła przywołuje ojca. Ten cofa się wstrząśnięty. Młodzieniec śmiejąc się, woła wtedy:

— Osiągnąłem mój cel!

Notariusz przejęty tym prawdziwym powołaniem, oddaje swego chłopca do słynnej pracowni Andrea del Verocchio.

Tak więc rozpoczyna się we Florencji olśniewająca kariera Leonarda da Vinci, uczącego się pod okiem mistrza, który ocenia natychmiast genialny talent przybyśsa.

Nauka ta trwa do r. 1472. Wielu biografów podaje, że mistrz Verocchio powierając młodzieńcowi namalowanie anioła na obrazie, nad którym pracował, był tak wstrząśnięty doskonałością i pięknem twarzy, że postanowił porzucić swą sztukę.

LUZKOŚĆ BĘDZIE MUSIAŁA UCZYĆ SIĘ NA NOWO TEGO CO ON JUŻ UMIAŁ..

Leonardo ściągnął na siebie uwagę możnych. Przez szesnaście lat znosił kaprysy hipokryty Ludwika Moro, który w końcu „zapomniał“ mu zapłacić. Trzymał się nawet nikczemnego Cezara Borgii, brał udział w zamieszkach, rewoltach i wojnach, które co jakiś czas rozdzierały jego kraj.

W tym czasie rozwijała się jego sztuka, a technika osiągała doskonałość. Arcydzieła powstają jedno po drugim, większość z nich, niestety, zaginęła i dzisiaj pozostają jedynie „szkice“ rozsiane po muzeach i zbiorach prywatnych na całym świecie. Jego rywalem jest Michał Anioł, zaś jego uczniem — Rafael. Leonardo pozwala na triumf pierwszego w sławnym konkursie na „Bitwę pod Anghiari“, ponieważ chciał zastosować nową technikę malowania fresków; został obrabowany przez drugiego, który bierze na swój rachunek i przywłaszcza sobie bez żenady wszystkie tajemnice, które zapewniają mu sławę.

W naszej epoce, tak pełnej pośpiechu, płycizny i łatwestek, trudno jest sobie wyobrazić fantastyczną ciekawość artystów Renesansu. „Przepisy” Leonarda da Vinci stanowią rezultat zapalczywych studiów. Każdy jego obraz zawiera w sobie sumę wiadomości, które Leonardo zdobywał z niewiarygodnym uporem: geometria, arytmetyka, nauki przyrodnicze, anatomia, mechanika, astronomia, fizyka itd... Jeden z jego biografów mógł z całą słuszością napisać, że po śmierci tego geniusza „*ludzkość będzie musiała uczyć się na nowo tego, co on już umiał...*” Wszyscy znają co prawda Giocondę, Ostatnią Wieczerzę, Hołd Trzech Króli, Proroka Jeremiasza, Madonę na Skalach... ale kto wie o tym, że Leonardo da Vinci był zdumiewającym prekursorem, niemal jasnowidzem, we wszystkich niemal dziedzinach?

W pozostawionych przez niego notatkach, w jego Traktatach, przepojonych zdobytą wiedzą, napotykamy zdumiewające labirynty myśli. Współcześni mu świadkowie zachwycali się jego pięknnością i siłą (dla zabawy łamał w rękę podkowy). Pisma jego zdradzają zdumiewającą przenikliwość.

Jako urbanista kreśli plany promieniście zbudowanego miasta, które dzisiejsi architekci mogliby z korzyścią studiować; jako mechanik, buduje skomplikowane maszyny, używane w czasie obchodu uroczystości na dworze; jako inżynier wynajduje nową broń; jako przemysłowiec udoskonala warsztaty tkackie, myśli o maszynie do szycia, używa koła zębatego i odkrywa „dyferencjał”; jako muzyk tworzy nowe instrumenty, (zawdzięczamy mu z całą pewnością skrzypce).

Zrealizował on lub przewidywał w swoich studiach, opatrzonych zawsze drobiazgowymi rysunkami, skafander, łódź podwodną, samochód, szybowiec i inne maszyny o mniejszym znaczeniu, ale które świadczą o tym, że jego umysł nieustannie pracował. Pragnie on „*pozwolić ludziom żyć w nowej atmosferze*”, stworzyć dla „*swych braci obfitość powietrza i światła*” i zniszczyć na zawsze „*wspomnienie obecnego życia, pełnego nieznoszących hałasów i cuchnących wyziewów*”, które stale rażą jego wrażliwość. W latach 1484—1486 dżuma szerzy straszliwą trwogę. Chwila jest odpowiednia do rozpoczęcia kampanii na rzecz higieny. Zaleca on „*przewody podziemne i sieć kanałów z ujściem do rzeki*”: jest to już dzisiejsza kanalizacja; na ulicach znajdują się już trotuary z rynsztokami. Opracowuje nawet, z opisem i szkicem, „*system jaki należy zastosować w ustępach*”; system ten do dziś dnia jest jeszcze stosowany w wielu budynkach. Zaciągnięty któregoś wieczoru do domu o nienajlepszej opinii, do „*złego gniazda*” (*malnido*), wychodzi stamtąd z gotowym projektem w głowie, który natychmiast przenosi do swoich zeszytów. Rysuje dom zamknięty, dyskretny, doskonale zorganizowany, rodzaj genialnie pomyślanego labiryntu, gdzie paleni namiętnością patrycjusze miejscy nie są narażeni na ryzyko wzajemnego spotkania się.

Trzeba by tysięcy i tysięcy stron, aby przedstawić rozliczne zajęcia wieczorne czujnego artysty. Wystarczy przeczytać pozostawione przezeń dokumenty, pisane od strony prawej do lewej, aby ocenić rozmiar jego badań.

MALARZ MADONN i OBRAZOBURCA...

Jako socjolog i filozof, do gruntu uczciwy, reagował na skandale swego wieku. I może nawet najgwałtowniejszy pamflet przeciw zepsuciu Kościoła wyszedł spod jego pióra. Pisze on: „*O strachu przed ubóstwem*“ i „*O sprzedaży raju*“, mówi o mnichach, którzy rabują skarbiec klasztoru „*aby zaspokoić wymagania swoich kochanek*“, o księżach, o spowiednikach, którzy deprawują młode dziewczęta; o gminie w Belusco, „*gdzie przeorysza urodziła czworo dzieci, nim arcybiskup spostrzegł się, że przez 40 lat prowadziła ona klasztor jak dom publiczny*“!

Zwalcza on przepych pogrzebów, zbytłowne orgie Kościoła w tym samym czasie, gdy lud żyje w nędzy. Krytykuje kult niepoważnie wzrastającej liczby świętych, zwyczaj spowiadania się i nawet same dogmaty. Poszukiwany malarz Madonn i scen religijnych, uważa się w myśli za najprawdziwszego obrazoburcę. W czasie, gdy Inkwizycja zaczynała torturować „*niedowiarłów*“, trzeba było prawdziwej odwagi, aby zachować taką postawę. Współcześni jednak stwierdzają, że nie ośmielono się atakować człowieka, którego sława postawiła na niedosiężalnej wyżynie.

PRZYJACIEL KRÓLA...

Uważa on jednak za wskazane przyjąć pod koniec swego życia zaszczytne zaproszenie Franciszka I i osiada we Francji w małym zamczku w Cloux, koło Amboise. Na wspólnych spacerach wzbudza zachwyt władcy, któremu przedkłada swoje plany. Pragnie budować kanały, osuszyć tereny Sologne i wyposażyć zamek królewski w najwyższy komfort. Ostatnim z tych pomysłów przed śmiercią był pomysł budowania domów składanych(!), „*których elementy zasadnicze byłyby fabrykowane w wielkich miastach i które ustawiłoby się przy pomocy łączników drewnianych*“. Tak powstał przed wiekami pomysł domów prefabrykowanych...

Na kilka miesięcy przed śmiercią, ten nadzwyczajny człowiek, przeglądając swoją własną encyklopedię, jeszcze zanotował: „*Będę nadal prowadził moje dzieło...*“ Ale siły już mu odmówiły posłuszeństwa. 2 maja 1519 roku, w wieku 67 lat, zamknął oczy na wieki, unosząc w nicość swoją iście cudowną umysłowość.

Arsène Houssaye odszukał jego szczątki po wielu zniechęcających próbach. Dziś można przeczytać w kaplicy Saint Blaise epitafium, ostatnie słowo o legendarnym życiu:

Pod kamieniem tym
spoczywają kości
zebrane w czasie poszukiwań
w starożytnej
kaplicy królewskiej w Amboise,
pomiędzy którymi przypuszczalnie
znajdują się doczesne szczątki
Leonarda da Vinci.

LAMBLIN

AVICENNA



Avicenna nauczający farmacji: Miniatura francuska z XIII wieku. Jak widać artysta przedstawił postać tadżyckiego uczonego jako profesora francuskiego z okresu Ludwika Świętego. Należy zwrócić uwagę na ucznia, który z moździerzem w ręku wykonuje ćwiczenia praktyczne pod kierownictwem Mistrza. (Zdjęcie Bibl. Narod.)

ABU Ali Al-Husain Ben Abdallah Ibn Sina, którego łaciński Zachód ochrzcił bardziej prosto mianem Avicenny, jest jednym z tych wielkich ludzi, którego dzieło przynosi zaszczyt nie tylko jednemu narodowi lub wyznawcom jednej religii, lecz całej ludzkości. Słuszne jest więc, że wszyscy ludzie miłujący postęp i pokój, niezależnie od różnic religijnych, przyłączają się z całego serca do tych, którzy są wierni tradycjom muzułmańskim, aby wspólnie uczcić tysiączną rocznicę urodzin tego znakomitego uczonego i myśliciela, który tak wiele uczynił dla dobra swych bliźnich i którego prace stały się poważnym wkładem w dzieło cywilizacji ogólnoludzkiej.

Przed przystąpieniem do sedna sprawy trzeba przede wszystkim odpowiedzieć na pewne zastrzeżenia. Dlaczego — pytają niektórzy — należy w roku 1951 obchodzić tysiąclecie urodzin człowieka, który — o ile można wierzyć encyklopediom — urodził się w roku 1051?

Nie należy jednak zapominać, że Avicenna był muzułmaninem i że pamięć jego jest czczona przede wszystkim przez narody Islamu. Te zaś obliczają czas w sposób całkowicie odmienny od narodów, mających tradycje chrześcijańskie. Era islamu rozpoczyna się bowiem później od ery chrześcijańskiej (początek ery islamu oblicza się od Hedżra tzn. od ucieczki Mahometa z Medyny w 622 roku n. e.). Ponadto rok według kalendarza muzułmańskiego jest znacznie krótszy niż rok obliczany według kalendarza chrześcijańskiego, gdyż ustalony jest na podstawie cyklu słonecznego. Po upływie 10 stuleci rozpiętość staje się duża: około 30 lat. Kończący się rok 1951 zbiega się zatem mniej więcej z rokiem 1370 Hedżra. Avicenna urodził się zaś w roku Hedżra — 370.

Nasuwa się inne jeszcze pytanie: mianowicie odnośnie narodowości tego wielkiego człowieka. Jak to często bywa, wiele krajów przyznaje się do niego. Twierdzono więc niejednokrotnie, że Avicenna był Turkiem. Inni mówili, iż był Arabem. Łatwo jest jednak ustalić prawdę, gdyż biografia jego jest znana. Została ona bowiem napisana, wkrótce po śmierci Mistrza, przez jego ulubionego ucznia. Ten zaś podaje nam, że Avicenna był rodem z miasteczka Afshana, położonego niedaleko miasta Bucharą, znajdującego się obecnie na terytorium Uzbekiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, na pograniczu Tadżyckiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Jest bezspornym faktem, że nasz uczony należał do narodu tadżyckiego.

Rzeczywiście, w odróżnieniu od Uzbeków, którzy mówią językiem zbliżonym do tureckiego, Tadżycy mówią po persku. W tej właśnie republice, chociaż dość odległej od Iranu, zachował się do naszych dni najczystszy język perski. Wiemy zaś z bezwzględną pewnością, że macierzystym językiem Avicenny był język perski. Wprawdzie większą część dzieł napisał on po arabsku, lecz czynił tak dlatego, że język arabski był wówczas tym, czym na Zachodzie w średniowieczu była łacina, mianowicie językiem używanym przez wszystkich wykształconych muzułmanów.

Poza tym 1000 lat temu geografia polityczna tych ziem była bardzo odmienna od dzisiejszej. W owej epoce istniało ogromne królestwo, znacznie większe od dzisiejszego Iranu, rozciągające się daleko poza rzekę Amu-Daria (Oxus).

I właśnie w prowincji Transoxiana, na wschodnim brzegu Amu-Darii, w mieście Bucharą została założona stolica królestwa, podległego dynastii Samamidów, wykształconych królów - protektorów sztuki. W tym IV wieku Hedżra, wieku najświetniejszego w dziejach cywilizacji muzułmańskiej, Bucharą była jednym z głównych ośrodków promieniowania kultury.

Ojciec Abu Aliego był podrzędnym, lecz wykształconym urzędnikiem, wyznawcą sekty religijnej Ismaelitów. Lubił on bardzo dyskusje na tematy teologiczne. Wkrótce po narodzinach syna zamieszkał w mieście Bucharą, gdzie powierzył swoje dziecko najwybitniejszym pedagogom.

Tak samo jak Blaise Pascal, z którym łączy Avicennę niejedyn rys podobieństwa, młody uczeń, dzięki swej ponad wiek rozwiniętej inteligencji, stał się przedmiotem podziwu ze strony profesorów oraz przedmiotem dumy rodziców. W samej rzeczy stwierdzono, że po nauczaniu się sześciu figur geometrycznych wydedukował on samodzielnie całą pozostałą geometrię. Jednocześnie przystąpił do studiów teologicznych i filozoficznych, nauk przyrodniczych oraz medycyny. W wieku 16 — 17 lat posiadał on zaiste encyklopedyczną wiedzę, a chociaż nie znał greckiego, przyswoił sobie, korzystając z przekładów, wielkie dzieło Arystotelesa, który w owej epoce był — i długo jeszcze powinien pozostawać — głównym fundamentem każdego gruntownego wykształcenia.

Chociaż był zaledwie młodzieniaszkiem, rozległość jego wiedzy medycznej była już niezwykła, potrafił bowiem wyleczyć ciężko chorego sultana Bucharą, Nuh Ibn Mansura. Ten zaś, aby wykazać swą wdzięczność dla młodego doktora, pozwolił mu korzystać z bogatej biblioteki Samanidów — przywilej przyznawany tylko wybitnym uczonym. Opanowany pasją studiów Abu Ali wszechstronnie wykorzystał królewskie zezwolenie. Zresztą uczynił bardzo dobrze, gdyż nieco później wszystkie najbardziej cenne manuskrypty padły ofiarą pożaru. Wrogowie młodego uczonego zazdroszcząc mu wielkiej inteligencji oraz otrzymywanych łask, wysunęli przeciwko niemu nikczemne oskarżenie, jakoby on sam spowodował ten pożar. Lecz usiłowania ich, zmierzające do oczernienia Abu Ali, spełzły na niczym i z chwilą śmierci ojca, Avicenna, liczący wówczas 21 lat, został wyznaczony na jego stanowisko. Pełnił on tę funkcję aż do chwili, kiedy zaburzenia, które wstrząsnęły prowincją Transoxiana, zmusiły go do szukania schroniska w prowincji Chorezm. Skorzystał on ze szczerej gościnności jednego z wezyrów, miłośnika literatury, który go zachęcił do kontynuowania studiów. Przebywając tam wiele lat i obcując z wieloma wybitnymi uczonymi Abu Ali napisał poważne prace, m. in. encyklopedię filozoficzną p. t. *Kitab al Sifa*.

W wieku 32 lat opuścił on Chorezm i po różnorodnych niepowodzeniach osiedlił się w Gordan na wybrzeżu morza Kaspijskiego. Tam, jak się wydaje, uczonego nasz wziął udział w życiu publicznym. Na szczęście znalazł jednak dość czasu na kontynuowanie studiów i ukończył swoją wielką rozprawę o medycynie — *Kanun*.

Nieco później odnajdujemy go w Hamadanie, gdzie, po wyleczeniu księ-

cia z ciężkiej choroby, znowu zdobył sobie jego uznanie. Książę sądząc, że uczyni dobrze, mianował uczzonego wielkim wezyrem. Niestety Abu Ali stworzony był dla badań naukowych, a nie dla pałacowych intryg, będących wówczas treścią życia politycznego. Wkrótce wskutek swej szczerości i uczciwości ściągnął na siebie nienawiść dużej części dworzan, a przede wszystkim najeźmionych żołdaków armii królewskiej, wobec których wcale nie ukrywał żywionej dla nich głębokiej pogardy. Ci postanowili zemścić się. Pewnego dnia żołdactwo napadło i obrabowało dom zbyt wykształconego ministra, zmuszonego w obawie przed śmiercią do ucieczki przez tajne wyjście. W kilka zaś miesięcy później syn księcia, któremu Avicenna uratował życie, osadził go w więzieniu. Lecz uczony wykorzystał ten przymusowy odpoczynek dla napisania kilku prac.

Z celi więziennej zwolniony został przez księcia Ala-Ul-Dowleh Abu Jafar, który zdobył Hamadan, i doceniając zasługi sławnego więźnia, mianował go natychmiast swoim nadwornym lekarzem oraz doradcą w sprawach literatury i nauki. Wobec tego Avicenna pojechał z księciem do Isfahanu, gdzie przebył kilka najbardziej spokojnych, najbardziej twórczych w swej naukowej karierze lat, pisząc wiele prac. Każdego tygodnia książę zwoływał uczonych na konferencje, na których pod kierownictwem Avicenny dyskutowano o najbardziej różnorodnych problemach. Ibn Sina zbudował wówczas dla księcia obserwatorium.

Mając 51 lat uczony ciężko zachorował. Wprawdzie próbował wyleczyć się lekami sporządzonymi przez siebie samego. Lecz ten wybitny lekarz, który tyłu pacjentom uratował życie, nie zdołał przywrócić zdrowia sobie samemu. Potrafił jedynie odwlec zgon, który ostatecznie nastąpił w Hamadan w roku Hedżra 428 (czerwiec 1037 naszej ery). Przeżył on zaledwie 58 lat. Dziś jeszcze w perskim mieście Hamadan pokazują jego grób.

Dzieło, które pozostawił po sobie, jest gigantyczne. Nie można zatem w ramach krótkiego artykułu dać jego pełnego obrazu. W szczególności zmuszeni jesteśmy prawie całkowicie pominąć prace teologiczne i metafizyczne Avicenny, jakkolwiek mają one bardzo duże znaczenie. Jego mistyczny umysł wyraził się mistrzowsko w słynnym *Poemacie o Gołębiczy czyli o Duszy*. Gołębica jest symbolem Duszy, która zstąpiwszy z niebios do człowieka, szlocha z żalu po utraconej boskości.

„Z wysokości niebios wstąpiła w Ciebie gołębica nieśmiała i czysta;

„Nikt, nawet najbardziej przenikliwy, nie może jej dojrzeć, chociaż żadna zasłona jej nie ukrywa,

„Marząc o utraconej ojczyźnie wylewa ona wiele łez,

„Szlocha ona w Tobie tak, jakby opłakiwała ruiny i zgłiszcza zniszczonego obozowiska,

„Rozwiewanego przez cztery wiatry pustynne.

„Zapłatała się ona bowiem w wiązaniach sieci i, upadłszy,

„Nie może już wznieść się do bezkresnego i wzniosłego firmamentu

„Podobnego do odwiecznej wiosennej łąki...”

Religią wyznawaną przez Avicennę była religia mistyki. Jego wiara była dość silna i ugruntowana, aby obejść się bez podłoża apologetyki. Usiłował on więc nie tylko oczyścić religię z wszelkich przesądów, lecz występując przeciwko nim, chciał wyzwolić naukę z roli służki religii. Dlatego też znacznie mniej niż jego poprzednicy uciekał się do pomocy sił nadprzyrodzonych. I tak n. p. rozdział poświęcony opisowi ręki, zamiast być długim rejestrem łask i pomysłowości Stwórcy, jest bardzo dokładnym wyliczeniem kości, mięśni i nerwów. Jest oczywiście, że nauka może tylko odnieść korzyść z takiego nastawienia umysłów.

W dziedzinie anatomii Avicenna zrobił niejedyn krok naprzód. Według świadectwa współczesnych specjalistów, jego dziełem jest pierwszy wierny opis mięśni, utrzymujących oko. Trudno jest zatem wyobrazić sobie, że nie miał on nigdy do czynienia z praktyką sekcji ciała ludzkiego, zakazanej zresztą przez prawo Koranu. Znakomite odkrycia, których dokonał w dziedzinie patologii, nasuwają nam jednak przypuszczenia, że przynajmniej w tajemnicy musiał oddawać się im pilnie. Jego analiza przyczyn i skutków zapalenia opon mózgowych, jego wyjaśnienia co do przyczyn apopleksji, wrzodów żołądka, zapalenia płuc są naprawdę genialne, zważywszy wyjątkowo ograniczone środki badania będące w jego dyspozycji. Poświęcone chirurgii rozdziały pracy *Kanun* zawierają zdumiewające dla ówczesnej epoki myśli. Wniósł on nowe elementy również i do farmacji. On to właśnie po raz pierwszy wprowadził do medycyny zastosowanie par rtęci, ostrzegając przy tym przed zatruciami, jakie mogą one wywołać. Jego poglądy w dziedzinie higieny są dziś jeszcze powielokrotnie słuszne. Odgadł on zgubne skutki zanieczyszczonego powietrza i wody w przenoszeniu zarazków chorobowych, oraz zalecał filtrowanie lub gotowanie wody. Chorym radził nie zadowalać się tylko przyjmowaniem medykamentów, lecz stosować również odpowiednią dietę, brać wanny ciepłe i zimne oraz kąpiele słoneczne. Tak samo jak Hipokrates, propagował on kulturę fizyczną oraz uprawianie gier na wolnym powietrzu, podając jednak w tym względzie znacznie więcej szczegółów niż jego poprzednik.

Zrozumiałe jest, że wyznając tak rozsądne zasady oraz mając tak ściśle wiadomości, przywracał on do zdrowia ciężko chorych tak, że w ówczesnej epoce, mogło się to wydać nadprzyrodzone. Nic dziwnego, że legendy ludowe przedstawiają Ibn Sina jako potężnego czarnoksiężnika.

W pozostałych jego pracach naukowych znajdujemy wartości analogiczne do tych, jakie wykazał w pracach lekarskich. Jego pozytywny umysł, nie godzący się z aprioryzmem, uznający natomiast metodę doświadczalną, dał do odkrywania we wszystkich zjawiskach nowych przyczyn. I tak w rozprawie *O minerałach* wyjaśnia on, że góry wytworzyły się w wyniku trzęsień ziemi oraz ruchu wód. Wnioski te, dziś elementarne, wówczas były wprost rewelacyjne.

W dziedzinie chemii dokonał on naprawdę rewolucyjnego przewrotu, ostro atakując same podstawy alchemii. Ta nadzwyczaj ceniona w krajach

muzułmańskich dyscyplina była chaotyczną mieszaniną danych eksperymentalnych oraz magicznych formułek, podporządkowanych trzem głównym zasadom; po pierwsze: wszystkie metale są jednakowego pochodzenia, w zasadzie są do siebie podobne i mogą być nawzajem przekształcane jedne w drugie; następnie: różnią się one od siebie pod względem stopnia czystości, najczystszym zaś z nich jest szczere złoto; a wreszcie: istnieje jedna lub kilka substancji, za pomocą których można przekształcić metal nieczysty w czysty: jest to tzw. eliksir lub kamień filozoficzny, poszukiwaniami którego, długo jeszcze po owej epoce, zajmowało się wielu alchemików zarówno na Wschodzie jak i na Zachodzie. Avicenna zalecał wprawdzie i przeprowadzał sam doświadczenia chemiczne, robił analizy ciał złożonych, lecz odrzucał możliwość wzajemnego przekształcania się.

Widzimy go zwalczającego nawet magię, sztukę fakirów, wiarę w talizmany, a przede wszystkim astrologię, w owym czasie tak bardzo przecież w jego ojczyźnie czczoną, a nawet dziś jeszcze na nieszczęście nadto rozpowszechnioną.

Naukowe i filozoficzne sukcesy Avicenny szybko uzyskały w całym świecie muzułmańskim Azji Środkowej ogromną sławę, przenikając przez Maghreb aż do Hiszpanii. W tym właśnie kraju, tuż po zakończeniu epoki *Reconquista*, uczeni Zachodu zapoznali się z manuskryptami, zawierającymi te tak nowe i ożywcze myśli. W najznakomitszych szkołach Europy, np. w Salerno i Montpellier łacińskie tłumaczenie pracy „*Canon Avicenny*“ było — od końca XII wieku — podstawą wykształcenia medycznego. Aż do połowy XVII wieku nie utraciło ono nic ze swej wartości. Jeśli zaś chodzi o tłumaczenie pracy *Kitab al Sifa*, to również wzbogaciło ono poważnie myśl filozoficzną świata chrześcijańskiego.

Musimy kończyć ten zbyt już długi a jednocześnie zupełnie niewystarczający zarys. Nie nadużyliśmy jednak na próżno uwagi ani też cierpliwości naszych Czytelników, jeśli przedstawiając postać tego wielkiego człowieka oraz jego wielkie dzieło potrafiliśmy utrwalić przekonanie, że Cywilizacja Ludzka jest potężną budowlą, stworzoną w czasie pokoju, dziełem do którego każdy naród jak i każde pokolenie dołożyło własną cegiełkę.

GILBERT OUY

Bibliotekarz Gabinetu Manuskryptów Biblioteki Narodowej w Paryżu

MIKOŁAJ GOGOL



ZAGINIONE PISMO

HISTORIA PRAWDZIWA OPOWIEDZIANA PRZEZ
ZAKRYSTIANA ...SKIEJ CERKWI

Chciecie więc, abym opowiedział wam jeszcze o dziadku? Doprawdy, dla-
czegoż nie mam ucieszyć was opowieścią. Eh, dawne czasy, dawne czasy! Co
za radość Ignie do serca, dusza hula, gdy usłyszysz się o tym, co dawno, dawno
temu działo się na świecie, nie wiadomo nawet, którego dnia i miesiąca!
A jak do tego wplącze się jakiś krewny, dziad lub pradiad — wtedy prze-
padło: niech się zakrzusze przy czytaniu żywota świętej męczennicy Bar-
bary, jeżeli nie majaczy się wtedy, że oto sam wszystko to czynisz, niczym

sam wlaź w pradziadowską duszę, albo dusza pradziadowska w tobie swawoli... Nie, a najwięcej to nasze dziewczęta i młodocy; niech mnie tylko dojrzą:

— Tomasz Grigorjewiczu, Tomasz Grigorjewiczu, opowiedzcie no jakąś bajkę, straszną, no, no!

Gadu gadu, i tak w kółko... Opowiedzieć — oczywiście nie żal, ale zobaczcie no, co się dzieje z nimi w pościeli. Wiem przecież, że każda drży pod kołdrą, jakby febra ją trzęsła i rada by z głową wejść pod swój kożuch. Szczur chrobotnie garnkiem, sama jakoś nogą o pogrzebacz zawadzi i pożał się Boże! Dusza na ramieniu! A na drugi dzień, jakby nigdy nic, znów nudzi; opowiedz jej straszną bajkę i tyle.

Cóż mam wam opowiedzieć? Tak nagle nie przyjdzie nic do głowy... Bodaż opowiem wam jak więdźmy grały w durnia z nieboszczykiem dziadem. Tylko zawczasu proszę was państwo, nie przerywajcie mi, bo taki bigos wyjdzie, że i wstyd będzie do ust włożyć. Dziad nieboszczyk, musicie wiedzieć, był w swoim czasie nie zwyczajnym kozakiem. Umiał on wyżmienicie lityry stawiać. Bywało we święta tak apostołów wyczytuje, że niech się inny popowicz schowa. Ano, wiecie sami, że w owych czasach, jeżeliby zebrać z całego Baturina ludzi na pisanym się znających, to nawet czapki nie ma do czego nadstawiać — wszystkich by można w jednej garści zmieścić. Przeto i nic w tym dziwnego, że każdy napotkany mało mu się w pas nie kłaniał.

Pewnego razu zamyślił wielmożny hetman posłać po coś tam pismo do carycy. Pułkowy pisarz za tamtych czasów — niech go diabli — przewiska nie pamiętam... Wiskriak nie Wiskriak, Motozoczka nie Motozoczka, Hołopupec nie Hołopupec... wiem tylko, że jakoś osobliwie zaczyna się to przymysłne przewisko — zawołał dziada do siebie i powiedział mu, że oto sam hetman wyprawia go jako gońca z posłaniem do carycy. Dziad nie lubił długo się wybierać; list zaszył do czapki, wyprowadził konia, cmoknął żonę i dwóch swych, jak to on sam nazywał, prosiaków, z których jeden był rodzonym ojcem, nie przymierzając choćby i moim i podniósł za sobą taki kurz, niczym piętnastu chłopaków grających w klipę na środku ulicy.

Na drugi dzień, zanim kogut zapiał po raz czwarty, dziad był już w Konołtopie. O tej porze odbywał się tam jarmark: tyle narodu wyległo na ulicę, że aż w oczach się mąci. Ale ponieważ było wcześniej, tedy wszystko jeszcze drzemało, wyciągnąwszy się na ziemi. Obok krowy leżał hulaka-młodziak z nosem jak u gila zaczerwienionym; opodał chrapała przekupka, siedząc obok krzemieni, farbki, śrutu i obwarzanków; pod wozem leżał cygan, na wozie z rybą czumak*); na samej drodze, rozrzucając nogi — brodac-moskał wśród pasów i rękawic... Jednym słowem pełno wszelakiej hołoty, jak to się na jarmarkach zdarza. Dziad zatrzymał się, aby porządnie się rozejrzeć. Tymczasem w jatkach pomału wszczął się ruch; Żydówki zaczęły porządkować flaszki; pierścienie dymu zakłębiły się tu i ówdzie, i zapach

* Czumak — chłop ukraiński, zajmujący się przewożeniem towarów na wozach zaprzężonych w woły.

gorących przysmaków rozniósł się po całym taborze. Przyszło dziadowi do głowy, że nie ma on przy sobie ani ognia, ani tytoniu, poszedł więc natenczas obijać się po jarmarku.

Nie zdążył przejść dwudziestu kroków — naprzeciw niego bieży zaporoziec. Hulaka, widać z twarzy! Szarawary czerwone jak ogień, granatowy żupan, barwny jaskrawy pas, u boku szabla i lulka z miedzianym łańcuszkiem aż do samych pięt — zaporoziec i tyle! Hej co za naród! Stanie! wypręż się, ręką dotknie wąsów mołojeckich, brzęknie podkówkami i pomknie! Ale jak pomknie! Nogi płasają niby wrzeczono w babskich rękach; jak wicher szarpnie dłonią po wszystkich strunach bandury i natychmiast, wzięwszy się pod boki, mknie w przysiadach; pieśń rozlewną zacznie — dusza hula!... Nie, przeszły miłe czasy, nie zobaczy się więcej zaporozców.

Otóż spotkali się. Słowo do słowa — znajomość gotowa, czyż nie tak? Zaczęli bajać, bając, tak, że dziad już całkiem zapomniał o swej podróży. Popijanka nadarzyła się, jak na weselu przed wielkim postem. Tylko, widzi się, dokuczyło im wreszcie garnki bić i pieniądze między ludzi rzucać, no i do tego jarmark też nie będzie wiecznie trwał. Tedy zmówili się nowi przyjaciele, żeby nie rozłączać się i razem drogę odbywać.

Już dawno miało się ku wieczorowi, gdy wyjechali w pole. Słońce udało się na spoczynek; gdzieś tam gorzały zamiast niego czerwone pręgi; na polu pstrzyły się łąny, niby szaty odświętne czarnobrewych mołodych. Naszego zaporozca ogarnęła przedziwna gadatliwość. Dziad i jeszcze jeden hulaka, który się do nich przyplątał, pomyśleli, czy to nie diabeł czasem w niego wstąpił. Skąd to się brało? Historie i opowieści takie dziwaczne, że dziad parę razy chwycił się pod boki i mało brzucha sobie od śmiechu nie naderwał. Ale na dworze coraz bardziej się zmierzchało, a wraz z tym, coraz bardziej niedorzeczna stawała się mowa mołojca. Wreszcie nasz opowiadający przycichł zupełnie i drżał przy łańcuszku.

— He, he, rodaku! Nie na żarty zaczynasz sowry liczyć. Już myślisz tylko, jakby do domu i na piec!

— Nie będę przed wami ukrywał, — rzekł nagle, zwróciwszy się ku nim i utkwiwszy w nich znieruchomiałe źrenice, — czyż wiecie, że dusza moja od dawna sprzedana została nieczystemu?

— Też nadzwyczajna mi rzecz! Któż za życia nie znał się z nieczystymi? Właśnie dlatego należy hulać, jak powiadają, do upadłego.

— Hej, chłopcy, hulałbym ja, ale tej nocy czas na mołojca. Hej, bracia! — rzekł przybijając im dłonie, — nie wydajcie, nie prześpijcie tej jednej nocy! Póki życia nie zapomnę waszej przysługi.

Czemu nie dopomóc człowiekowi w takim zmartwieniu? Dziad oświadczył wprost, że prędzej da obciąć oseledec*) z własnej głowy, nim dopuści do tego, aby diabeł powąchał swym psim pyskiem duszę chrześcijańską.

Może by i jechali dalej nasi kozacy, gdyby nie zaciągnęło całego nleba jak gdyby czarną szatą i w polu nie stało się tak ciemno, jak pod baranem

*) Oseledec — kosmyk włosów zostawiany przez kozaków na ogolonej głowie.

kozuchem. Z dala tylko majaczyło się światelko i konie przeczuwając bliski postój, śpieszyły się, postawiwszy uszy i utkwivszy w mrok oczy. Światelko zdawało się, mknąć naprzeciw! Kozakom ukazał się szynk pochylony na jedną stronę, niczym baba powracająca z wesółych chrzcin. Za tamtych czasów szynki były nie tym, co dzisiaj. Porządny człowiek nie tylko że nie miał gdzie się rozkręcić, zatańczyć gorlicę lub hopaka, *) przyłożyć się nawet nie miał gdzie, gdy do głowy uderzy chmiel i nogi zaczęły wypisywać esy floresy. Całe podwórko było zastawione czumackimi wozami; pod okapem, w żłobach, w sieniach, jeden skulony, drugi rozwalony, chrapali ludzie jak koty. Jedynie szynkarz pod kagankiem nacinał kreski na patyku, ile ćwiartek i ósemek wysuszyły czumackie głowy.

Dziad, zażądawszy trzecią wiadra na troje, udał się do szopy. Wszyscy trzej legli obok siebie. Zaledwie zdążył się odwrócić, gdy widzi, że jego rodacy śpią już jak zabici. Obudziwszy kozaka, który przysłał do nich w drodze, dziad przypomniał mu o przyrzeczeniu danym towarzyszowi. Ten podniósł się, przetarł oczy i znowu zasnął. Nic nie można było poradzić, musiał czuwać w pojedynkę.

Ażeby czymś rozpedzić sen, obejrzał wszystkie wozy, zajrzał do koni, zakurzył lulkę, przyszedł z powrotem i siadł znów obok swoich. Dokoła było cicho, zdawałoby się, mucha nie przeleci. Otóż i widzi mu się, że spoza sąsiedniego wozu coś szarego pokazuje rogi... Teraz oczy jego zaczęły się kleić tak, że musiał co chwilę przecierać je pięścią i przemycać pozostałą wódką. Ale zaledwie trochę przejaśniły się, wszystko znikało. Wreszcie, po chwilowym czekaniu, znów ukazuje się straszdydło spod wozu... Dziad wytrzeszczył oczy z całej mocy, ale przekłeta senność przesłaniała wszystko przed nim mgłą: ręce jego skostniały, głowa zwisała i mocny sen ogarnął go tak, że zwałił się, jak zabity.

Długo spał dziad i gdy słońce porządnie już przypiekło jego wygoloną makówkę, wtedy dopiero zerwał się na nogi. Przeciągawszy się dwa razy i podrapawszy plecy, zauważył, że wozów stało już nie tak wiele, jak z wieczora. Czumacy widać pociągęli jeszcze przed świtem. On bieży do swoich — kozak śpi, zaporozca zaś nie ma. Rozpytuje — nikt nic nie wie, jedyna tylko wierzchnia świtka leżała na tym miejscu. Strach i zwątpienie ogarnęły dziada. Poszedł popatrzeć na konie — ani własnego, ani zaporozcowego! Cóżby to miało znaczyć? Dajmy na to, zaporozca zabrała nieczysta siła, któż więc wziął konie? Pojawszy wszystko, dziad stwierdził, że pewno diabeł przyszedł na piechotę, a że do piekła nie blisko, to i ściągnął mu konia. Mocno bolało go, że nie dotrzymał kozackiego słowa.

— Oho, — myśli — nic nie poradzę, pójdę na piechotę; a nuż trafi się w drodze jakiś tam już przekupień jadący z jarmarku jakoś kupię sobie konia.

Ale sięgnął po czapkę — a czapki też nie ma: Załamał ręce nieboszczyk dziad, gdy przypomniał sobie, że jeszcze wczoraj zamienili na pewien czas

*) tańce kozackie.

czapki z zaporożcem. Któż więc mógł ściągnąć, jak nie diabeł! Oto masz tobie i hetmańskiego gońca! Oto przywiózł ci posłanie od carycy! Tu dziad zaczął częstować diabła takimi wyzwiskami, że ten myśle, nieraz musiał kichnąć tam w piekle. Ale wymyślaniem mało się pomoże; aczkolwiek dziad kilkakroć drapał się po karku, nie mógł tym sposobem nic wymyślić. Co robić? Sięgnął po cudzy rozum. Zebrał w szynku wszystkich dobrych ludzi, znajdujących się tam natenczas czumaków i innych przyjezdnych i opowiedział, że tak i owak, takie to przydarzyło się nieszczęście. Czumacy długo myśleli, podparłszy batogami brody i rzekli, że nie słyszeli o takim dziwie na świecie, żeby diabeł ściągnął list hetmański. Inni natomiast dodali, że gdy diabeł albo moskał ukradnie cokolwiek — wtedy szukaj wiatru w polu.

Jeden tylko szynkarz siedział milcząc w kącie. Dziad tedy przystąpił do niego. Jeżeli już człowiek milczy, pewnie musi to być tęga głowa. Ale szynkarz nie za bardzo szczodry był w słowach i gdyby dziad nie sięgnął do kieszeni po pięć złotych, to na próżno sterczałby przed nim.

— Nauczę cię, jak znaleźć list — powiedział szynkarz, odprowadzając go na stronę. Dziadowi od razu ulżyło na sercu. — Widzę po oczach żeś nie baba tylko kozak. Uważaj no! W pobliżu szynku będzie zakręt na prawo do lasu. Jak tylko zaczniesz się na dworze zmierzchać, żebyś był gotów. W lesie mieszkają cyganie i wychodzą ze swych nor w taką noc, w jaką same tylko wiemy jeżdżą na pogrzebach! Czym się trudnią naprawdę, nie potrzebujesz wiedzieć. Wiele huku będzie w lesie, ale nie idź w tę stronę, skąd zasłyszysz huk; będzie przed tobą mała ścieżka obok na wpół spalonego drzewa; ścieżyną tą idź, wciąż idź, idź... Krzewy tarniny będą cię drapały, gęsta leszczyna będzie ci drogę zagradzać — ty wciąż idź; i jak dojdziesz do małej rzeczki, dopiero wtedy możesz zatrzymać się. Wtedy też zobaczysz kogo trzeba. Wszakże nie zapomnij nabrać do kieszeni tego, do czego są kieszenie zrobione... Rozumiesz, to dobro i diabły i ludzie kochają.

Rzekłszy to, szynkarz udał się do swej nory i nie chciał powiedzieć ani słowa więcej.

Nieboszczyk dziad, nie można o nim powiedzieć, żeby był tchórzem podszyty; bywało, spotka wilka — wprost go za ogon łapie; pójdzie na pięści między kozaków — wszyscy jak gruszki na ziemię się walą. Wszakże ciarki go przeszły, gdy wkroczył do lasu tej głuchej nocy. Żeby choć gwiazdka na niebie. Ciemno i głucho niby w piwnicy; tylko słycać było, że daleko, hen w górze, nad głową, zimny wiatr hulał po wierzchołkach drzew i drzewa niby pełne chmielu głowy kozackie kiwały się podochocone, prowadząc szep-tem liści pijane rozmowy.

Lecz oto powiało takim chłodem, że dziad przypomniał sobie swój kożuch barani i nagle jak gdyby sto młotów zaczęło walić po lesie z takim hukiem, że zadzwoniło mu w uszach. I coś, niczym błyskawica, oświeciło na chwilę cały las. Dziad od razu dojrzał ścieżkę przemykającą się między niskimi

zaroślami. Oto i na wpół spalone drzewo i krzaki tarniny! Tak samo, wszystko tak samo, jak mu powiedziano; nie, nie oszukał szynkarz.

Wszelako całkiem niewesoło było przedzierać się przez kłujące krzaki. Odkąd żyje nie widział, żeby przekłute kolce i sęki tak boleśnie drapały; prawie na każdym kroku kusiło go, aby krzyknąć. Pomału jednak wydostał się na otwarte miejsce i o ile mógł zauważyć, drzewa przerzedzały się i dalej stawały się tak grube, że dziad nie widział takich nawet po tamtej stronie Polski.

Nagle między drzewami mignęła rzeczka, czarna niby stalowe skrzydło kruka. Długo stał dziad na brzegu rozglądając się na wszystkie strony. Na drugim brzegu pali się ogień i, wydaje się, już, gotów zagasnąć i znowu odbija się w rzeczce, drżącej jak polski szlachcic w kozackich łapach. Oto i mostek!

— No, tu chyba tylko jedną diabelską taratajką przejedzie.

Dziad jednakże stąpił śmiało i zanim kto inny zdążyłby wyjąć kapciuch i powąchać tabaki, znalazł się już na drugim brzegu. Dopiero teraz dojrzał dziad, że wokół ognia siedzieli ludzie, do tego o tak paskudnych gębach, że kiedy indziej, Bóg raczy sam wiedzieć czego by się nie dało, aby wykręcić się od takiej kompanii. Ale teraz nie było rady, należało nawiązać znajomość. Odmierzył tedy dziad im niski, ledwie nie w pas ukłon:

— Boże dopomóż, dobrzy ludzie!

Choćby jeden skinął głową; siedzą i milczą i coś do ognia sypią. Widząc jedno miejsce nie zajęte, dziad bez żadnych ceregieli siadł sobie. Paskudne gęby nic na to; dziad także nic. Długo siedzieli milcząc. Dziadowi już się to znudziło; dalejże szperać po kieszeniach, wyjął lulkę, spojrzał dokoła — żaden nie patrzy na niego.

— Dobrodzieje, bądźcie łaskawi, jakby to tak, żeby na ten przykład rzec, tego...

Dziad bywały był w świecie, już to potrafił stosować koncepty i przy okazji, bodaj przed carem by się nie zblamował.

— ...żeby na ten przykład rzec i siebie nie skrzywdzić i was nie obrazić — lulkę mam właśnie, lecz to, czym by ją zapalić można, diabeł chyba ma, bo ja nie.

Na tę przemowę też ani słowo nie padło; jedna gęba tylko pchnęła palącą się głównię prościuteńko dziadowi w czoło, tak, że jeśliby się trochę nie uchylił, to stać by się mogło, że pożegnałby się na zawsze z jednym okiem. Widząc wreszcie, że czas na próżno upływa, postanowił opowiedzieć o całej sprawie — czy będzie go słuchało nieczyste plemię, czy też nie. Potwory nadstawiły uszy i wyciągnęły łapy. Dziad domyślił się. Zgarnął wszystkie posiadane pieniądze i rzucił niby psom, w sam środek. Gdy rzucił pieniądze, wszystko się przed nim zakotłowało, ziemia zadrżała i jak już sam tego opowiedzieć nie potrafił — znalazł się bez mała w samym piekle.

— Dobrodzieje, — wykrzyknął dziad, rozejrzawszy się dobrze — co za potwory!

Gęba siedzi na gębie, jak to powiadają. Wiedźm takie zatrzęsienie, jak to niekiedy śniegu na Boże Narodzenie napada: wystrojone, wypacykowane niby panienczki na jarmarku. I wszystkie, ile ich tam nie było, jak pijane tańczyły jakiegoś diabelskiego trepaka. Kurz podniosły taki, że pozał się Boże! Ciarki przejdą człowieka chrzczonego na sam widok, jak wysoko skałało diabelskie plemię. Mimo całego strachu, śmiech dziada ogarnął, gdy zobaczył jak diabli o psich pyskach, na niemieckich nóżkach, kręcąc ogonami, uwijali się dookoła wiedź niczym chłopcy około krasnych dziewcząt; muzykanci zaś uderzali w swe policzki pięściami niby w bębny i gwizdali nosami, jak waltornie.

Skoro zobaczyli dziada — zaraz popędzili do niego całą hordą. Pyski świńskie, psie, kozłe, końskie i dzioby dropie — wszystko wyciągało się ku niemu i oto pchają się do całowania. Splunął dziad, ale go paskudztwo obsiadło! W końcu złapali go i posadzili przy stole, długim — może, jak droga od Kopotopa do Baturina.

— Ano, to nie jest jeszcze całkiem źle — pomyślał dziad zobaczywszy na stole wieprzowinę, kiełbasę, cebulę drobioną z kapustą i wiele różnych słodczy — widać diabelska hołota nie przestrzega postów.

Dziad, nie zawadzi wam wiedzieć, nie pogardził nigdy okazją położenia tego owego na ząb. Jadał nieboszczyk z apetytem; przeto nie wdając się w opowiadania, przysunął do siebie miskę z nakrajaną słoniną i całą wędzoną szynkę; wziął widelec, nie dużo mniejszy od wideł, na jakie chłop nabiera siano, zagarnął nim najbardziej okazały kawałek, dołączył do niego skórkę od chleba i.. patrz no, ładuje go do cudzych ust. Tuż, tuż obok własnych uszu i słyhać nawet, jak czyjaś gęba żuje i kłapie zębami na cały stół. Dziad nie przejął się tym: złapał drugi kawałek, już zda się nawet o wargi zaczął pić, tylko znowu nie do swego gardła trafił. Po raz trzeci — znów ominął.

Rozsierdził się dziad, oszalał; zapomniał i o strachu i o tym, w czyich łapach się znajduje. Przyskoczył do wiedźm:

— Cóż wy, Herodowe plemię, czyż byście umyśliły hańsować się ze mnie? Jeżeli w tej chwili nie oddacie mi czapki kozackiej, to niech zostanie katolikiem, jeżeli nie powykręcą wam waszych psich pysków na karki!

Nie zdążył nawet ostatnich słów wyrzec, jak wszystkie potwory wyszczerzyły zęby i tak zanosły się śmiechem, że dziadowi chłód legł na sercu.

— Zgoda — przeraźliwie zapiszczała jedna z wiedźm, którą dziad wziął za starszą wśród nich, ponieważ oblicze miała bez mała piękniejsze od innych — czapkę oddamy ale nie pierwej, nim zagrasz z nami potrzykroć w durnia!

To niesłychane! Kozak ma usiąść z babami do durnia? Dziad dalejże wykręcać się i tak i owak, wreszcie usiadł. Przyniesiono karty, takie zatłuszczone, jakimi u nas tylko popówny wróżą sobie narzeczonych.

— Słuchaj no! — zaszczekała wiedźna po raz drugi, — jeżeli wygrasz choć raz, czapka twoja; gdy zaś potrzykroć z rzędu zostaniesz durniem, to

nie gniewaj się, nie tylko czapki, ale może i świata więcej nie będziesz oglądał!

— Rozdawaj karty, dawaj stara niedołęgo! Co ma być, niech będzie.

Oto i karty rozdane. Wziął dziad swoje do rąk — patrzeć się nie chce, takie paskudztwo, choćby jeden atut na okrasę. Z kolorów — dziesiątka najstarsza, par nawet nie ma; wiedźma zaś wciąż odwała piątki — przyszło mu zostać durniem. W chwili, gdy dziad został durniem, ze wszystkich stron zarżały, zaszczekały, zachrzakały pyski:

— Dureń! Dureń! Dureń!

— Zebyście popękali, diabelskie plemię! — wykrzyknął dziad, palcami zatykając sobie uszy. „No“, myśli, „wiedźma oszukała przy tasowaniu, teraz sam będę dzielił“.

Rozdał. Wyłożył atut, spojrział w karty. Kolorы znakomite, atuty też są. Z początku szło, lepiej nie trzeba, ale wiedźma — ma piątkę z królami! Dziad ma w ręku same atuty; nie namyślając się długo, prast wszystkich króli po wąsach atutami!

— He, he! Wszakże to nie po kozacku! A czym ty bijesz, rodaku?

— Jak to czym, atutami!

— Dla ciebie to może atuty, ale dla nas to nie.

— Patrzcie no, rzeczywiście, zwykły kolor.

Co za diabelska siła! Przyszło mu po raz drugi zostać durniem i diabelstwo znowu poczęło wydzierać się na całe gardło:

— Dureń, dureń! — tak, że aż stół zadrżał i karty po nim skakały.

Dziad zirytował się; rozdał po raz ostatni. Znowu idzie składnie. Wiedźma znowu ma piątkę; dziad pokrył i dobrał z talii pełną garść atutów.

— Atut! — wykrzyknął uderzwszy kartą po stole tak, że aż się zwinęła w trąbkę.

— Wiedźma bez słowa pokryła ją zwykłą ósemką.

— A czym ty stara diabolicznie bijesz?!

Podniosła kartę, pod nią była zwykła szóstka.

— Popatrz no, diabelskie czary! — rzekł rozgoryczony dziad i wałnął pięścią w stół z całej siły.

Na szczęście, wiedźma miała jeszcze słaby kolor, dziad zaś miał natenczas pary. Począł dobierać kart z talii, ale już sił mu brak, paskudztwo takie liżie, że dziadowi ręce opadły. W talii nie ma już ani jednej karty. Trudno, wyszedł nie patrząc, w zwykłą czwórkę, wiedźma przyjęła.

— Masz ci! Co to jest? He, he, pewnie jednak coś tu nie w porządku.

Tedy dziad karty — cichuteńko pod stół i przeżegnał je. Popatrz no, w ręku ma asa, króla i waleta atutowego; zamiast zaś szóstki wyszedł w damę piękniś.

— Ależ durniem byłem! Król atutowy! Co! Przyjąłeś? Aha! Koci pomiośle... A asa nie chcesz? As! Walet!...

Grzmot rozniósł się po piekle; wiedźma dostała kurczy i ni stąd ni zowąd, czapka bęc, — dziadowi prościuteńko w twarz.

— Nie, to jeszcze mało! — wykrzyknął dziad nabrawszy odwagi i włożywszy czapkę. — Jeżeli zaraz nie stanie przede mną mój koń molojecki, to bodaj by mnie piorun zabił na tym nieczystym miejscu, jeżeli was wszystkich nie przeżegnám krzyżem świętym! Już było, rękę podniósł, gdy nagle zachrobotały przed nim kości końskie.

— Oto masz słwego konia!

Zapłakał nieborak patrząc na nie, niby dziecię nierozumne. Żal mu było towarzysza.

— Dajcież jakiegokolwiek konia, byle z waszego gniazda się wydostać!

Diabeł trzasnął z bicia — koń, jak ogień, wspiął się pod dziadem i ten niby ptak unosił się do góry.

Strach wszakże ogarnął dziada podczas drogi, gdy koń, nie poddając się cuglom, ani słuchając krzyku, skakał przez wyrwy i bagna. Skóra cierpnie, opowiadając nawet, gdzie on nie był. Spojrzał raz pod nogi i srodze się przeraził: rozpadlina, przepaść straszliwa! Szatańskiemu zwierzęciu zaś to nie wadzi — wprost przez nią wali. Dziad utrzymać się silił, ale gdzież tam! Przez pnie, przez kępy, poleciał w przepaść na łeb na szyję i tak grzmotnął o ziemię, że zda się ducha mało nie wyzionął. Żadną miarą nic nie pamiętał, co się działo z nim wówczas i gdy ocknął się i rozejrzał, całkiem już świtało; przed nim migały znajome miejsca, on zaś leżał na dachu własnej chaty.

Przeżegnał się dziad, gdy zlął na dół. Ale ci diabelstwo! Ileż to do licha cudów dzieje się z człowiekiem! Zerknął na ręce — całe we krwi; spojrzął w beczkę z wodą — i twarz również. Obmywszy się należycie, żeby dzieci nie przerazić, wchodzi cichuteńko do chaty; patrzy: dzieci cofają się ku niemu przed czymś tyłem i w strachu wskazując palcami, powiadają:

— Spójdz, spójrz! Matka jak opętana skacze!

I w rzeczy samej, baba siedzi przed zgrzeblem, trzyma w rękach wrzeczono i śpiąc, podryguje na ławce. Dziad wziąwszy ją za rękę, ostrożnie obudził:

— Dzień dobry żono, czyś zdrowa?

Ta długo patrzała wytrzeszczywszy oczy, wreszcie poznała dziada i opowiedziała, jak widziało jej się we śnie, że piec jeździł po chacie, wypędzając łopatą precz garnki i kadzie... i diabeł wie, co jeszcze.

— Ano, — powiada dziad — tobie we śnie, mnie na jawie. Trzeba, widzę, będzie poświęcić naszą chatę, ja zaś nie mogę teraz marudzić.

Wyrzekły to i odpocząwszy nieco, dziad wziął konia i nie zatrzymywał się już ani dniem ani nocą, dopóki nie dojechał do celu i nie oddał pismacarycy. Tam napatrzył się na takie dziwy, że długo potem miał co opowiadać: jak powiedli go do pałacu tak wysokiego, że gdyby tak z dziesięć chat jedną na drugą postawić i wtedy, być może, nie dosięgnęłoby się pułapu; jak zajrzał on do jednej komnaty — nie ma carycy, do drugiej — nie ma, do trzeciej — jeszcze nie ma; w czwartej nawet nie ma; ale w piątej, popatrz no, — siedzi we własnej osobie, w złotej koronie, w szarej nowiuteń-

kiej świtce, w czerwonych bucikach i złote kluski zajada. Jak kazała mu nasypać w czapkę błękitnych pieniędzy, jak... wszystkiego spa pamiętać nie-podobna!

Swoje perypetie z diabłami dziad dawno z pamięci wyrzucił i jeśli zdarzało się, że ktoś przypomniiał mu o tym, dziad milczał, jakby ta sprawa wcale go nie dotyczyła i wielkiego trudu kosztowało ubłaganie go, aby opowiedział wszystko jak było.

I kłócić już to za karę, że nie pośpieszył się natychmiast po tym poświęcić chaty, babie jego, dokładnie z roku na rok i to właśnie w owym czasie, przydarzały się takie dziwy, że tańczy i tyle. Do czego by się nie zabrała, nogi wyprawiają swoje i aż ją ponosi, by pomknąć w przysiadach.



(rys. Zuka-Mitelle)

MALARSTWO MEKSYKAŃSKIE



DIEGO RIVERA

SŁAWA nowoczesnego malarstwa meksykańskiego od dawna już sięga poza granice tego kraju. Wystawy na terenie całej Ameryki, a obecnie także w Europie, zapoznają coraz szersze kręgi publiczności z osiągnięciami malarzy meksykańskich. Opierając się na tradycjach ludowych, czerpiąc materiały z dziedzictwa kultury narodowej, płótna i freski malarzy meksykańskich mówią — śmiałym rysunkiem i wyjątkowym bogactwem kolorów — o walkach i nadziejach robotników, mężczyzn i kobiet tego kraju.

Pamięć cywilizacji Azteków, przechowywana przez Indian i Metysów, którzy stanowią większość ludu meksykańskiego, i wkład hiszpański z ostatnich czterech wieków nadają malarstwu meksykańskiemu cechy wybitnie oryginalne i bogactwo form; reprodukcje zamieszczone poniżej pozwalają nam zapoznać się z jego charakterem. Są to fotografie dzieł najbardziej zdolnych współczesnych malarzy meksykańskich: Castellanos, Dawida Alfaro Siqueirosa i Diego Rivera. Są one świadectwem wielkości dzisiejszej sztuki meksykańskiej.



CASTELLANOS



SIQUEIROS



CASTELLANOS

DWA WYWIADY



VITTORIO DE SICA

ZARÓWNO z wyglądu zewnętrznego jak i z usposobienia i temperamentu De Sica stanowi żywe przeciwieństwo Zavattiniego, swego długoletniego, wiernego współpracownika na polu artystycznym, z którym łączą go wspólne zamiłowania, inteligencja i pokrewieństwo duchowe. Na zażyłość tę składają się zarówno przeciwieństwa ich charakterów, tak bardzo ożywiające ich twórczość, jak również wzajemne i całkowite zrozumienie. Wysocki, o szlachetnych rysach, wytwornej postawie i harmonijnych ruchach, De Sica już przy pierwszym zetknięciu oczarowuje otoczenie. Jasna, inteligentna twarz, orli nos, o subtelnych rysunku, myślące spojrzenie, szpakowate skronie, z

lekka zaokrąglający się owal twarzy; stanowi on typ prawdziwego Neapolitańczyka i kiedy się na niego patrzy, przychodzą na myśl portrety dworzan z XVI wieku z czasów hiszpańskiej potęgi, wyrafinowanego zbytku i zblazowania.

W przeciwieństwie do nich De Sica jest uosobieniem życia, — ale życia duchowego, wewnętrznego, najgłębiej osobistego, zawieszonego gdzieś w przestrzeni między rzeczywistością i marzeniem. Te duchowe przeżycia wyraża on najpełniej poprzez swoje dzieła, choć nie oddają one z pewnością wszystkich jego rozmyślań i wszystkich cierpień jakie były związane z tworzeniem.

(c. d. na str. 110)

PAOLO JACCHIA



CESARE ZAVATTINI

BY MÓC porozmawiać krótką chwilę z Cesarym Zavattinim, trzeba go szukać w godzinach najbardziej nieoczekiwanych, w odległej dzielnicy Rzymu. W dzielnicy tej ostatnie wille mieszczańskie, smutne i podstarzałe zdają się nie wiedzieć, że poza ich ciemnymi i cichymi parkami istnieją pierwsze nowoczesne białe budynki, pełne wrzawy budynki przedmieścia, gdzie pociąg toczy się jak gdyby poprzez domy, gdzie ulice przechodzą w gościńce zarośnięte pokrzywą i pełne swawolących kur.

Zavattini jest zawsze pełen kurtuazji, jowialny i sympatyczny. Wywiady odbywają się w pięknym biu-

rze, pełnym książek, artystycznych wydawnictw i czasopism. Z sąsiedniego pokoju dochodzą radosne okrzyki dzieciarni, a od czasu do czasu uroczą córeczką Zavattiniego, nie bacząc na obecność obcego pana, wpada do pokoju, wesoło podzrucając do góry jakieś czasopismo. Rozmowa jest stale bardzo ożywiona, gdyż poza dziećmi, radiem, dzwonkiem telefonu, który rozlega się bezustannie, sam Zavattini gorączkuje się mówiąc, miota się na krześle, przemierza pokój wzdłuż i w szerz krzycząc, gestykulując, znów siada, zrywa się, zaczyna chodzić.

Krępy, korpulentny, o rzadkich
(c. d. na str. 113)

De Sica (c. d.)

Jest to człowiek pełen spokoju, nieomal chłodu, i nawet gdy jest wzburzony, nie okazuje tego po sobie. Mówi mało, zawsze przyciszonym głosem, w którym wyczuwa się jak gdyby pewne zmęczenie, z jednakową zawsze łagodnością. Robi wrażenie człowieka, którego natura wzdraga się przed wszelką przemocą. Swe najżywsze doznania, doświadczenia, ogromną intuicję, idee, nieograniczoną fantazję poety i rozważania humanisty-myśliciela, uczucia i najgłębszą swą prawdę okazuje i wyraża jedynie w swych dziełach filmowych. Oto są jego poglądy estety, jego teoria filmu, która ma zasadnicze znaczenie w sztuce współczesnej.

De Sica mówi nam o swoich filmach, które ukażą się w roku przyszłym na ekranach: „Złoto Neapolu“ (L'Oro di Napoli) według słynnej powieści Giuseppe Marotta oraz „Italia mia“, który nakręci razem z Zavattinim. Dla realizacji tego filmu wyruszą oni w styczniu na długą wędrowkę po całych Włoszech, wędrowkę o szczególnym charakterze. Wyprawa ta nie będzie miała w sobie nic romantycznego, „long voyage home“, jakby powiedział O' Neill, — na poszukiwanie prawdziwych Włoch i ludu włoskiego — bez specjalnie określonego celu, mimo to jednak z całkowitą świadomością tego czego szukają. Wyruszą oni z całym zapasem doświadczeń i znajomości problemów, dotyczących ludzi i społeczeństwa tego nowego świata, z którym nas będą zapoznawać.

Ta epicka wędrowka w rzeczywistości już rozpoczęła się na przedmieściach Rzymu w czasach „Sciucias“ i „Złodzieja rowerów“ — a dalej na przedmieściach mediolańskich, tajemniczych i na nowo od-

krytych w „Cudzie“, a potem znowu w Rzymie, w Rzymie nieznanym, gdzie w „Umberto D.“ widzimy małą mieszczkę, ukrywającą swą nędzę. „Więzy, stosunki społeczne, które łączą ludzi z tych filmów z postaciami „Italia mia“, ukazają się w całej wyrazistości — mówi De Sica — i ten nowy film ukształtuje się wokół idei zasadniczej, która nasunie nam to co zobaczymy w dzisiejszych Włoszech, to co wywrze na nas najgłębsze wrażenie i co z punktu widzenia ludzkiego i społecznego będzie najważniejsze. Na wiosnę przyszłego roku zabieramy się do „kręcenia“.

De Sica mówi dalej:

„Poza projektami dotyczącymi moich najnowszych filmów, marzę często — i po raz pierwszy zobaczyłem go wtedy w ożywieniu, wewnętrznie poruszonego, z błyszczącymi świetlicami oczyma — marzę o tym, aby odbyć fantastyczną podróż z kamerą po rosyjskich stepach Czechowa, tego wielkiego ulubionego przeze mnie pisarza, po stepach tylekroć opisywanych w jakże fascynujących opowiadaniach ludowych“.

Na nasze pytanie, jak może on określić rolę filmu w stosunku do rzeczywistości i mitu, De Sica odpowiada, że nie istnieje między tymi dwoma pojęciami żadna sprzeczność, jeżeli wyjdzie się z jedynie słusznego założenia, że rzeczywistość ludzka i społeczna powinna być zawsze podstawowym źródłem natchnienia. W tym wypadku artysta winien przetransponować rzeczywistość, natchnąć wizją poetycką, przy czym nie wolno stawiać granic jego twórczej fantazji i pełnej urzekającego wyrazu inwencji oraz stosowaniu całej mitologii współczes-

(c. d. na str. 112)



De Sica (c. d.)

nej, która pozwala na uzmysłowienie sobie dramatycznego znaczenia zjawisk w życiu jednostki i społeczeństwa.

„Droga do nowoczesnego filmu, wytyczona przez Chaplina, Dońskiego, Flaherty — dodaje De Sica — jest drogą realizmu. Wymaga ona odwagi i powinna stale znajdować nowe formy rozwojowe. Musimy o tym zawsze pamiętać. Jeśli bowiem zapomnimy o tym, jeśli pozwolimy by film oderwał się od rzeczywistości, jego głęboko ludzki sens zostanie zubożony, a wtedy będziemy

mogli pożegnać się z jego rolą prawdziwej kroniki, prawdziwego dokumentu, ponieważ w ramach „weryzmu“ i naturalizmu będą to rodzaje filmu zbyt złożone i skazane na to, by pozostać tylko nazwą...”

Powracając do aktualnych problemów dzisiejszego filmu włoskiego, które są prawie identyczne z problemami filmu francuskiego i całej kinematografii „zachodniej”, De Sica ze stanowczością znamionującą jego głębokie przeświadczenie o słuszności swego zdania, stwierdza, że „najlepszy film powinien iść drogą wskazaną mu przez rzeczywi-

Narodziny miłości (z filmu „Cud w Mediolanie“)

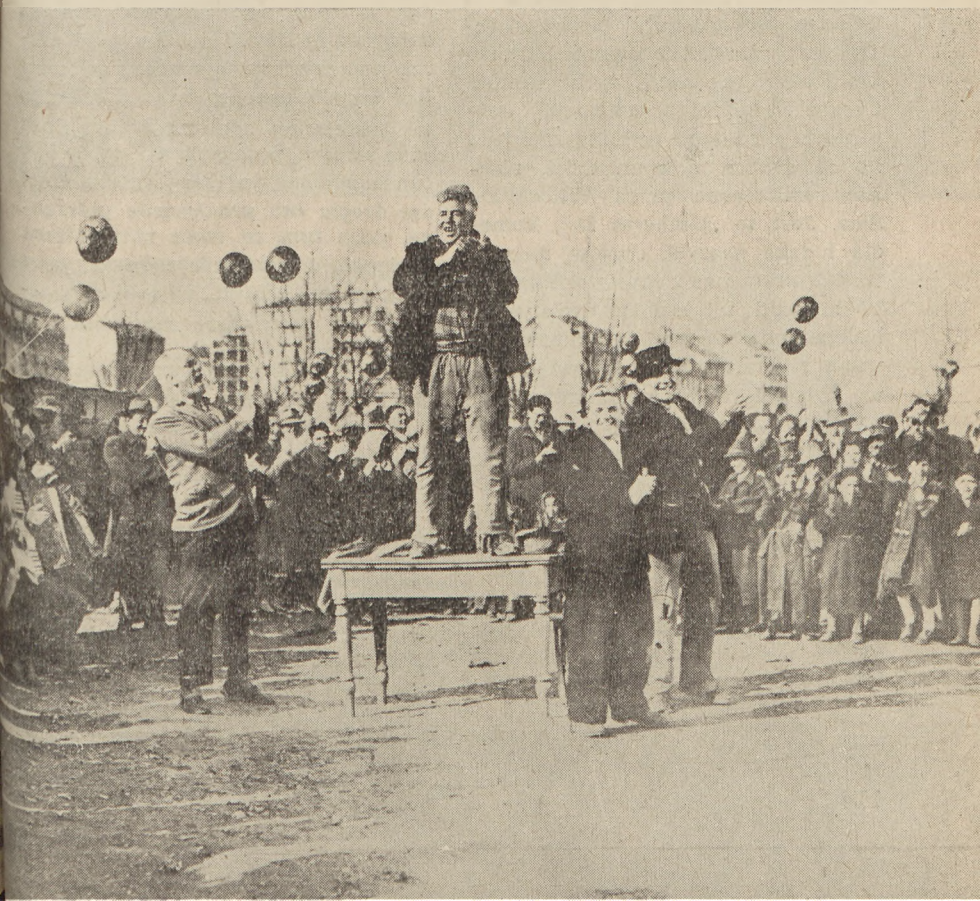


ste stosunki jednostek i społeczeństwa czasów dzisiejszych. Ta rzeczywistość bowiem stanowi rację bytu filmu, nadaje mu charakter narodowy i wartość ogólnoludzką. Film musi iść śmiało naprzód, walczyć z wszystkimi trudnościami, przeszkodami natury gospodarczej i politycznej, walczyć z nieufnością i wrogim nastawieniem, z jakim się zetknie. Dziś — kończy De Sica — nie mamy prawa używać naszej kamery, tego wspaniałego i cudownego środka oddziaływania — dla banału...”

Zavattini (c. d. ze str. 109)

siwiejących włosach i łagodnym wzroku dobrego tatusia, o wyglądzie tchnącym spokojem, szczęściem i rozmarzeniem, o roztargnionych ruchach, Zavattini jest pełen szczerej, trochę zakłopotanej prostoty, bardzo nieśmiały, ale przy tym ma ogień w żyłach, prąd elektryczny w nerwach, żywy blask w małych przenikliwych i porywczych oczach. Gdy mówi o rzeczach, które go przejmują, gdy widzi lub słyszy coś

Otwarcie miasteczka (z filmu „Cud w Mediolanie“)





co go wzrusza, wibruje, pulsuje, wybucha namiętnie, ludzki, wrażliwy, obdarzony inteligencją, która zadziwia i fascynuje.

W pokoju wokół niego dziesiątki, i dziesiątki obrazów olejnych, które sam malował, nie większych niż pocztówki, bardzo dziwnych, zagadkowych. Niektóre z nich są delikatne, dziecięce, inne wykwinętnie wyrafinowane, przesycone lekką ironią, a po pewnej chwili przerażające czymś podświadomie diabolicznym i metafizycznym.

Autor scenariuszów i inscenizator takich między innymi filmów, jak „Sciuscia“, „Złodziej rowerów“ i „Cud w Mediolanie“, poza tym artystyczny współpracownik Vittorio De Sica w realizacji tych filmów Cesare Zavattini przedstawia pośpiesznie niedawno wykończone jedno ze swoich nowych dzieł, również realizowane przez Vittorio De Sica. Jest to „Umberto D.“, komedia ludzka naszych czasów, nazwana tak przez nas z myślą o Balzaku. W komedii tej oschła, egoistyczna i ślepa ludzkość została skonfrontowana z własnymi jej obowiązkami w tragedii starego robotnika, tak zwanego „niepotrzebnego człowieka“, który żyje, a raczej powoli umiera w strasznej samotności.

Jest to film, w którym stoimy wobec typowego dla krajów burżuazyjnych zagadnienia starego emeryta doprowadzonego do nędzy. Gdy nie znajdzie on — jak to zrobił robotnik Mario Ricci w „Złodzieju rowerów“ — w innej istocie ludz-

kiej tak samo nędznej, jakiejś formy zrozumienia, solidarności ludzkiej i społecznej, będzie musiał umrzeć jak pies. „Film ma jasne zakończenie: problem nad którego rozwiązaniem, mówi Zavattini, człowiek, społeczeństwo muszą się zastanowić, bo jest im podany w sposób dramatyczny. A to ma znaczyć, że ludzie muszą wyjść z kina nie zadowoleni, lecz z sumieniem poruszonym, z chęcią zrobienia czegoś“.

„Czuje, że muszę kontynuować moją rozprawę kinematograficzną rozpoczętą w „Sciuscia“, a rozwijaną w całej serii innych filmów, mówi dalej Zavattini. Czuje, że muszę pogłębiać moją analizę człowieka współczesnego, życia człowieka w dzisiejszym społeczeństwie. Poza mną samym, poza tym co może być lub wydawać mi się sentymentalnie drogie lub praktycznie potrzebne, poza tym co może mnie nieraz pociągać, a właściwie zabawić, poza mną są inni... Inni... Ci inni są ważni, to ma największe znaczenie...“

Ludzie, którzy żyją wokół nas: co oni robią, jak żyją, czy cierpią, jak się czują i dlaczego źle się czują, dlaczego cierpią? Wszystko co się dzieje wokół, często nawet rzecz najbanalniejsza, którą się widzi na ulicy, obok wydarzeń najważniejszych bliskich czy dalekich, ma znaczenie, ma sens dramatyczny, ludzki i społeczny, porusza wielkie zagadnienia. Zagadnienia te są także naszymi zagadnieniami, gdyż nie z tego co się wokół nas dzieje nie

Gołąbek rozwiązuje wszystkie trudności





jest nam obce dopóki jesteśmy ludźmi, częścią ludzkości.

Oto moje źródła fascynujące, podstawowe, niewyczerpane źródła natchnienia, rozmyślania, czynności twórczej. Ze źródeł tych powinni czerpać wszyscy także i w kinie. Nie przestanę podkreślać znaczenia życia, rzeczywistości, człowieka, nieustannego zainteresowania życiem społecznym. Jestem zawsze świadomy wymagania, obecności ludzkiej i społecznej, decydującej dla mnie i dominującej. Chcę zawsze i przede wszystkim być współczesnym, gdyż kino osiąga ekspresję artystyczną, wszechstronny, ludzki i społeczny sposób wyrażania się tylko wtedy, gdy przedstawia współczesne znaczenie wydarzeń, znaczenie dramatów zbiorowych...”

Przypominamy sobie, co powiedział Cesare Zavattini tym samym głosem namiętnym, wzruszonym, pełnym wiary, wyrażającym głęboką, wzniosłą i dramatyczną świadomość na Międzynarodowym Kongresie Kultury Kineematograficznej w Peruzie w r. 1939:

„Pewnego dnia wyszliśmy z mroków sali kinowej, a gazeciarze oznajmili wybuch wojny. Znaczyło to rękę kobiecą oderwaną od ciała i rzuconą gdzieś na druty telegraficzne, głowę mężczyzny na wazonie z kwiatami... Ileż filmów było zrobionych w okresie przygotowawczym do okrutnej masakry? Niezliczona ilość, tyle metrów taśmy, że mogłyby one okrążyć świat. Ale bilans pierwszego pięćdziesięciolecia kina kończy się wydarzeniem mrozącym krew w żyłach: kino nie dopomogło nam. Lecz teraz NIE, nasza wola jest mocniejsza...”

Zavattini jest obecnie w końcowym trakcie obmyślania wielkiego pomysłu. Przygotowuje on nowy te-

mat, który i tym razem będzie zrealizowany przez Vittorio De Sica w filmie „Italia mia”. „Będzie to film o dzisiejszym Włochu, który lubi pracę i pokój, który nosi w sobie szacunek dla człowieka, który przeżył dramatyczne doświadczenia, który ma konstruktywny zmysł życia, zmysł solidarności ludzkiej i społecznej w stosunku do innych ludzi, innych narodów... Człowiek znajdujący się w narodzie, w społeczeństwie, człowiek współczesny, z wszystkimi solidnymi jeszcze tradycyjnymi wartościami narodowymi. Człowiek żyjący, przedstawiony pod wszystkimi aspektami współczesnego życia kolektywnego, tak ciemnymi jak i jasnymi, tak dramatycznymi jak i pogodnymi.

Obraz, który będzie odzwierciedlał przemyślane doświadczenia życiowe w otaczającym mnie świecie od lat dziesięciu do chwili skończenia scenariusza. A to dlatego, że moją najwyższą aspiracją „człowieka kina” jest zrealizowanie *namiętnika człowieka współczesnego*, usuwając na zawsze każdą diafragmę, każdą odległość między życiem a filmem. Praca ta, ten dziennik człowieka współczesnego, to jest pierwszy film, który zrobię w miarę możliwości, jako reżyser”.

„Mam jeszcze inne wielkie pragnienie, mówi dalej Zavattini, obejść dokoła świata i zobaczyć jak w każdym kraju żyją dzieci, czy jest im dobrze, czy płaczą, czy cierpią i dlaczego cierpią. Dzieci całego świata — białe, żółte lub czarne, które są ludźmi jutra. I chciałbym zrobić z tego filmu wielki film dokumentarny, taki jaki zrobił Joris Ivens o tragedii narodu chińskiego, narodu hiszpańskiego, narodu indonezyjskiego. Bo kino powinno służyć poznaniu, zrozumieniu, miłości,

czynnej solidarności między narodami.

Mówi się o kryzysie tematów w kinie. Wyznaje się raczej w ten sposób, że istnieje kryzys sumienia, kryzys wrażliwości na to, co się dzieje wokół nas. Trzeba prowadzić walkę o film opowiadający o życiu

człowieka, o kino dla człowieka, dla ludzkości. Biada jeśli kino zatraci zmysł współczesnej rzeczywistości ludzkiej i społecznej, jeśli straci z nią wszelki kontakt. Niebezpieczeństwo jest poważne, to jest nawet niebezpieczeństwo najpoważniejsze“.



DONIOSŁE WYDARZENIE *)

MARIO SOCRATE



ZEBRALIŚMY się tutaj z okazji bardzo doniosłego wydarzenia, wydarzenia, którego znaczenie kulturalne jest tak wielkie, że przekracza granice zainteresowania samych tylko intelektualistów.

Wydarzenie to budzi wzruszenie i przyciąga uwagę wszystkich prostych ludzi, gdyż odbywająca się w tej chwili ceremonia, jest realizacją decyzji Światowej Rady Pokoju, która ustanowiła Międzynarodowe Nagrody Pokoju po to, aby postawić w służbę walki przeciwko wojnie prestiż, wydzwięk i wartość kultury.

Jest rzeczą pewną, że Międzynarodowa Nagroda Pokoju stanowi dziś najważniejszą nagrodę kulturalną przyznawaną w świecie, nie tylko dlatego, że przyznaje ją Jury, złożone z intelektualistów najwyższej klasy, ale głównie dlatego, że nagrodę tą ustanowiła wola narodów, która w naszym wielkim ruchu pokoju znajduje swój najwyższy i najpotężniejszy wyraz.

W istocie, najbardziej charakterystyczną cechą tych Nagród Pokoju, cechą odróżniającą je od wszystkich innych nagród, jest nie tylko ich cel, lecz również metoda ich przyznawania, kryterium ich osądu. Jury Międzynarodowych Nagród Poko-



*) Przemówienie członka Światowej Rady Pokoju Mario Socrate z okazji wręczenia Międzynarodowej Nagrody Pokoju Wandzie Jakubowskiej, w Warszawie dnia 15 grudnia 1951 r.

ju ocenia wartość dzieła nie tylko pod kątem artystycznym czy kulturalnym, ale również biorąc pod uwagę wkład jaki wniosło ono w walkę o pokój oraz oddźwięk jaki wywołało w najszerzych kołach publiczności.

Międzynarodowe Nagrody Pokoju są nadto najważniejszymi obecnie nagrodami kulturalnymi i z tego względu, że są wyrazem oceny tej wielkiej części ludzkości, która wierzy w pokój i walczy o jego utrzymanie; to jest tej części ludzkości, która istotnie wierzy w wartości kultury i broni jej przed barbarzyństwem i antykulturą wojny oraz jej proroków. I nie tylko broni i osłania te wartości, ale wprowadza je do wielkiej walki przeciw wojnie, największej walki w jakiej człowiek miał kiedykolwiek zaszczyt brać udział.

Zadna inna ocena kulturalna nie ma więc tylu wartości, ile ich posiada nadanie Międzynarodowej Nagrody Pokoju. Dlatego wyrażamy naszą wielką radość z tego, że jedna z tych nagród została przyznana Wandzie Jakubowskiej za jej film, a z nią razem i nowej kulturze polskiej, która, w oparciu o swe szczytne tradycje, zdecydowanie wystąpiła w pierwszych szeregach wielkiej walki o pokój.

Film Wandy Jakubowskiej „Ostatni Etap“, to jeden z filmów, z dzieł sztuki, gdzie potępienie wojny jest wyrażone z taką siłą, iż nie

ogranicza się tylko do siły potępienia, lecz wnosi konstruktywny wkład w budowę świata pokoju.

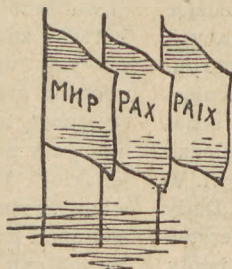
Jak wszystkie naprawdę udane dzieła sztuki — jakkolwiek wzniosła jest ich mowa i jakkolwiek powikłane ich problemy — „Ostatni Etap“ ma tę zaletę, że w najbardziej łatwy i prosty sposób przemawia do szerokich mas publiczności.

Jednym z największych walorów filmu Wandy Jakubowskiej jest, że przypomina nam wagę, jaką w walce przeciwko wojnie, przeciwko jej okropnościom, może wnieść masowy udział kobiet, udział, który każdemu ruchowi nadaje prawdziwie masowy charakter, decydujący i podstawowy dla każdego zwycięstwa ludzkości.

Film ten jest wreszcie zapewnieniem, że naród polski potrafi w walkę o pokój wnieść, jak zawsze, wkład potężny i bohaterski.

To film Polski, którą kochamy wszyscy, tej Polski, która w chwili gdy nadzieja i walka przyspieszają bicie serca Europy, daje swój ofiarny wkład do naszego wspólnego dzieła.

Jestem więc bardzo szczęśliwy, że mogę wręczyć w imieniu Światowej Rady Pokoju i jej przewodniczącego Fryderyka Joliot-Curie, w imieniu sądu konkursowego i jego przewodniczącego Pietro Nenni — Międzynarodową Nagrodę Pokoju autorce filmu „Ostatni Etap“, Wandzie Jakubowskiej.



ZJAZD KATOLIKÓW POLSKICH WE WROCŁAWIU

W OSTATNIM roku znacznie się wzmożła agresywność polityki obozu wojennego a zwłaszcza rządu Stanów Zjednoczonych. Jednym z dowodów wzrostu agresywności polityki imperialistycznej jest przejście do jawnego organizowania dywersji w ZSRR i w krajach demokracji ludowej. Bezprzykładna ustawa senatu Stanów Zjednoczonych o stumilionowym kredycie na dywersję mówi sama za siebie.

Ludzi, którzy mają być za te do-lary kupieni oraz bandy, które mają przy pomocy tych funduszy powstać, Amerykanie nazywają „ruchem wolnościowym Europy wschodniej“. Jakie są istotne projekty ludzi rządzących dziś w USA wobec takich państw jak np. Polska Ludowa możemy się od czasu do czasu dowiedzieć z różnych niedyskrecji popełnianych przez prasę amerykańską. Warto m. in. zapoznać się z listem jaki wnioskodawca dywersyjnej ustawy senator Kersten przesłał swemu koledze senatorowi Warrenowi Austinowi. W liście tym, ogłoszonym w „Daily Compass“ z 5. 11. 51, senator Kersten wykládając swoje rozumienie istoty

„ruchu wolnościowego“ pisze takie oto zdanie: „powiedzieć, że terror nie będzie odgrywał roli w ruchu wolnościowym wschodniej Europy, znaczy to nie rozumieć zagadnienia, czym w rzeczywistości jest ruch wolnościowy“.

Terror jest więc ostatnim podarkiem imperialistów amerykańskich dla krajów zajętych pokojową i ciężką pracą, dla krajów budujących podstawy nowego i lepszego życia.

Rządy uzależnionych od Ameryki państw atlantyckich, kontynuując wytkniętą przez swych mocodawców drogę, zerwały całkowicie w ciągu ostatniego roku z pozorami szanowania czy obrony interesów narodowych rządzonych przez siebie krajów. Takie pojęcia jak interes narodu, jak suwerenność narodowa przestały cokolwiek znaczyć i zastąpione zostały nowymi uniwersalnymi pojęciami: „obrony systemu wolności kapitalistycznej“, lub „cywilizacji zachodniej“, czy wreszcie „kultury chrześcijańskiej“. Pod tymi szumnymi nazwami kryje się brutalna przemoc monopoli amerykańskich sprowadzających całą rządzoną przez siebie

część świata do roli biernego narzędzia wyzysku i przygotowania wojny.

Remilitaryzacja Niemiec zachodnich, stanowiąca śmiertelne niebezpieczeństwo nie tylko dla Polski, lecz w równym stopniu dla Francji, Włoch czy Belgii, a mimo to popierana przez rządy tych właśnie krajów, szczególnie dobitnie ilustruje, jak gruntownie rozeszły się drogi rządów krajów zachodnich z prawdziwymi interesami narodowymi tych krajów.

Polska emigracja polityczna szybciej jeszcze od rządzącej burżuazji zachodnio - europejskiej przebyła swą drogę oderwania się od narodu i zdrady jego najistotniejszych interesów. Dzisiaj przywódcy i działacze emigracyjni oraz otumanieni przez nich b. andersowcy i akowcy to już tylko stypendyści lub kandydaci na stypendystów amerykańskiej kasy dywersyjnej.

W tej sytuacji wobec realności dwóch faktów: faktu remilitaryzacji Niemiec zachodnich, dokonywanej niedaleko od naszych granic i wymierzonej przeciwko tym granicom, oraz faktu amerykańskiej działalności dywersyjnej i oparcia planów tej działalności na terenie Polski o ochotników rekrutujących się spośród politycznych emigrantów — przed każdym patriotą polskim jest tylko jedna droga: zaangażować wszystkie swe siły w walkę o pokój, w walkę przeciw remilitaryzacji Niemiec, w walkę o budowanie Frontu Narodowego, w walkę o budowanie niezłomnej jedności całego społeczeństwa, która uniemożliwiłaby zakłócanie spokoju wewnętrznego Polski przez jakiegokolwiek próby dywersji.

Kierownicza siła narodu na obecnym etapie historii, Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, już od lat wskazywała na istotny układ sił na świecie i płynące stąd dla Polski konsekwencje. PZPR — trzon Narodowego Frontu walki o pokój i plan 6-letni, budzi i pogłębia świadomość polityczną całego narodu polskiego. Jest rzeczą jasną, że partia robotnicza i marksistowska zdemaskowała wszelkie kamuflaże propagandy zachodniej, za którymi ukrywał się imperializm. Narodową politykę wytkniętą przez PZPR przyjęła ogromna część inteligencji polskiej i masy chłopskie.

W ostatnim roku Front Narodowy został wzmocniony przez aktywne włączenie się doń poważnej części duchowieństwa i działaczy katolickich.

Najbardziej widocznym wyrazem tej nowej, aktywnej postawy katolików polskich była manifestacja duchowieństwa i działaczy katolickich przeciw remilitaryzacji Niemiec zachodnich we Wrocławiu 12 grudnia ub. roku. Manifestacja ta tym się różniła od innych zjazdów księży czy katolików świeckich zwoływanych uprzednio, że: po pierwsze zgromadziła nie notowaną liczbę 1.800 delegatów, po drugie wzięli w niej czynny udział księża i najwybitniejsi przedstawiciele myśli i nauki katolickiej, po trzecie wszystkie wystąpienia na zjeździe w sposób trafny analizowały różne szczegółowe elementy obecnej sytuacji i dawały konkretne wytyczne na przyszłość, po czwarte wreszcie udział katolików niemieckich w zjeździe wrocławskim umożliwił nawiązanie serdecznych nici



Fragment Prezydium Zjazdu

przyjaźni między katolikami polskimi a przedstawicielami NRD i przedyskutowanie wspólnych metod działania w walce o pokój.

Komitet Organizacyjny Zjazdu, któremu przewodniczył ks. dziekan Jan Czuj, potrafił zebrać na sali obrad obok księży - działaczy, proboszczów wiejskich i miejskich parafii, najwybitniejszych przedstawicieli nauki katolickiej, księży profesorów wydziałów teologii uniwersytetów krakowskiego, warszawskiego, Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, wykładowców wielu seminariów, znanych pisarzy i redaktorów pism katolickich.

Zjazd potępił w ostrych słowach rewizjonizm niemiecki, a szczególnie szowinistyczną działalność części kleru niemieckiego.

Oto sformułowania głównego referenta ks. prof. Eugeniusza Dąbrowskiego na ten temat:

„Nie dziwiłoby nas, gdyby okrzyki o remilitaryzacji i rewizjonizmie padały ze strony niedawnych SS i SA. Nikt by na to specjalnej nie zwracał uwagi. Wiadomo przecież, że ludzie ci muszą w jakiś sposób krzyczeć: krzyczeli „Heil Hitler!” przez lat kilkanaście z rządu, krzyczą tedy nadal choć nieco zmienili taktykę.

Ale oto do głosów tych dołączyły się głosy poważne. Raz będzie to głos z Kolonii, drugi raz z Monachium. Inne — dobiegają nas skądinąd jeszcze. Mimo woli stajemy zdumieni i pytamy: „Co znaczą te głosy?”. Przez cały czas okrucieństw niemieckich w Polsce — głębokie milczenie. Gdy palono i niszczone kościoły w Polsce lub zamieniano je na składy i miejsce rozrywek dla żołnierzy — milczenie. Gdy krzyże przydrożne i kapliczki rujnowano ze śmiechem wjeżdżając na nie tankami — milczenie. Gdy miliony ludności polskiej wyrzucano z ich domów i gnano w nieznaną — głębokie milczenie. Gdy do Warszawy przybywały pociągi z dziećmi polskimi zamartwymi na śmierć w drodze — ani jeden krzyk protestu.

Aż nagle, skoro Polska upomniała się



Widok sali obrad

o ziemię do niej przynależne i przyjęła na ich terenie władzę — krzyk oburzenia”.

Ks. prałat Kotula z Wrocławia na ten sam temat stwierdził:

„Powiadają nam niektórzy katolicy niemieccy: „my chcemy bronić waszej wiary świętej, bo ona u was jest prześladowana”. Na to im odpowiadamy: Nasamprzód zaś przyjmijcie do wiadomości, że mamy swobodę wyznania, po wtóre macie u siebie dosyć roboty, tam ją wykonujcie”.

Jasno zostało postawione żądanie ostatecznej stabilizacji stosunków kościelnych na polskich ziemiach zachodnich.

„Jest rzeczą zgoła niepoważną, aby prawno-kanoniczne tytuły ściśle określonych administracyjnych jednostek w Polsce zachowywali ludzie występujący jawnie zarówno przeciw Rządowi Polskiemu jak i przeciw Hierarchii Katolickiej w Polsce...

Katolicy polscy winni wszelkimi siłami dążyć do tego, ażeby sprawy związane z administracją kościelną Ziemi Odzyskanych zostały załatwione w sposób zgodny z historią tych terenów i poczuciem godności narodu polskiego”.

(referat ks. Dąbrowskiego).

Frontalnie zaatakowane zostały wszelkie rachuby imperialistów na rozbicie społeczeństwa polskiego na tle wygrywania różnic światopoglądowych.

„Uważamy za swój obowiązek przestrzec braci-katolików w Niemczech zachodnich przed nawoływaniem do nowej zbrodni. Na próżno pewne czynniki zagraniczne w wyraźnym celu osłabienia stanowiska Polski usiłowałyby wbić kłn niezgody czy niezgodnionego sposobu działania między Rządem Polski z jednej a katolicyzmem polskim z drugiej strony w sprawie Ziemi Odzyskanych.

Odpowiadamy na to z całym poczuciem odpowiedzialności: Nie ma i być nie może żadnej różnicy pod tym względem w poglądach wszystkich Polaków. Na próżno pewne organy niemieckie jak

„Petrus - Blatt“, „Ost - West Kurier“, „Münchener Katholische Kirchenzeitung“, „Katholischer Beobachter“ i inne usiłują wmówić w swych czytelników, że jednak istnieją różnice między żądaniami Rządu Polskiego, co do ostatecznego uregulowania spraw kościelnych na Ziemiach Odzyskanych a stanowiskiem katolicyzmu polskiego.

Możemy na to odpowiedzieć, że żądania Rządu Polskiego są wyrazem woli całego narodu. I w tym punkcie swej polityki Rząd Polski jest jednomyślnie i bezwzględnie popierany przez cały naród bez różnicy wyznaniowej, politycznej czy jakichś dyskusji programowych“.

(Ref. ks. Dąbrowskiego).

Zdemaskowana została perfidia propagandy imperialistycznej.

„Propaganda radiowa, prasowa, wypowiadzi różnych polityków zachodnich usiłują nam narzucić dwie fantastyczne i przewrotne sugestie.

Pierwsza z tych prowokacji polega na twierdzeniu, że gdy katolicy polscy występują przeciw remilitaryzacji Niemiec zachodnich, gdy bronią stabilizacji ordynariuszy polskich na Ziemiach Zachodnich,

gdy wypowiadają się przeciw wszelkim próbom dywersji i konspiracji, gdy przyczyniają się do coraz większego potęgowania wysiłku uprzemysłowienia kraju,

słowem, że wtedy, gdy katolicy polscy realizują swój obowiązek wobec narodu, że wtedy, gdy dają wyraz rozsądnemu ukochaniu własnego kraju, to zdradzają zasady Wiary Świętej.

Druga sugestia propagandy państw zachodnich polega na otaczaniu nimbem ofiary, na rysowaniu perspektyw heroizmu religijnego przed tymi katolikami, którzy by zlekceważyli obowiązki narodowe, którzy by nie chcieli służyć żywotnym interesom własnego narodu.

Służba podstawowym interesom Polski nigdy nie będzie zdradą katolicyzmu. Zlekceważenie interesów własnego narodu, obojętność wobec trudności stojących przed własnym narodem nie ma nic wspólnego z daniem świadectwa prawdziwe naszej wiary.

Znaleźliśmy sposób realizacji naszych założeń doktrynalnych, sposób realizacji niezbywalnych obowiązków katolika wobec Hierarchii Kościoła Powszechnego w zgodzie z najwyższymi interesami naszego narodu — jest nim umacnianie i rozwijanie linii Porozumienia między Episkopatem a Rządem Polski Ludowej“.

(Red. Piasecki).

I wreszcie wyraźnie określone zostały zadania społeczne księdza:

„To co mówię, nie mówię z książek, ani z gazet, tylko mówię tak, jak człowiek i proboszcz na te rzeczy patrzy. Polska dzisiejsza przeobraża się gospo-

darczy. Plan 6-letni ma nasze państwo i naród zacofany, naród kopciuszek, wprowadzić do dobrobytu materialnego. My w pracy duszpasterskiej musimy się także liczyć z tym Planem. Musimy jako duszpasterze pomagać naszemu rolnikowi i naszemu robotnikowi podtrzymywać go na duchu, uświadamiać i pomagać mu tak, aby mógł swoją pracę prze prowadzić i doprowadzić Plan 6-letni do realizacji“.

(Ks. prob. Sidor).

Zjazd wrocławski, który przebiegł w nastroju wyjątkowo poważnym i podniosłym ma duże znaczenie wewnętrzne i międzynarodowe. W sensie wewnętrznym uzbroił on katolików polskich w argumenty i rozwiązania umożliwiające im zajęcie słusznego stanowiska politycznego, większą aktywność społeczną, jak też odcięcie się w sensie politycznym od tych środowisk katolickich zachodnich, które wspierają politykę imperializmu. Zjazd wrocławski uwidocznił biorącym w nim udział duchownym związek między remilitaryzacją Niemiec i zagrożeniem granic Polski a polityką amerykańską i atlantycką. Uwidocznił jasno ten prosty fakt, że walcząc z remilitaryzacją Niemiec trzeba walczyć także z inną formą tej samej polityki, którą są próby siania zamętu w naszym kraju.

Zadokumentowany na zjeździe wzrost dojrzałości politycznej i poczucia odpowiedzialności za los kraju pozwala sądzić, że udział duchowieństwa i działaczy katolickich w Narodowym Froncie walki o pokój i Plan 6-letni będzie coraz aktywniejszy i owocniejszy.

W sensie międzynarodowym znaczenie manifestacji wrocławskiej polega na tym, że uprzytomniła ona katolikom zachodnim wolę pokoju katolików polskich i jedność całego społeczeństwa polskiego w podstawowych sprawach narodowych. Nie-

wątpliwie to jasne stanowisko katolików polskich utrudni poważnie szowinistom niemieckim i ich amerykańskim opiekunom nadużywanie hasła chrześcijańskich w akcji antypokojowej. Niewątpliwie wzmocni ono pozycję tych katolików Niemiec, Francji, Włoch i Belgii, którzy wspólnie z wszystkimi ludźmi dobrej woli na świecie walczą o pokój.

Szczególne znaczenie ma manifestacja wrocławska w odniesieniu do Watykanu. Nie jest żadną tajemnicą, że polityka Piusa XII jest w stosunku do interesów Polski nieprzychylna. Zresztą jest ona nieprzychylna nie tylko w stosunku do interesów polskich. W grze sił światowych, wahając się nieznacznie co jakiś czas, Watykan ustawia się jednak zasadniczo po stronie obozu imperialistycznego. Nie jest naszym zamiarem mnożyć dowody na to twierdzenie, gdyż nie ma sensu udowadniać powszechnie znanych rzeczy. W ostatnich tygodniach stanowisko Watykanu podkreślone zostało przez dwa wystąpienia.

W „Osservatore Romano“ ukazał się artykuł, udowadniający niemożliwość współistnienia dwóch systemów, czyli podważający nie tylko sam sens istnienia ruchu obrońców pokoju, ale obalający nadzieję całej ludzkości, gdyż jasno z niego wynika, że wojna, czyli zagłada i poniewierka setek milionów ludzi jest nieunikniona. Chyba jasne, czym interesom tego rodzaju artykuły służą? W noc wigilijną papież w swym przemówieniu mówił o rządach szatana i męczeństwie Kościoła Katolickiego w krajach demokracji ludowej. Cóż dziwnego, że byli esesmani

korzystają z takich wystąpień i szykują się do odegrania roli „obrońców chrześcijaństwa?“

Kuria Rzymska nie erylowała dotychczas ostatecznie diecezji na polskich ziemiach zachodnich i nie obśadziła istniejących biskupami polskimi. Wszelkie zapewnienia Watykanu o życzliwości dla narodu polskiego bez jego zaangażowania się w pozytywne rozwiązanie sprawy diecezji zachodnich jest pozbawione podstaw rzeczowych i nosi charakter dyplomatycznego zwyczaju. Dlatego Watykan zajmuje negatywny stosunek do narodowych i kościelnych potrzeb Polski?

— Po pierwsze wynika to z przełożonych wpływów Niemców zachodnich w Rzymie, po drugie zaś z niechęci przeciwstawienia się wpływom amerykańskim, które nie chcą stabilizacji Kościoła na ziemiach polskich, ponieważ obietnicami zwrotu tych ziem rozbudzają odwetowe i zaborcze tendencje zachodnio - niemieckich rewizjonistów. Z tych więc względów należy uznać wszelkie próby przedstawienia polityki Watykanu jako korzystnej dla Polski za całkowicie skazane na niepowodzenie. A tej właśnie próby podjął się w pewnym zakresie Prymas Polski w swym wywiadzie, tak długo oczekiwany przez społeczeństwo katolickie.

Manifestacja wrocławska została z pewnością odnotowana poważnie w Watykanie, gdyż podkreśliła wyrażnie, że poczynania polityczne Watykanu ustawiają go w pozycji, która podlega ostrej krytyce ogółu katolików polskich.

M. Ł.

SPIS ARTYKUŁÓW

opublikowanych w miesięczniku „W obronie pokoju“ w 1951 r.

Nr 1 — 4 czerwiec — wrzesień 1951.

PIERRE COT: Współistnienie dwóch ustrojów i Pakt Pięciu.

OSKAR LANGE: Współistnienie dwóch systemów gospodarczo-społecznych w ekonomice i polityce światowej.

ROBERT CHAMBEIRON: Międzynarodowa Konferencja Ekonomiczna w Moskwie.

WILFRED G. BURCHETT: 5.000.000 chłopów zmienia geografę Chin.

GERALD LYON-CAEN: Wojna w Wietnamie a Pakt Pokoju.

JOHN TURNER: Australia ofiarą zimnej wojny.

CLAUDE MORGAN: Spotkanie nad Szprewą.

PASTOR OBERHOF: Naród niemiecki stałby się pierwszą ofiarą remilitaryzacji.

MIKOŁAJ TICHONOW: W kraju 60 tysięcy jezior.

PAWEŁ JASIEŃCZYK: Prawo do traktora.

EDMUND OSMAŃCZYK: Polacy i Niemcy.

STEFAN LITAUER: Fakty i komentarze.

Nr 5, październik 1951.

ST. R. DOBROWOLSKI: Związek Radziecki — ostoja wolności i pokoju.

PIERRE COT: W sprawie wojny rewolucyjnej.

PIETRO NENNI: Przed Międzynarodową Konferencją Ekonomiczną w Moskwie.

MAURICE PIANZOLA: Problemy ekonomiczne a szanse pokoju.

GORDON SCHAFER: Po kongresie w Blackpool.

AMEDH SADEGH: O co walczy lud Iranu.

ENRIQUE DELANO: Rozmowa z gen. Cardenasem o Iranie.

JENNINGS PERRY: „Zbrodnia“ prof. DuBois.

PABLO NERUDA: O światowy Kongres Pisarzy.

ARRIGO JACCHIA: Polityka wojny i nędzy w Belgii.

LUCIANO VENTURA: Włoskie trybunały wojskowe przeciw bojownikom o pokój.

JACK MACKENZIE: Podróż kwakrów do Związku Radzieckiego.

WANG HUA-TUNG: Pałac kultury w Pekinie.

MILLARD LAMPELL: Nowy Miesiąc Przyjaźni Polsko - Radzieckiej.

PAWEŁ JASIEŃCZYK: Pokolenie ludzi potrzebnych.

WŁODZIMIERZ GOŁĘBIEWSKI: Rewia młodości i siły.

KS. PROF. CZUJ: Ludzie złego wczoraj.

STANISŁAW SZENIC: W walce o jedność Niemiec.

STEFAN LITAUER: Fakty i komentarze.

Nr 6, listopad 1951.

PIERRE COT: Trzeba bronić Organizacji Narodów Zjednoczonych.

CLAUDE MORGAN: Wielka Piątka.

JOHN PRATT: Prawda o Chinach.

YVES FARGE: Francja a Pakt Pokoju.

MOHAMMED AZIZ: Suez — Egipt — Sudan.

ANGEL DELBOCHO: Franco, nieoficjalny partner paktu atlantyckiego.

CHARLES BETTELHEIM: Jak się przedstawia handel Wschód—Zachód?

MICHEL DEBONNE: Trzeba otworzyć drzwi na Wschód.

ARRIGO JACCHIA: Kryzys Imperium Brytyjskiego.

SERGIUSZ OBRAZCOW: Marionetki i ludzie.

NOEL-NOEL: Nie bawmy się w „ciuciubabkę”.

LEHWESS-LITZMANN: Pomiędzy dyktatem Waszyngtonu a apelem Izby Ludowej.

PABLO NERUDA: Chile — mój kraj.

IRENA JOLIOT-CURIE: Eugenia Cotton — wielka bojowniczka o pokój.

HO-CZEN: Służba zdrowia w Chinach.

A. KEIM: Trzydzieści wieków sztuki chińskiej.

MARIAN MUSZKAT: Rewolucja Październikowa a niepodległość Polski.

PAWEŁ JASIEINICA: O Polskę przemysłową.

MARIAN PODKOWIŃSKI: Trizonia walczy o pokój.

STEFAN LITAUER: Fakty i komentarze.

Nr 7, grudzień 1951.

PIERRE COT: Dwa wielkie spotkania międzynarodowe.

PIETRO NENNI: Jak rozładować napięcie międzynarodowe.

ZINAIDA GAGARINA: O międzynarodową wymianę kulturalną.

PIERRE THEVENET: Milczący bunt w Egipcie.

KS. JEAN BOULIER: Treść Paktu Pokoju.

CLAUDE MORGAN: Spotkanie wiedeńskie.

ANDRÉ WURMSER odpowiada pismu „Collier's”.

PROF. JACQUES NICOLLE: Międzynarodowy charakter nauki.

PROF. MAX COSYNS: Konkretny przykład współpracy uczonych.

J. G. CROWTHER: Pisarze brytyjscy bronią sprawy pokoju.

BERTOLD BRECHT: List do pisarzy i artystów niemieckich.

METROPOLITA MIKOŁAJ: Wojna poniżej człowieka.

HU JU-TSE: Życie chłopca chińskiego.

DR LE DINH THAM: Ona nie chce przechodzić więcej przez „bramę ciemnoty”.

J. MERTENS: Reportaż z Kongo.

Uchwały wiedeńskiej sesji Światowej Rady Pokoju.

C. N.: Z delegacją polską w Wiedniu.

PETER WIPP: Niemy krzyk.

JULIAN TUWIM: W obronie patriotów greckich.

WŁADYSŁAW SZCZERBIC: Przestroga dla agresorów.

JAN DĄBROWSKI: Droga naszych zwycięstw.

MARIAN PODKOWIŃSKI: Wojenne podróże pana Adenauera.

STEFAN LITAUER: Fakty i komentarze.

TREŚĆ NUMERU:

	Str.
U progu Nowego Roku. Rys. JEAN EFFEL	1
PIERRE COT: Szanse pokoju	2
CLAUDE MORGAN: Rok 1951	3
DOMINIQUE DESANTI i ROGER MARIA: Wywiad z Azzamem Paszą	15
Rola ONZ według wypowiedzi PANDIT NEHRU	19
ILJA ERENBURG: Kultura czy barbarzyństwo	21
JÓZEF SIGALIN: Rośnie stolica Polski Socjalistycznej	26
HAN SING-HU: Ludzie ze stali	40
PAUL LANGEVIN: Epoka przemian	43
MULK RAJ ANAND: Opowieść o gołębicy i kruku	49
LEONARD ENGEL (lekarz amerykański): Odkrycie kortyzonu	55
PROF. DEBEYRE: Odtworzenie stawu biodrowego za pomocą protezy akrylikowej	60
GUENADY FISH: Południe przesuwają się na północ	70
Cztery rocznice:	
— VICTOR HUGO	79
— LEONARDO DA VINCI	83
— AVICENNA	88
— Nowelka MIKOŁAJA GOGOLA	94
Malarstwo meksykańskie (CASTELLANOS, SIQUEI- ROS, DIEGO RIVERA)	104
PAOLO JACCHIA: Wywiad z Vittorio de Sica i Cesarym Zavattini	108
M. Ł.: Zjazd katolików polskich we Wrocławiu	120
Alfabetyczny spis rzeczy za rok 1951	126

Pap. dr. sat. A1. kl. V, 60 gr. ob. 128 str. Nakład 7462 egz.
Druk. RSW „Prasa“ Warszawa, Al. Jerozolimskie 125
Zam. 3048. 3-B-11215

Miesięcznik „W Obronie Pokoju” ukazuje się dotychczas w następujących krajach:

FRANCJA: „Defense de la Paix“, 33, rue Vivienne, Paris II-e.

Prenumerata: rocznie — 600 fr., półrocznie — 300 fr.

ZSRR: „W Zaszczitu Mira“, Moskwa, ul. Krapotkina 10.

Prenumerata: 12 numerów — 18 rbl., 6 numerów — 10 rbl.

BULGARIA: „Zaszczita na Mira“, Sofia, Ivan-Vazov 27.

Prenumerata: 12 numerów — 1000 lew, 6 numerów — 500 lew.

WŁOCHY: Rivista „La Pace“, Roma, Via Savoia 82.

Prenumerata: rocznie — 1000 lirów, półrocznie — 550 lirów.

ALGER: „Difas Aani Silm“, Alger, 1, rue Borely-la-Sapie
(adres prowizoryczny). Numer pojedynczy — 60 fr.,

Prenumerata: rocznie 600 fr., półrocznie — 350 fr.

MEKSYK: Revista „Paz“, Mexico D. F., Avenida Juarez 20.

Numer pojedynczy — 1 dol., prenumerata roczna — 10 dol.

CHINY: „Pac Wei Ho Ping“, Pekin, Taichichang 9.

Prenumerata: rocznie 2 dol., półrocznie — 1 dol.

NRD: „Friedenswacht“, Berlin W 8, Mauerstrasse 85.

Prenumerata w Niemczech: rocznie — 6 DM, półrocznie 3 DM. Prenumerata w Szwajcarii: Postscheckkonto Zurich N. VIII 43.547, rocznie — 12 fr. szwajc., półrocznie — 6 fr. szwajc.

JAPONIA: „Heiwa Yogo“, Japan Peace Committee c/o Bunka Kogyo Kaikan, 12, 7-chome, Shiba Shinbashi, Minato-ku, Tokyo. Prenumerata roczna wraz z przesyłką — 720 jen.

AUSTRALIA: „Peace“, Victoria, Glen Iris, Rix Street.

RUMUNIA: „In Apararea Pasil“, Bucuresti, str. Polonia 19.

Prenumerata: 12 numerów — 300 lei, 6 numerów — 150 lei.

